

Andrew



*Twarda Czwolka*

SIERZONA  
SERIA

SIERZONA  
SERIA

**Andrew Vachssa**

**Twarda Candy**

**Tytuł oryginału HARD CANDY**

*Na tej planecie nie rozdaje się medali za odwagę w wojnie toczącej się w miastach. Ale na niebie  
świecą srebrne gwiazdy, których nie zna jeszcze żaden astronom.*  
ALMIE HENRY BESSIE MYRICK MARY SPENCER

Miejskie sępy nigdy nie wzlatają nad ziemię.

Znajdowałem się na górnym poziomie dworca autobusowego Port Authority, otoczony mrokiem listopadowej nocy. Stałem tuż przy ścianie, ręce trzymałem w pustych kieszeniach szarego płaszcza, uważnie obserwowałem otoczenie spod ronda kapelusza. Niedaleko mnie stał wysoki, szczupły, młody Murzyn w błękitnej jedwabnej koszulce i jasnej sportowej kurtce. Oprócz tego miał na sobie bufiaste spodnie z wąskimi mankietami i włoskie buty z miękkiej skóry. Alfons nowego typu, czekający, aż kolejny autobus wypłuje ładunek dziewczyn, które uciekły z domu. Na parkingu zostawił co najmniej mercedesa z przyciemnianymi szybami. Ma przygotowaną opowieść, jak ciężko radzić sobie w mieście — sam też niejedno przeszedł, kiedy tu trafił. Wtrąci, że poszukuje talentów dla niezależnej wytwórni filmowej. Zaproponuje dziewczynie, że jeśli chce, może zostać u niego parę dni, aż stanie na nogi. Ma u siebie wielkoekranowy telewizor, wideo, ekstrastereo. Trochę alkoholu, nieco kokainy, wszystko pierwsza klasa. Tak się żyje, nie? Kawalek dalej stał kolejny Murzyn, może trzydziestoletni. Na szyi zawiesił sobie złoty medalion, teraz włożony za czerwoną koszulę ze sztucznego włókna, mogącego w kiepskim świetle w metrze uchodzić za jedwab. Do tego czarny skórzany płaszcz do kolan i elegancki alfonsi kapelusik z czerwoną wstążką. Buty ze skóry udającej skórę krokodyla. Alfons starego typu czekający na szansę. Prawdopodobnie ma wiekowego cadillaca i równie starą gadkę. Powie dziewczynie, że może z niej zrobić gwiazdę. Mieszka w umeblowanym pokoju w anonimowym hotelu parę przecznic dalej, a w szafie ma masę drucianych wieszaków. Na pewno nie do wieszania ubrań. Raczej do bicia albo do przerywania ciąży.

Tylko od panienki zależy, czy będzie ją traktował łagodnie, czy ostro.

Dalej cicho rozmawiało dwóch młodych białych, ustalało plan gry. Mieli nadzieję, że chłopcy z dostawy, którą przywiezie najbliższy autobus, będą wystarczająco młodzi.

Tuż obok czyhał latynoski małolat o twarzy bez wyrazu. W typowym stroju: czarnej bluzie z ciasno ściągniętym kapturem, wygodnych butach do ucieczek. „Ponieść torbę, psze pani”?

Wokół snuli się nieliczni obywatele, czekający na wracających z urlopu krewnych. A może na przyjeżdżającego ze szkoły dzieciaka. Przez stertę śmieci przekopywał się brodaty włóczęga.

Kiedy autobus wjechał na stanowisko, syknęły hydrauliczne hamulce. Nocny kurs ze Starke na Florydzie. Dwudziestoczworgodzinna podróż z przesiadką w Jacksonville. Bilet w obie strony kosztuje dwieście czterdzieści cztery dolary.

Wiem, bo płaciłem.

Mężczyzna, na którego czekałem, powinien mieć w kieszeni list. Napisany okrągłymi literami, jakimi piszą dorastające panny. Atramentem na różowym papierze.

„Tatusiu, wiem, że minęło wiele czasu, ale nie wiedziałam, gdzie jesteś. Pracowałam z paroma chłopakami i kilka lat temu trafiłam do więzienia. Jeden z gliniarzy wprowadził moje nazwisko do komputera. Powiedział mi, gdzie jesteś, ale nie pisałam, ponieważ nie miałam nic dobrego do powiedzenia na swój temat. Przykro mi, że Sissy kazała mi wtedy uciekać i nie pozwoliła, tak jak chciałam, powiedzieć ci nawet do widzenia. Pisałam do niej, ale list wrócił. Czy wiesz, gdzie teraz może być? Myślę, że pewnie wyszła za męża. Wszystko jedno, tato, może mi nie uwierzysz, ale mam teraz masę pieniędzy. W tym, co robię, jestem naprawdę dobra. Mam też chłopaka. Pomyślałam, że może trzeba ci będzie pomóc stanąć na nogi, kiedy wyjdiesz, ale nie chciałam wysyłać forsy do więzienia. Dobrze zrobiłam? W każdym razie, tato, kiedy będziesz wychodził, napisz na adres mojej skrytki pocztowej, to przyślę ci pieniądze na bilet. Przyjedź do mnie, to będzie jak wakacje. Mogłabym ci dać pieniądze, które zaoszczędziłam. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, tatusiu.

Całuję Belle”.

Fala pasażerów zaczęła powoli spływać schodami w dół. Ludzie byli obładowani plastikowymi torbami, nieśli związane sznurkiem kartony, torby żeglarskie. W autobusach dalekobieżnych niezbyt często widuje się walizki Samsonite'a.

Wysiadł z autobusu jako jeden z ostatnich. Był wielki i grubo-kościsty, spod strzechy włosów koloru miodu wyzierały małe oczka. Oczy Belle, włosy Belle. W ręce trzymał zniszczoną skórzaną

torbę. Latynos nawet nie zwrócił na niego uwagi. Gliniarz by spojrział, ale żadnego nie było w pobliżu.

W miejscu, gdzie powinienem mieć serce, poczułem bryłę lodu.

Omiótł wzrokiem dworzec, jakby to był więzienny dziedziniec. Podeszedłem, wyjąłem ręce z kieszeni, pokazałem, że nic w nich nie mam. Widzieliśmy się pierwszy raz, ale mój styl musiał mu powiedzieć, że czekam na niego.

— Przysłała cię Belle? — spytał. Twardy głos, nawet południowy akcent go nie zmiękczał.

— Zaprowadzę pana do niej — odparłem odwracając się, zmuszając go w ten sposób, by poszedł za mną. Ręce ciągle trzymałem tak, by mógł je widzieć.

Ominąłem ruchome schody i zacząłem schodzić na parter. Czulem go za sobą. Czulem też obecność za nami cichego jak cień Maxa.

Plymouth stał zaparkowany w przecznicy tuż przy Dziewiątej Alei. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, wsiadłem, odblokowałem prawe drzwi. Gdyby miał ochotę zniknąć, zostawiałem mu cały czas tego świata.

Usiadł obok mnie, spojrział za siebie. Zobaczył stertę brudnych kocy.

— Nie ma tylnego siedzenia?

— Czasami przewożę różne rzeczy.

Uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym uśmiechem. Na jego długich żółtych zębach odbił się neon znad wejścia do baru. Podają w nim drinki kelnerki z cyckami na wierzchu.

— Pracujesz z Belle?

— Czasami.

— To dobra dziewczyna.

Nie odpowiedziałem, jechałem w kierunku West Side Highway. Zapaliłem papierosa, rzuciłem paczkę na półkę pod szybą. Poczestował się, zapalił zapałkę o paznokieć, rozparł się wygodnie w fotelu.

Byliśmy w Harlemie. Jechałem na wschód Sto Dwudziestą Piątą ulicą, przeciąłem Piątą Aleję, zbliżaliśmy się do mostu Triborough.

— Same czarnuchy — stwierdził obserwując uważnie ulicę.

— Taa, są wszędzie...

— Siedziałeś kiedyś z czarnuchami?

— Całe życie.

Żeby nie pokazywać twarzy kasjerowi, żeton za wjazd na most jak zawsze wrzuciłem do taksometru i ruszyliśmy w kierunku

Bronxu. Plymouth prawie bez mojego udziału zjechał mruczając z autostrady na Bruckner Boulevard i skierował się ku Hunts Point. Mój pasażer uważnie obserwował ulicę.

— Człowieku, jak nie czarnuchy, to Meksy... To nie jest miasto dla białego człowieka.

— Bardziej podobało się panu w więzieniu?

Roześmiał się krótko. Obrzydliwie.

Sunęliśmy dalej. Z opuszczonych budynków patrzyły na nas czarne okna — podobne do martwych oczu leżących szeregiem trupów. Skręciłem w boczną ulicę prowadzącą w kierunku targu

mięsnego. Kurwy, gołe pod przezroczystymi plastikowymi płaszczami, zatrzymywały na skrzyżowaniach ciężarówki. Jechaliśmy przez martwą prerię. Jedyne w miejscach, gdzie istoty, które urodziły się kiedyś jako ludzie, paliły całą noc ogniska, były wysepki światła.

Stanęliśmy przed bramą złomowiska. Kazałem mu zostać w samochodzie, wyciągnąłem przez okno rękę, wsadziłem ją w dziurę w płocie z drutu kolczastego i otworzyłem zamek. Wjechaliśmy i stanąłem. Wysiadłem, by zamknąć bramę. Wsiadłem z powrotem, opuściłem szybę. Zapaliłem fajkę.

— Co teraz?

— Czekamy.

Nadeszły psy. Warcząca sfera raz-dwa otoczyła samochód.

— Niech to cholera! Tu jest Belle?

— Jest.

Przez sferę przeciskał się Kret, jak zwykle bezceremonialnie odtrącał nogą psy z drogi. Stał przy moim oknie, mrugając popatrzył na mężczyznę obok.

— To on?

— On.

Kret klasnął w dłonie. Z ciemności wysunął się Simba. Wielkomięski wilk, szef stada. Bestia stanęła na tylnych łapach, przednie oparła o dolną krawędź okna i zaczęła się wpatrywać w mężczyznę z mojej prawej strony, jakby go znała. Z gardła zwierzęcia wydobył się głęboki, chrapliwy dźwięk.

— Dalej pójdziemy pieszo — powiedziałem do mężczyzny.

Patrzył pewnie, w jego oczach nie było strachu.

— Nigdzie nie pójdę, chłopcze. Nie podoba mi się tu.

— To kiepsko.

— Kiepsko dla ciebie, chłopcze. Popatrz dokładnie, to zobaczysz, że nie mam pustych rąk.

Nie musiałem patrzeć. Wiedziałem, co ścisza w garści. Jak dotąd, w dalekobieżnych autobusach nie używa się wykrywaczy metalu.

Ożywiła się sterta brudnych szmat z tyłu samochodu. Kiedy mój pasażer poczuł na karku otwory dwóch luf, z jego gardła wydobył się charkot.

— Twoje ukryte karty to kiepskie karty, frajerze. — Głos Prora brzmiał niezwykle mocno jak na tak drobnego człowieczka. — Widzę twój pistolet i podwyższam o dwulufowego obrzyna.

— Rzuć pistolet na siedzenie — poparłem słowa Prora. — Nie bądź głupi.

— Gdzie jest Belle? Chcę się widzieć z Belle.

— Zobaczysz ją. Obiecuję.

Pistolet z cichym plaśnięciem wylądował miękko na siedzeniu między nami. Kret otworzył drzwi pasażera, mężczyzna wysiadł, cały czas trzymany na muszce przez Prora. Przeszedłem na drugą stronę samochodu.

— Idziemy — powiedziałem spokojnie.

Szliśmy przez złomowisko, aż dotarliśmy do placu między samochodami.

— Niech pan siada — Wskazałem na uciętą beczkę po ropie. Usiadłem na takiej samej beczce obok, zapaliłem.

Usiadł, wyciągnął wielkie łapsko i złapał paczkę, którą mu rzuciłem.

— Co teraz?

— Czekamy — odparłem.

Na odkrytej przestrzeni pojawił się Terry. Szczupły chłopiec w brudnym kombinezonie.

— To ten? — zapytał Terry.

Skinąłem głową. Małolat zapalił papierosa, zaczął się przyglądać mężczyźnie. Psy też patrzyły. Ich ślepie i oczy Terry'ego miały identyczny wyraz.

Obok mnie stanął Kret, ramię w ramię z nim Pror. Opierał się na lasce, strzelbę trzymał w drugiej dłoni.

— Pansy! — zawołałem. Suka wyłoniła się z ciemności — neapolitański mastiff, sześćdziesiąt pięć kilo mięśni. W słabym świetle jej czarna sierść połyskiwała granatowo, zimne szare ślepie

omiatały okolice jak radar. Podbiegła do siedzącego mężczyzny jak walec drogowy, szukający asfaltu do ubicia.

— Skacz! — dałem komendę i suka padła na ziemię. Nawet leżąc nie spuszczała mężczyzny z oczu.

Rozejrzałem się ponownie wokół. Na złomowisku zebrali się prawie wszyscy żyjący członkowie rodziny Belle. Brakowało jedynie Michelle, ale ona już zrobiła swoje.

Pror podał mi pistolet.

— Oto jest znak i nadszedł już czas.

Wstałem.

— Czy na Florydzie istnieje kara śmierci? — spytałem mężczyznę.

— Przecież wiesz.

— Także za kazirodztwo?

Jego oczy zadrżały. Zrozumiał.

— Gdzie jest Belle? Chcę rozmawiać z Belle!

— Za późno. Odeszła. Jest w ziemi, na której stoisz.

— Nigdy jej niczego nie zrobiłem...

— Zrobiłeś. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Tyle tylko, że jesteś martwy.

— Ludzie wiedzą, gdzie jestem...

Pror roześmiał się gorzko.

— Frajerze, sam nie wiesz, gdzie jesteś.

— Chcesz, żeby chłopak patrzył? — spytałem Kreta.

Na jego grubych szklach zatańczyły światła.

— Patrzył, jak umierała...

Zarepetowałem pistolet.

Mężczyzna zaczął mówić. Ścisłym, pojednawczym głosem.

— Słuchaj, jeśli jestem komuś coś winien, mogę spłacić dług. Zawsze spłacam długi.

— Od tego nie jesteś w stanie spłacić nawet odsetek.

— Zaraz! Mam pieniądze, mogę...

— Nie jestem komisją do spraw zwolnień warunkowych — przerwałem. Pistolet huknął, ojciec Belle zleciał z beczki do tyłu. Wypaliłem jeszcze dwa razy, patrzyłem, jak za każdym trafieniem ciało podskakuje jak manekin.

Pror pokuśtykał do leżącego. Huknęła strzelba. Potem jeszcze raz.

Patrzyłem na ciało przez długą jak agonia minutę. Skłoniliśmy wszyscy głowy.

Pansy zawyła w ciemne niebo, w jej głosie mieszały się smutek i nienawiść. Na dźwięk jej wycia sfera zamilkła. Nie czułem zupełnie nic.

Po tym, jak gliniarze zdmuchnęli płomyk życia Belle, nieraz myślałem o śmierci. Dużo się nad nią zastanawiałem. W końcu Pror objawił mi prawdę.

— Jeśli istnieje cokolwiek po tym śmietnisku, Belle będzie tam na ciebie czekać, bracie.

— A jeśli nie istnieje?

— To po co się śpieszyć?

— Czuję się martwy w środku — powiedziałem na to małemu człowiekowi o sercu lwa. To on wychował mnie za kratami. Każdy mówi na niego Pror. Dawniej myślałem, że to skrót od „profesor”, bo zna się na różnych sprawach i przekazuje ludziom wiedzę, ale naprawdę skrót

pochodzi od „prorok”. Kto widzi prawdę, widzi przyszłość. Pror pokazał mi jedno i drugie — w ten sposób nauczył mnie być mężczyzną.

Albo tym, kim jestem.

— Wiesz, jak zabierać się za sprawy — powiedział mi pewnego razu.

Dawniej wiedziałem. Przeżyć — na tym znałem się kiedyś doskonale. Właściwie dalej się znam. To jedyna melodia, jaką umiem grać.

Tu, na południu miasta, mamy pewne zasady, które sami sobie stworzyliśmy. Wiedziałem, że to, iż czułem się jak trup, nie zwróci mi Belle ani w niczym nie pomoże, ale zrobienie trupa z tego, kto zawinił, to obowiązek.

Ojciec Belle. Śmieć, który spłodził ją z własną córką. Przez niego przyszła na świat ze spaskudzonym kodem genetycznym... Od urodzenia Belle nie miała szansy. Kiedy ojciec uznał, że Belle już dorosła i może brać od niej, „co mu się należy”, matka, dotychczas siostra, zdradziła jej prawdę. Zginęła, by córka mogła uciec, i Belle uciekała. Aż do śmierci.

Trzymałem ją w ramionach, kiedy odchodziła poszarpana kulami, przeznaczonymi dla mnie. Kiedy nadszedł czas, umarła z podniesionym czołem.

Belle zginęła na wiosnę. Przez całe lato byłem zimny jak lód. Czekałem. Jej ojciec był na Florydzie, gdzie odsiadywał wyrok za zabójstwo. Posprawdzałem to i owo i dowiedziałem się, że zamierzają wypuścić go w październiku.

Michelle napisała list kopiując pismo Belle z wiersza, który napisała wielka dziewczyna.

Jeśli istnieje ktoś, z kim ojciec Belle spędzał Dzień Dziękczynienia, przy stole będzie stało puste krzesło.

Choć pomściłem Belle, zimno nie chciało opuścić mojej duszy.

Jechałem przez Chinatown w kierunku restauracji Mamy. Odkąd nie było Belle, samochód był inny, nie

śpiewał tak jak wtedy, gdy prowadziła go Belle. Camaro, którym przyjechała, kiedy widzieliśmy się po raz pierwszy, Kret pociął na złomowisku na tysiąc kawałeczków. Jej ciało leżało pod ziemią. Ubrania zostawiła przed śmiercią u mnie w biurze, oszczędności w skrytce w moim garażu. Spaliłem ciuchy, zatrzymałem pieniądze — tak, jakby sobie życzyła.

Dziś był czwarty dzień, odkąd przejeżdżałem obok knajpy Mamy i sprawdzałem wywieszone w oknach gobeliny ze smokami — czerwonym, białym i niebieskim. Jest patriotką, ale nie obywatelem. Nikt z nas nim nie jest.

Ostatnio całymi dniami w oknie wisiał niebieski smok — oznaczało to gliny w środku.

W gazetach rozpisywano się, że studio porno przy Times Square zostało wysadzone w powietrze przez ekstremistów, a detektywi znaleźli wystarczająco dużo dowodów, by wykończyć, i to na dobre, Salvatore Lucastro. Jego biznes z filmowaniem prawdziwej śmierci był tak samo zimny jak nieletnie dziewczyny, z których zrobił „gwiazdy”. Sally Lou mógł się spodziewać kilku wyroków dożywocia. Niestety istnieją kwiaty, które rozkwitają jedynie w ciemności... Miejscowi łapacze nie byli w najlepszym nastroju — mogli się spodziewać, że federalni przypiszą sukces sobie. Wiedzieli, że Sally Lou zostanie zapuszkowany z powodu łamania prawa federalnego, ale uważali, że i dla nich powinno coś zostać.

Przynajmniej oba trupy. Z tym, że jeden rozprytno po placu budowy przy Times Square, a drug złomowisko Kreta, gdzie został przepuszczony urządzenie do przerobu odpadków. Takie, któr psie gównno.

Od tego czasu minęło trochę czasu. Zdażyli po ciało, wiedzieli jednak, gdzie mogą znaleźć mnie.

Parę miesięcy scenariusz był podobny: glinia. restauracji, zadawali pytania, grozili, potem sobie



szli. ich wysyłanie twardzieli, przysłali McGowana.

— Myślałem, że mamy umowę — zaczął. Jego poi były równocześnie smutne i bezlitosne. Dobra sztuczki

też ją znają. McGowan i jego partner Morales po<sup>^</sup>iyś usiadł prowadzić pod ochroną policji „salon masażu” przy Times st ozna-który miał być pułapką na pojeba, bawiącego się sprawuj ra. kobietom bólu. Z tych, co dostają orgazmu na widok ki Odchodząc, miałem im coś zostawić, ale wszystko zabrałem z sobą\* I zaniósłem na złomowisko.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Doskonale wiesz. Jeśli sądzisz, że uda ci się łatwo z tego wykręcić, to się mylisz. Nie obchodziło mnie aresztowanie w tej sprawie kogokolwiek więcej i dobrze o tym wiesz, ale teraz jesteś na liście. Nie wiem, jak zrobiłeś, że morderca zniknął, ale znaleźliśmy resztki karateki rozrzucone po całym placu budowy.

Karateki, który połamiał nogi Prorowi, by przekazać mi wiadomość.

— Jakiego karateki? — spytałem.

— Chcesz się bawić w ten sposób?

— Ja się nie bawię.

— Na pewno już długo się nie pobawisz — stwierdził, wstał i poszedł sobie.

— Taa...

Kelner przyniósł parującą wazę zupy ostro-kwaśnej. Mama najpierw napełniła moją czarękę, potem swoją.

Jedliśmy w milczeniu. Mama znów napełniła moją czarękę. Kiedy po chwili ją opróżniłem, pokręciłem głową w odpowiedzi na nie zadane pytanie. Kelner zabrał czarki. Zapaliłem papierosa.

— Sprawa załatwiona — powiedziałem.

— Wszystko skończone?

— Tak...

Mama prawie niezauważalnie skinęła głową.

— Będziesz znów sobą?

Spróbowałem się uśmiechnąć, uważnie obserwowałem przy tym minę Mamy. Zawsze wie, kiedy ktoś próbuje jej sprzedać tombak jako złoto.

— Max wrócił.

Nie odpowiedziałem.

— Czas skończyć to, Burke. Max twój brat.

— Uważa Mama, że nie wiem? Nie jestem winien tego, co się stało. Postąpiłem jak należy.

Nie było jak należy nawet mówienie coś takiego.

Nagle poczułem, że stoi za mną Max. Nie odwracałem głowy. Mama mu się ukloniła, ja zapaliłem papierosa. Wstała i wróciła do kasy. Max wsunął się na miejsce naprzeciwko, obserwował mnie wzrokiem, jakim patrzył od powrotu z Bostonu, dokąd Mama wysłała go pod pozorem załatwienia sprawy z gangiem, który jakoby zagrażał jednemu z jej interesów.

Cichy Max nigdy się nie odzywa. W dzieciństwie coś mu się stało i został niemową. Nim spotkał Mamę, był wolnym wojownikiem. Poznałem go w więzieniu. Kiedy wyszliśmy, zaprowadził mnie do niej. Parę lat temu, kiedy nie wypalił pewien przekręt, który robiliśmy razem, poszedłem za niego siedzieć. Byłem przy tym, jak poznał swą żonę, Immaculatę. Flower, ich córka, otrzymała imię po dziecku, któremu nie było przeznaczone dorosnąć. Dziecku, dla pomszczenia którego pewna pulchna blondynka odbyła walkę na śmierć i życie. Nazywała się Flood, kochała mnie i wróciła do Japonii.

Dawniej marzyłem, że wróci.

Teraz straciłem marzenia.

Dziś Max nie zapytał. Kelner przyniósł mu talerz zapiekanego ryżu i dzbanek wody z lodem. Patrzyłem, jak je, paliłem kolejnego papierosa. Nie byłem głodny.

Kelner zabrał talerz Maxa. Wstałem, chciałem iść. Bez konkretnego celu. Max pchnął dłońmi powietrze, jakby chciał zatrzymać w miejscu leżącą na stole bańkę mydlaną. „Zostań jeszcze chwilę”.

Usiadłem z powrotem. Max wskazał na puste miejsce obok mnie, zaczął poruszać dłońmi jak zaczynający walkę mistrz kung fu. Skinąłem głową. „Tak, karateka. No i”?

Pokazał palcem na siebie. Zrobił dłońmi gest: „Czy tak”?

Znów skinąłem głową. „Tak, karateka chciał cię dostać. Wyzwać cię na pojedynek”.

Max znów wskazał na mnie, zrobił gest, jakby coś wyrzucał. Skruszył w palcach pałeczkę do jedzenia — rozsypała się jak zmurszała gałązka. Powiedział w ten sposób, że nie jestem karateką, przeciwnikiem dla mistrza. Kolejny raz miał rację. Napił się wody, przeszywał mnie wzrokiem. Znów zamachał ramionami: „Nie pierwszy raz mnie wyzwano”. Pokręcił głową. „Nie przyjmuję”. Podniósł rękę jak policjant kierujący ruchem. Wzruszył ramionami: „Nic w tym wielkiego”. Pewnie, nie od dziś wiem, że Cichy Max nie walczy dla zabawy, nie przyjmuje wyzwań. Nie walczy, by potwierdzać własne ja.

Znów rozcapierzył palce. „Dlaczego”?

Nie miało to teraz znaczenia.

Wskazałem kciukiem w prawo, na tego, kto chciał walczyć. Pokazałem palcem na Maxa, położyłem dłonie na stole, zacisnąłem je w pięści, z każdej wysunąłem dwa palce. Idący mężczyźni. Zacząłem zbliżać pięści do siebie, zatrzymałem je w pewnej odległości. Jeden palec z każdej pięści zaczął machać przed przeciwnikiem. Jedna pięść zawróciła i „człowiek” zaczął odchodzić. Max uważnie przyglądał się, co robię. Drugą dłoń wyprostowałem, by symbolizowała ścianę, i postawiłem ją gwałtownie przed „odchodzącym”. Oznaczało to, że nie można uciec. Max uniósł brwi, spojrzał mi prosto w oczy. Dłoń, która była ścianą, przyłożyłem do piersi. Wykonałem gest kołysania niemowlaka. Wskazałem palcem na Maxa. „Twoje dziecko”. Obserwując mojego brata delikatnie podniosłem dłoń do miejsca, gdzie powinna się znajdować główka dziecka. Starąłem się wytrzymać jego wzrok przeciągając palcem po „gardle” dziecka. Taka była stawka karateki w rozgrywce — śmierć. „Każdego mogę zmusić do walki” — próbował mi wmówić ten szaleniak.

Max wpatrywał się we mnie nieruchomo, próbował nie dopuścić do siebie prawdy, ale wiedział, że nie kłamię. Rozległ się ostry trzask — szklanka w dłoni Maxa rozprysnęła się na kawałki. Po kostkach popłynęła mu krew.

Mój brat powoli uklonił się i zniknął.

Zapaliłem następnego papierosa. Mama znów podeszła do mojego stolika. Kelner wytarł krew z blatu.

— Powiedziałeś mi, tak?

Nie odpowiedziałem. Zostawiła mnie samego.

Mijały tygodnie. Wolno płynący, szary czas. Jak w więzieniu. Siedziałem tępo byle gdzie, nawet nie czekałem. Po McGowanie szczęścia spróbował jego partner. Morales, krępy Portorykańczyk. Naskoczył na mnie w sali bilardowej. Kiedy wszedł, grałem sam monotonicznie przepychając bile po zielonym filcu. Usiadł i zaczął mi się bez słowa przyglądać. Zawodowi gracze zignorowali go. „Akwizytorzy” odeszli w głąb sali. Na górze są pokoje do wynajęcia na godziny i zajmują się organizowaniem towarzystwa. Woleli nie rzucać się w oczy.

Morales zsunął kapelusz na tył głowy, małe, ciemne oczka przypominały dziury po kulach. Obserwował.

Wbiłem jasnopomarańczową piątkę do narożnej luzy. Biała bila wróciła wzdłuż krótszej bandy, uderzyła z hukiem w gromadkę kul i rozbiła ją.

— Ładne uderzenie — odezwał się Morales.

Natarłem kij kredą. Wepchnąłem w tę samą luzę czwórkę.

— Słyszałem, że umie pan dobrze trafiać — ciągnął.

Lekko uderzyłem trzynastkę, przebiłem ją w przeciwległy róg. Znów natarłem kredą kij.

— Ciekawa gra, ten pool bilard — powiedział. — Uderza się, a jak się dobrze trafi, bila znika.

Wbiłem dziesiątkę w boczną luzę.

Morales wstał, zaczął grzebać w stojaku z kijami, wybrał coś dla siebie. ^

— Zagrajmy — zaproponował, zbierając bile drewnianym trójkątem. Dziewięć sztuk.

— Pięć i dziesięć? — spytałem.

Wskazał głową na brudną, ręcznie malowaną tablicę na ścianie. ZAKAZ GIER  
HAZARDOWYCH.

— To nie hazard — uznałem.

Wykrzywił usta. Nie miało to być uśmiechem.

— Bila wygrywająca — dycha na dziewiątkę?

Skinałem głową. Sięgnął do kieszeni, wyjął monetę, chciał rzucić ją na stół.

— Pan zaczyna — stwierdziłem i usiadłem.

Morales zaczął walić w bile z całej siły, pewnie tak samo chciałby walić we mnie. Twarde, proste uderzenia. Masa siły, zero stylu. Bile latały na boki, jakby szukały schronienia. Do luzy wpadła trójka. Walnął w jedynekę tak, jakby nie myślał o wbijaniu pozostałych. Tępy rozwalacz bez grama finezji. Kiedy opadł kurz, na zielonym suknie zostało osiem bil.

Usiadł, spojrzał na mnie. Uderzyłem w jedynekę tak, by przetoczyła się wzdłuż dłuższej bandy i wystawiła do uderzenia dwójkę. Wbiłem ją. Minąłem minimalnie czwórkę i trafiłem dziewiątkę. Biało-żółta kula powędrowała do luzy. Morales wstał, by ją ponownie ustawić. Uniosłem brwi.

— Proszę zapisać na moje konto.

Spojrzałem krótko na napis zakazujący hazardu.

Zaczerwienił się jak burak. Kiedy przypomniał sobie, po co przyszedł, głęboko wciągnął nosem powietrze. Rzucił na stół zmiętą dychę. Wziąłem banknot, zacząłem go wygładzać. Położyłem paperek na bandzie.

Nie oddałem uderzenia, aż wbiłem dziewiątkę.

Morales położył na bandzie kolejną dychę. Znów ustawił bile.

Rozbiłem — po pierwszym uderzeniu do luz wpadły dwie z nich. Zamierzyłem się na jedynekę.

Głos Moralesa zabrzmiał melodyjnie, ale było w nim coś twardego. Pomyślałem o posmarowanym miodem aluminium.

— Jeśli ktoś trafia na północ stanu do ośrodka dla morderców... wie pan, co o nim mówią?

— Że ma pecha?

— Że „ma trupa”. Ładne, co? Skurwiel załatwia staruszkę, zabiera jej emeryturę, a potem chodzi i gada, że „ma trupa”. Słyszał pan o tym?

— Nie.

Zebrałem bile ze stołu. Morales położył dwudziestkę i zabrał jedną z dych. Ustawił bile. Natarłem kredą kij. Zapaliłem fajkę.

— Już się kiedyś spotkaliśmy, pamięta pan?

— Nie.

— Pamięta pan, jak się nazywam? Spojrzałem mu w oczy.

— Jakoś na „m”, prawda? Miranda?

— Mądry chłopczyk. Burkę, „masz trupa”? Wytrzymałem jego spojrzenie.

— A wy macie? — spytałem.

— Niedługo się zobaczymy — zakończył rozmowę i odszedł. Wsadziłem jego pieniądze do kieszeni. Ponownie zająłem się grą.

Nie potrzebowałem forszy gliniarza. Nagrodą za furgonetkę-widmo było pięćdziesiąt kawałków. Furgonetka-widmo — maszyna do mordowania nieletnich prostytutek. Forsę zebrali alfonsi —

furgonetka psuła im interesy. Marques Dupree zaproponował mi biznes na pewnym parkingu. Zdejmij furgonetkę z ulicy i kasuj pieniądze. Miały zostać podzielone na cztery części: między mnie, Prora, Kreta i Maxa.

Potem wszystko się spieprzyło. Furgonetkę krył karateka, który kazał na siebie mówić Mortay, od muerte — śmierć. Był jak narkoman, ale uzależniony od zabijania. W pewnej piwnicy, gdzie produkowano porno, odbył walkę na śmierć i życie — alfonsom podobało się to znacznie bardziej od walk psów czy kogutów. Potem zaczął chodzić po Times Square, gdzie udało mu się przstraszyć nawet największych pomyleńców. Na ulicy zaczęto szeptać imię Cichego Maxa. Pror nazwał go przed laty tym, który odbiera życie, twórcą wdów, cichym wiatrem śmierci. Max mógłby pobić Mortaya.

Mortay chciał dostać Maxa w swe łapy. Próbowałem rozmawiać ze świrem, na co jedynie podniósł stawkę. Max staje do walki albo on kasuje mu córkę.

Odsunąłem Maxa od sprawy. Zagrałem na całego. Jeden z ludzi Mortaya został zastrzelony na placu zabaw w Chelsea. Przez El Cañonero, snajpera UGL, tajnego portorykańskiego ruchu wyzwolenczego, dowodzonego przez mojego przyjaciela Pabla. Następny z ludzi Mortaya został przerobiony na pokarm dla psów. Do akcji włączyła się Belle. Furgonetka poszła na złom, a Mortay... potrzebowali mikroskopu, by pozbierać wszystkie kawałki.

Miałem masę trupów. A zimna ziemia miała Belle.

Nie musiałem szukać Marquesa, sam zadzwonił do Mamy, gorączkowo zostawiał na mieście wiadomości dla mnie. Nie mógł się doczekać, by wcisnąć mi do ręki szmal.

Podzieliłem się pieniędzmi z Prorem i Kretem. Wiadomo było, że geniusz ze złomowiska zadba o Michelle. Belle zostawiła trochę gotówki przeznaczonej na czarną godzinę — należała do mnie.

Pieniądze były jak kaucja. Na zwolnienie z więzienia, z którego nigdy nie wyjdę.

Mijał czas. Lato odeszło z miasta. Już mi się zdawało, że wokół mnie przestanie być gorąco, ale jeszcze przez wiele miesięcy nie miałem dokąd pójść.

Pewnego dnia siedzieliśmy z Prorem w barze przy Times Square i czekaliśmy na Michelle. Wstałem, by przynieść Prorowi piwo. Było pełno ludzi, a muzyka tak głośna, że drżał, dzwonił każdy metalowy przedmiot. Knajpa była mniej więcej tak wesoła jak oddział leczenia raka. Wracając do stolika wpadłem na ubranego od stóp do głów w skórę chłopca do wynajęcia. Mruknął coś i poszedłem swoją drogą.

Przez tłum przepychała się Michelle. Miała na głowie biały beret, do tego ciemnopurpurową jedwabną bluzkę, wąską białą spódnicę, pasujące do bluzki buty na wysokim obcasie. W wielki jak otwór studzienki kanalizacyjnej dekolt wetknęła orchideę. Pocałowała mnie w policzek, ale jej wielkie ciemne oczy patrzyły nieufnie.

— Jak leci, skarbie?

— Jak zwykle.

Chłopak, z którym się zderzyłem, stał przy naszym stoliku, kciuki zatknął wyzywająco za łańcuch od roweru, którym przewiązał się jak paskiem. Ładny chłopiec, ostrzyżona elegancko na jeża, śliczna męska prostytutka. Nachylił się w moją stronę, nie spuszczał ze mnie wzroku. Jego kumple stali kilka kroków dalej.

— Wylałeś mi piwo.

Powiedział to jak twardziel. Mniej więcej tak twardo, jak rajdowo brzmi zajeżdżony samochód z rozwalonym tłumikiem.

Rzuciłem na stół pięć dolarów.

— Kup sobie następne.

— A co sądzisz o przeprosinach?

Poczułem pulsowanie krwi w skroniach. Zmiałem banknot w dłoni i rzuciłem go na brudną podłogę. Na gołych ramionach koleś napięły się mięśnie.

— Wstań! — rzucił.

Michelle zapaliła jednego ze swoich długich, cienkich papierosów.

— Słodziutki, idź i zajmij się tym, co robiłeś przed chwilą, dobrze?

Bohater odwrócił głowę do Michelle.

— Zastrany obojnak nie będzie mi mówił, co mam robić.

Na policzkach Michelle pojawiły się dwie szkarłatne plamy.

Do rozmowy postanowił się włączyć Pror — jak klimatyzacja, która zaskakuje, kiedy robi się zbyt gorąco.

— Nie rób rozróby, luby. Zabieraj piątaka i przestań płakać.

— Fajnych masz przyjaciół — stwierdził koleś. — Przebierańca udającego babę i czarnego liliputa.

Pror uśmiechnął się z wyższością.

— Jestem złodziejem, dzieciaku. Może czasem robię coś nie od pary, ale nikomu nie ciągnę fujary.

W panującym w klubie świetle twarz chłopaka stała się pomarańczowa.

— Wyjdź ze mną — zaproponował, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

— On nie ma czasu, słonko — odparł Pror w moim imieniu.

— To nie potrwa długo.

Pror nie popuszczał.

— Mylisz się. Od dziesięciu do dwudziestu lat, frajerze. Nawet jeśli zakwalifikują to jako nieumyślne zabójstwo.

Pchnąłem krzesło, na którym siedziałem, do tyłu.

— Burkę! — fuknęła Michelle.

W klubie zrobiło się cicho.

— To ty? — spytał młodzieniec w skórze. Jego głos brzmiał tak, jakby ściśnięto mu gardło drutem kolczastym i już zdążyło dobrze napuchnąć.

— Znasz jego nazwisko, więc kapujesz wszystko — odpowiedział za mnie Pror.

— Słuchaj... stary, nic nie było, okay? Siedziałem, nie odzywałem się słowem. Chłopak zniknął. Nie musiał czekać na swoich przyjaciół — dawno ich nie było.

Nie tylko gliniarze wiedzieli, że „mam trupa”. Wiedzieli też, czyjego.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, Michelle złapała mnie mocno za rękaw.

X jL, — Co się z tobą, do jasnej cholery, dzieje?! — wrzasnęła, po czym zaatakowała Prora. — Az tobą? Chcesz cofnąć zegar o dwadzieścia lat? Ten idiota znów bawi się w rewolwerowca, a ty w jego menedżera?

— Mój brat ma serce w bólu, królu. Daj mu się z dna odbić, a nie próbuj gnoić.

Oczy Michelle sypnęły skrami, oparła dłonie o biodra jak praczka. Objąłem ją za ramię, ale zrzuciła moją dłoń.

— To do ciebie niepodobne, skarbie. Zaczynają mi od tego drgać nerwy.

— Wszystko w porządku — próbowałem załagodzić.

— Nic nie jest w porządku! Chcesz wrócić do więzienia? Z powodu głupiej kłótni w barze?

— Nie wrócę do więzienia. Uspokój się, zawieziemy cię do domu.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Jej obcasy stuknęły twardo o beton. Nie obejrzała się ani razu.

Trzy beznadziejne dni później zdjęli mnie. Na ulicy, w jasny dzień. Pror zobaczył ich pierwszy.

— Łapacze z prawej — wyszczał przez zęby.

— Z tyłu prawdopodobnie też. Zadzwoń do Davidsona — poprosiłem. Wrzuciłem papierosa do studzienki kanalizacyjnej, wsadziłem prawą dłoń do kieszeni, żeby pomyśleli, że nie pójdę z nimi jak baranek, i przyśpieszyłem kroku, by odciągnąć ich od Prora. Szedłem Pięćdziesiątą Piątą na zachód, w stronę rzeki. Tuż za mną jechał nie oznakowany samochód policyjny. W pewnym momencie zauważyłem kino dla pedałów. Kiedy podawałem pieniądze kasjerowi, trzasnęły drzwi. Nie mieli zamiaru wchodzić za mną do środka. Wzięły mnie między siebie dwie góry mięsa — zablokowali mi ramiona, wykręcili ręce. Trzasnęły kajdanki. Jednym szarpnięciem odwrócili mnie twarzą do ulicy. Gliniarz, którego jeszcze nigdy nie widziałem, odtrąkował policyjną śpiewkę.

— Jest pan aresztowany. Ma pan prawo milczeć. Wszystko, co pan powie, może być i zostanie wykorzystane przeciwko panu...

Nim wsadzili mnie do stojącej przy krawężniku suki, dokładnie mnie obmacali.

W czasie jazdy na dolny Manhattan nikt nie powiedział słowa.

W celi zostawili mnie w spokoju przez co najmniej godzinę. Nie domagałem się przysługującej mi rozmowy telefonicznej. Robiłem to, kiedy byłem małym, choć tylko po to, by wykorzystać swoje prawa. Wtedy nie miałem do kogo dzwonić. Teraz byłem w lepszej sytuacji — byłem i starszy, i mniej naiwny.

Zaprowadzili mnie do pokoju przesłuchań. Wepchnęło się za mną dwóch nie znanych mi gliniarzy. Krawężniki. Mundury ze wzmocnianego plastikiem włókna, by wytrzymały częste pranie w pralce, kiepskie fryzury, w butach wkładki przeciw platfusowi. Podobni do siebie jak dwie krople wody — ten sam wzrost, ta sama waga. Identyczne oczy.

— Chce pan fajkę? — spytał pierwszy.

— Ile to będzie kosztować?

Drugi zachłysnął się ze śmiechu.

— Na koszt firmy — odparł pierwszy.

Skinąłem głową. Rzucił na stół paczkę, przesunął po blacie zapalniczkę z oksydowanego na matowo metalu. Ostrożnie przejechałem po zapalniczce palcem, uniosłem ją do światła. Pchnąłem ją gliniarzom z powrotem. Drugi znów się roześmiał. Rzucił mi zapalniczkę. Zapaliłem papierosa.

— Chce pan złożyć zeznanie?

— O czym?

— Mamy pana. Morderstwo.

Wydmuchnąłem dym w kierunku sufitu.

Zapukano do drzwi, drugi policjant podszedł i je otworzył. Przybysz był znacznie energiczniejszy. Młodszy. Miał elegancki garnitur, idealnie zawiązany jedwabny krawat. Fryzjer musiał go nieźle kosztować. Idealnie wypolerowane czarne mokasyny z „żółędziami”. Druga fala. Usiadł dokładnie naprzeciwko mnie. Płaskostopi Indianie trzymali się z tyłu.

— Jestem detektyw porucznik Swanson. Pan jest...

— Aresztowany.

Jeden z krawężników parsknął śmiechem. Porucznik spojrzał na mnie wrogo.

— Myślałem, że jest pan rozsądniejszy. Co się dzieje, przyjacielu? Wie pan, co jest grane. Jeśli więzień odmawia pobrania odcisków palców, możemy trzymać go bez końca. Da nam pan odciski, wyjdą na jaw pańskie dotychczasowe wyroki i sędzia uziemi pana z tytułu ryzyka ucieczki przed procesem. Nawet jeśli uda się panu jeszcze raz wywinąć, musi się pan liczyć z paroma miesiącami

na Rikers Island.

— Już macie moje odciski.

Jeden z łapaczy znów się roześmiał. Porucznik wyglądał na nieszczęśliwego.

— Proszę dać sobie spokój z tymi gierkami, dobrze? Wie pan, jak to się odbywa. Mamy kilka morderstw, mamy dom przy Times Square, który wyleciał w powietrze. Mamy też paru federalnych, którzy chwalą się na lewo i prawo, kogo to nie złapali. Chcemy dostać, co się nam należy i koniec, jasne?

— A co to jest?

— Pan mi powie, przyjacielu. Może się okazać, że pan, choć to niekonieczne... Rozumiemy się? Ma pan coś do zaproponowania?

Zgasilem papierosa. Porucznik spojrział na zegarek. Miał na nadgarstku dwa złote łańcuszki.

— Ostatnia okazja... — powiedział uwodzicielsko. Zapaliłem następnego papierosa.

— Nie chce pan nawet wiedzieć, kogo pan zabił?

Dmuchałem mu dymem w twarz.

Pchnął krzesło do tyłu.

— Zamknąć go! — warknął na obu mundurowych i wyszedł.

Tym razem roześmieliśmy się wszyscy trzej.

fw awieźli mnie na dolny Manhattan na W rozprawę wstępną dopiero o pierw-mLJ szej w nocy. Na trzecią zmianę — na Manhattanie rozprawy wstępne odbywają się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu. Zobaczyłem w pierwszym rzędzie Davidsona — siedział wystrojony, jakby miał zaraz wystąpić przed ławą przysięgłych, czujny jak diabli.

Czekałem, aż zostaną wywołani.

Z przodu wyklócała się Wolfe z sędzią. Jeśli przyszła nocą na rozprawę wstępną, oskarżony musiał być niezłym zbirzem. Stała przy stole dla oskarżycieli, na blacie rozrzuciła z dziesięć kilo papierów, tuż za nią trzymał się gość, który wyglądał jak wykidajło z portowego baru. Jej głos był łagodny, ale niósł jak dzwon.

— Dwadzieścia dziewięć punktów oskarżenia, Wysoki Sądzie. Dwadzieścia dziewięć różnych zarzutów. Siedmiu świadków oskarżenia. Siedmioro dzieci. W interesie społecznym jest, by oskarżony pozostał do czasu rozprawy głównej w areszcie.

Oskarżony siedział dokładnie naprzeciwko sędziego. Sztywny jakby kij połknął, dobrze ubrany, pełen godności. Wyraźnie oburzony faktem, że musi przebywać w takim miejscu. Jego adwokatem był starszy dżentelmen z przepiękną burzą siwych włosów, sięgających prawie do ramion, i głosem jak biskup.

— Wysoki Sądzie, jeśli wolno wtrącić... Doktor West jest powszechnie szanowanym obywatelem. Człowiekiem bez śladu kryminalnej przeszłości. Ojcem rodziny, którego żona i dzieci są głęboko zszokowane tego typu fałszywymi oskarżeniami. Wniosek oskarżenia o dalsze przetrzymywanie w areszcie jest oburzający. Zapewniam, że udowodnimy bezzasadność każdego z postawionych tu skandalicznych zarzutów i nosimy się z zamiarem wystąpienia z oskarżeniem z powodztwa cywilnego przeciwko rodzicom owych najwyraźniej skierowanych na złą drogę dzieci. Jestem pewien, że ta młoda dama chce jak najlepiej...

— Nie spoufalaj się, nadęty balonie! — Głos Wolfe zabrzmiał jak trzaśnięcie batem.

— Wystarczy... — sędzia spojrział na Wolfe.

— Komu? — parsknęła.

— Wszystkim. Sąd usłyszał wystarczająco dużo. Wyznaczam kaucję w wysokości stu tysięcy dolarów.

Siwy adwokat uśmiechnął się rozanielony.

— Składam wniosek o zatrzymanie paszportu oskarżonego, Wysoki Sądzie — rzuciła Wolfe.

— Wysoki Sądzie, nie uważam, by...

— Sąd wyraża zgodę — zamknął sprawę sędzia.

Kiedy prowadzili mnie do przodu, jeden z asystentów wypico-wanego adwokata szedł właśnie do woźnego, by załatwić wpłatę kaucji. Siwy stał przy Wolfe.

— Mój klient... — mówił.

— Proszę mu powiedzieć, żeby poszedł do domu pobawić się gazem rozweselającym — warknęła na niego Wolfe. Kiedy Davidson stanął przy mnie, podniosła wzrok. Wspaniała kobieta — wysoka, o pięknej figurze; ciemne, poprzetykane siwymi nitkami włosy miała zaczesane do tyłu i spięte. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Kątem ust powiedziała coś do stojącego za nią wielkoluda. Jednym ruchem wrzuciła leżące na stole papiery do aktówki i odeszła. Wszyscy obecni przyglądali się, jak odchodzi, na marmurowej podłodze rozlegał się rytmiczny stukot wysokich obcasów.

Wielkolud od Wolfe stanął tuż obok mnie, jego klatka piersiowa znajdowała się na wysokości moich barków.

— Masz forszę? — spytał.

Jeśli zamkną człowieka bez grosza, od razu jest ciężiej. Wolfe wiedziała, co się robi w więzieniu, by zarobić na papierosy i widocznie nie chciała, bym został do tego zmuszony. Ot, taka metoda walki o przestrzeganie prawa, której nie uczą w prokuraturze.

Skinąłem głową. Olbrzym poszedł za Wolfe — cały czas pilnował jej pleców. Jak zwykle. Podałem Davidsonowi rękę.

— Nic pan nie zeznał — stwierdził, czym powiedział wszystko.

Zastępca prokuratora, który zajął miejsce Wolfe, był młody.

Wyglądał na zmęczonego, wąsy miał nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do twarzy.

Detektyw, który mnie przesłuchiwał w komisariacie, stał obok niego — nikt na sali bardziej nie wyglądał na adwokata.

Sędzia wpatrywał się we mnie zza stołu. Ja także się w niego wpatrywałem — gdzieś już się spotkaliśmy. Był karierowiczem, mianowanym z układów politycznych, wspinającym się po szczeblach drabiny władzy głównie dzięki smarowaniu sobie ust maścią przeciw hemoroidom, co czyniło cuda dupom, które całował.

— Panowie... czy istnieje jakiś powód, by dyskutować na ten temat?

Zastępca prokuratora już zamierzał zbliżyć się do ławy sędziowskiej.

Davidson nie zrobił nawet kroku.

— Nie. — Jego odpowiedzią było tylko to jedno słowo.

Zastępca prokuratora wrócił na miejsce.

— Wysoki Sądzie, oskarżenie dotyczy morderstwa drugiego stopnia, a oskarżony ma bogatą przeszłość kryminalną, w tym użycie broni w celu dokonania aktu przemocy. Oskarżony nie jest przystosowany do życia w społeczeństwie i istnieje znaczne ryzyko, że będzie próbował uciec przed rozprawą główną.

Davidson już był czerwony.

— Jaką rozprawą główną? Nie dojdzie do rozprawy głównej, Wysoki Sądzie. Aresztowanie zostało dokonane na podstawie fałszywych zarzutów i oskarżenie dobrze o tym wie. Przynajmniej powinno. Sprawa mojego klienta nie ma szans dotarcia przed ławę przysięgłych. Przystudiowałem tak zwane „akta dowodowe”, które wydano mi godzinę temu... — pyskował machając żółtą teczką. Żółty oznacza „ciężkie przestępstwo”. — Zarzuca się mojemu klientowi zamordowanie niejakiego Roberta Morgana, choć nie wiadomo, kto to w ogóle jest, w dodatku przed paroma miesiącami! Nie widzę powodu, dlaczego miano by w tej sprawie aresztować akurat mojego klienta. Nie ma ani jednego zeznania, najmniejszych dowodów... nawet nie informuje się, z jakiego powodu wspomniana osoba zginęła... została zastrzelona, zasztyletowana, pobita na śmierć, otruta? Co jej się stało? Mój klient został aresztowany na ulicy — gdyby chciał uciekać, miałby dość czasu, by objechać kulę ziemską, nie wspominając o opuszczeniu Nowego Jorku. Na jakiej podstawie stwierdzono związek mojego klienta z owym Robertem Morganem? Gdzie motyw? Do pioruna, gdzie zwłoki? — szydził patrząc detektywowi prosto w twarz. Informował go, że doskonale o wszystkim wie.

Sędzia siedział nieporuszony — tacy jak on podniecają się dopiero wtedy, kiedy na ich sali pojawi się senator.

— Panie Gonzales? — zwrócił się do prokuratora.

— Wysoki Sądzie, dzięki prawu do wglądu w nasze akta pan Davidson miał możliwość



zapoznania się z rodzajem oskarżenia, ale jesteśmy na rozprawie wstępnej, nie głównej...

— Gdzie fakty wystarczająco wskazujące na popełnienie przestępstwa?! — wrzasnął Davidson.

— Na rozprawie wstępnej nie potrzebujemy przedstawiać faktów dokumentujących popełnienie przestępstwa!

— Potrzebuję ich pan już do aresztowania!

— Panowie! Proszę podejść do stołu sędziowskiego.

Nie słyszałem, o czym rozmawiają, widać było jednak wyraźnie, jak Davidson, którego twarz ściemniała, popycha zastępcę prokuratora krępyim tułowiem. Oskarżyciel raz za razem wzruszał ramionami i wskazywał brodą na stojącego przy jego stole detektywa.

Po chwili Davidson wrócił na miejsce dla obrońców i odwracając się w moją stronę syknął przez zęby:

— Trzy dni.

Sędzia powiódł wzrokiem po obecnych.

— Oskarżony pozostanie w areszcie trzy dni. Trzy dni, panie zastępczo prokuratora okręgowego. W tym czasie albo dojdzie do przesłuchania przez sąd w celu określenia ciężaru przestępstwa, albo sprawa trafi przed ławę przysięgłych. Czy to jasne?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Jeśli nie, należy oskarżonego bezwarunkowo zwolnić, z zaznaczeniem, że następuje to za zgodą oskarżenia. Panie Gonzales?

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Proszę o następną sprawę.

Kolejny raz uściśnięm Davidsonowi rękę. Zabrali mnie.

Kiedy następnego dnia przyszli do celi ki mówiąc, że odwiedził mnie adwokat, AV wiedziałem, że to nie Davidson. On nie pracuje w ten sposób.

Zaprowadzili mnie do czyjegoś prywatnego gabinetu. Kiedy usiadłem, wszedł Toby Ringer. Toby jest szefem wydziału w prokuraturze Manhattanu. Wytrzymały, obyty z najcięższymi sprawami, specjalista od morderstw. Gra zawsze w otwarte karty. Nie wiem, jak mu się udało utrzymać tak długo na stanowisku, ale nigdy nie zostanie sędzią. Podobnie jak Wolfe.

Podał mi rękę, uściśnięm ją. Wziąłem trzy paczki papierosów, które wyjął z aktówki.

— Wie pan, dlaczego przyszedłem?

— Nie.

— Nakaz aresztowania jest nie do utrzymania i wszyscy o tym wiemy. Nikt nie sądzi, że pan zabił Morgana. Ktoś pana sypnął, ale krąży plotka, że pod żadnym warunkiem nie będzie zeznawał. Wiemy, że Morgan miał związek z furgonetką-widmem i że zniknęła ona z ulicy. Wiemy też, że razem z furgonetką zniknęło paru ludzi. Pan zna szczegóły.

— Naprawdę?

— To była pańska robota, Burkę, całe miasto o tym mówi. Wieć krąży od domu do domu. Ludzie mówią, że można pana wynająć. Że został pan zabójcą za pieniądze.

Zaciągnąłem się papierosem.

— Nie wierzę, że to prawda, ale ten, kto wysadził w powietrze biznes Sally'ego Lou, pozostawił wielką, czarną dziurę. Dżentelmeni z mafii stoją w kolejce, by ją wypełnić. Na Sally'ego i tak był czas.

Spojrzałem pytająco.

— Tak, już było wydane zlecenie na zabicie go. W ostatnich miesiącach zginęło czterech mocnych chłopców i Włosi zrobili się dość nerwowi. Nie mają jednak pojęcia, kto za kim stoi.

Wzruszyłem ramionami.

— Jasne, co to pana obchodzi? Ale nas obchodzi. Robią w gacie ze strachu, Burkę, więc zmobilizowali się. Pojawiły się trupy i jest ich coraz więcej... Wesley wrócił...

Z kątów pokoju wyrzała nagle mrok.

— Burkę, chcemy dostać Wesleya. Dlatego tu jestem. By panu o tym powiedzieć.

— Przyniósł pan w aktówce trochę sera na przynętę?

Wciągnął głęboko powietrze, wypuszczając je parsknął jak słoń morski.

— Oszczędź sobie wielkich słów, twardzielu. Wszyscy wiemy, że nie kablujesz. Mówię to tylko dla twojego dobra.

— No pewnie.

Toby nachylił się przez stół i choć szeptał, jego głos brzmiał dźwięcznie i ciął jak żyłotka.

— Sally Lou był dla każdego wrzodem na dupie. Mafiosi — gdyby chcieli — mogli ukrócić go w każdej chwili, ale sprawił sobie goryla. Faceta zwanego Mortay. Złego, bardzo złego chłopca. Tak złego, że chciał walczyć z Cichym Maxem.

Na mojej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Toby nie marnował czasu, by na nią patrzeć.

— Mortay odwiedził jednego z ważnych ludzi. W środku nocy. Ominął wartowników, alarm, psy i obudził go w łóżku. Jednym palcem złamał mu przedramię. Kazał przestać igrać z Sallym Lou. Dlatego poszli do Wesleya.

Przyglądałem się uważnie Toby'emu, czekałem, co będzie dalej.

— Burkę, Mortay był na liście Wesleya i zniknął. Mówi się, że jest pan teraz konkurencją dla Wesleya.

Wróciłem do celi.

Rikers Island. Nawet jak minie lato, jest tu tak gorąco, jak bywa chyba tylko w piekle. Powtórzyłem w myśli „Wesley” i cela zmieniła się we wnętrze zamrażarki.

Nie miałem więcej wizyt. Kiedy mnie wypuścili, złapałem taksówkę do miasta, potem przesiadłem się w metro, kilka ostatnich przecznic do biura przeszedłem na piechotę. Pansy była tam, gdzie powinna — na posterunku. Kiedy wszedłem, wydała z siebie głęboki warkot, cieszyła się z mojego widoku aż drżała. Odsiedzieć pięć dni w zamknięciu to dla niej nic wielkiego, ale suche żarcie smakowało jej nie lepiej niż moje w celi. Otworzyłem drzwi od tyłu budynku i wtoczyła się po schodach na dach. Grubą folię, która zawsze zakrywa kawałek podłogi, zwinąłem robiąc coś na kształt wielkiego worka i związałem go drutem. Otworzyłem tylne okno, by wywietrzyć pokój. Mam urządzenie, dzięki któremu suka ma zapewnioną karmę i wodę na wypadek, gdybym przez parę dni nie mógł być w biurze, ale pozbywanie się jej codziennych wyrobów z dni, kiedy nie może wyjść na dach, zawsze jest problemem. Wziąłem z łazienki tlen w aerozolu i opróżniłem jego zawartość w miejscu, którego używała Pansy. W ciągu ostatnich kilku dni wahałem gorsze rzeczy.

Wzięłem prysznic. Ogoliłem się. Otworzyłem lodówkę i dałem Pansy litrową paczkę lodów waniliowych.

Opychała się lodami, a ja zrobiłem sobie grzankę z czarnego chleba. Zacząłem powoli jeść, popijałem ginger-ale. Drapałem Pansy za uszami — tak, jak lubi. Cicho do niej mówiłem — chwaliłem ją za chronienie naszego domu w czasie, gdy mnie nie było. Usiłowałem w sobie wytworzyć poczucie spokoju.

Potem zacząłem się przebierać: ciemny garnitur, jasnobłękitna koszula, czarny krawat.

Biuro Davidsona znajduje się na środkowym Manhattanie, o rzut beretem od Times Square. W recepcji siedziała jasnoskóra Murzynka z groźną miną. Kiedy się uśmiechnęła, zrobiła się piękna, niestety natychmiast ponownie przybrała urzędową minę. Dziewczyna studiuje wieczorowo prawo i czeka na swoją szansę. Powiedziałem, że chcę się widzieć z Davidsonem, zadzwoniła do niego i kazała wejść.

Nasza rozmowa nie była długa.

— Nieźle się nacięli — zaczął. — Od nie wyjaśnionego morderstwa nie dostaliby takiego hysia, musi chodzić o coś innego. Wie pan, co to jest?

— Może.

— Czy możliwe, by...

Wiedziałem, co ma na myśli.

— Nie — odparłem.

— Jeśli będą potrzebować nas w sądzie, zadzwonią.

— Dobrze. Czy jesteśmy na teraz kwita?

— Tak.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem. Davidson umie robić swoje, ale jest tylko adwokatem. Przeżycie oznaczało dla niego być uznanym za niewinnego. Nie wiem, jaki wyrok wydałaby na mnie ława przysięgłych złożona z bliskich mi ludzi.

Przez pewien czas nic się nie zmieniło. Robiłem dobrą minę do złej gry. Odgrywałem psychodramę. Czulem lodowate zimno Wesleya, ale mrozowi nie udawało się przeniknąć do kości. Znów zacząłem odzyskiwać grunt pod nogami. Uspokajając się. Davidson poinformował mnie, że oskarżenie o morderstwo jest utrzymane, ale nie zamierzają mocno się do tego przykładać. W całym mieście szykowały się różne ciekawe numery, ale nie widziałem w nich roli dla siebie.

Gdzieś maturzysta zabił rodziców. Powiedział, że popchnęła go do tego gra „Wieże i smoki”. Jakiś popapraniec zamordował kobietę, ponieważ po dwudziestu latach próbowała go opuścić. Twierdził, że należała do niego. W końcu była jego córką. Pewien bydlak zaszlachtował swoją narzeczoną, ich siedmioletniemu synkowi wbił nóż w serce i podpalił mieszkanie. Chłopiec przeżył, zidentyfikował zwyrodnialca w czasie rozprawy jako sprawcę. Ława przysięgłych uniewinniła tatusia, na co natychmiast pobiegł do sądu rodzinnego i złożył wniosek o przyznanie mu praw rodzicielskich nad małym. Zarząd Dróg Miejskich zaczął wyposażać budki, w których siedzieli faceci pobierający opłatę za korzystanie z dróg, w pancerne szyby, by ich nie rabowano. Każdy, kto choć raz siedział, wie, co w takim wypadku robić: napełnia się plastikową butelką benzyną, wstrzykuje ją przez okienko, wrzuca zapałkę i czeka, aż kasjer sam otworzy drzwi. Jeden niedawno nie zdążył. Zajmujący się młodzieżą pracownik socjalny przyznał, że w ciągu dziesięciu lat wykorzystał seksualnie prawie czterdziestu chłopców.

Sędzia chciał go skazać na leczenie gadką. Błyski strzelanin na ulicach migotały na podobieństwo błyskawic, uderzających w miejscach, gdzie nastoletni, zmienieni w roboty

milionerzy, rozgrywali kolejną bitwę o prawo do dystrybucji cracku.

Naprzeciwko mnie siedziała Immaculata. Żona Maxa. Mama, na swoim miejscu przy kasie, trzymała ich puciołowatą córeczkę na kolanach i tłumaczyła jej, jak działa świat.

— Teraz już jest dobrze — głos Immaculaty był zachrypnięty od czegoś, czego nie umiałem nazwać.

— Jasne.

— Max rozumie. Był tylko... zraniony. Za to, że go wyłączyłeś ze sprawy.

— Musiałem.

— Wiem.

— Jasne, wiesz.

— Burkę, dlaczego tak się zachowujesz? Podjąłeś decyzję... miałeś prawo, ale już po wszystkim...

— Uważasz jednak, że decyzja była błędna.

— Naprawdę chodziło mu tylko o potwierdzenie własnego ja? Trudno uwierzyć, że zabiłby nasze dziecko tylko po to, by zmusić Maxa do walki.

Podniosłem wzrok. Długa grzywka zakrywała oczy Immaculaty, ale nic jej to nie pomogło. Zobaczyła prawdę.

— Muszę trzymać stronę Maxa — wyjaśniła.

Skłoniłem głowę, w środku byłem całkiem pusty. Oczy Immaculaty błagały.

— Nie straciłaś dziecka — powiedziałem.

Położyła swoją dłoń na mojej.

— A ty nie straciłeś brata.

Za moimi plecami zadzwonił telefon. Mama, z małą na biodrze, poszła podnieść słuchawkę. Wróciła po niespełna minucie. Podała Immaculacie dziecko, wsunęła się obok mnie.

— Do ciebie. Kobieta. Mówi, jest starą znajomą. Poczulem w piersi napęczniały drobniuteńkimi pęcherzykami

powietrza plaster miodu. Flood. Skąd wiedziała, że nadszedł czas? Moja twarz musiała powiedzieć, o czym myślę.

— Nie. — Głos Mamy był bardzo łagodny.

Zapaliłem papierosa, mocno zagryzłem filtr. Pęcherzyki w mojej piersi zaczęły pękać. Jakby ktoś wrzucił zapalkę do pudełka z kapiszonami.

— Powiedziała, jest starą znajomą. Musi z tobą rozmawiać. Bardzo ważne.

Przyjrzałem się Mamie. Ściągnęła wargi w sposób, w jaki pensjonarki wyrażają najwyższe niezadowolenie.

— Zawsze ważne. Mam ci powiedzieć, Mała Candy z Hudson Street. Znasz ją? — spytała Mama podając mi skrawek papieru.

Skinąłem potakująco głową. Nie miało to żadnego znaczenia.

Max chodził za mną jak cień. Za mną, nie ze mną. Osłaniał mnie od tyłu, chronił przed demonem. Jego dusza wojownika wyła rwąc się do walki, by wszystko naprawić, ale było za późno na walkę.

Staliśmy na nabrzeżu w porcie jachtowym, czekaliśmy na kupca. Dał ogłoszenie do komputerowej bazy danych, dostępnej dla posiadaczy modemu w domowym komputerze. Szukał dziewczynki. Nie starszej niż dziesięć lat. Białej. Kogoś, kogo będzie mógł pokochać. Przyniesie dziesięć kawałków. Na dowód miłości.

Max wyciągnął papierową chusteczkę, z kieszeni wyjął mi flamaster. Narysował wschodzące słońce, łagodnie dotknął się dłonią w okolicy serca. Pokazał na mnie, potem na siebie. „Moglibyśmy pojechać do Japonii. Odnaleźć Flood. Przywieźć ją z powrotem do domu”.

Pokręciłem głową — była w domu. Tak jak i ja.

Mignęły reflektory samochodu kupca. Raz, drugi. Max zniknął w cieniu obok plymoutha. Poszedłem do samochodu kupca — beżowego taurusa kombi. Szyba od strony kierowcy zaczęła się opuszczać, w twarz wionął mi podmuch klimatyzowanego powietrza. O tej porze roku zupełny bezsens. Zobaczywszy w środku grubasa, zrozumiałem, po co włączył klimatyzację. Miał na sobie jasny garnitur w modnym kolorze, na głowie słomkowy kapelusz. Pocił się.

— Pan Smith? — spytał głosem, jakby usta miał pełne gęstej papki.

— Zgadza się — zapewniłem.

— Ma ją pan?

— Jest w samochodzie — stwierdziłem wskazując głową kierunek.

Odsunąłem się, by mógł wysiąść. Kiedy otwierał drzwi, zapaliła się lampka oświetlająca wnętrze. Był sam. Wziął do ręki leżący na drugim siedzeniu czarny nesoser.

— Jest jeszcze trochę oszołomiona — wyjaśniłem idąc obok niego do plymoutha.

— Nic nie szkodzi...

Zapaliłem papierosa. Płomyk zapalniczki był sygnałem dla Maxa.

— Jest w środku — poinformowałem grubasa klepiąc w klapę bagażnika.

— Niech pan pokaże.

— Niech pan pokaże pieniądze.

Położył nesoser na samochodzie i otworzył zamki. W środku leżały ładnie pospinane pliki banknotów, na pierwszy rzut oka wyglądających na prawdziwe. Na pieniądzach leżał aerozol, kilka białych chustek do nosa, plastikowe opaski, jakie przymocowuje się szpitalnym pacjentom na nadgarstkach.

— Wszystko, czego trzeba, nie?

— Słuchaj, gówniara nie jest dla mnie, rozumiesz? Jestem takim samym biznesmenem jak i pan. Jeśli może pan zdobyć więcej takich, proszę dać mi znać. Mam kolejkę klientów.

W tym samym momencie, kiedy Max za nim stanął, tłuste cielsko kupca z hukiem uderzyło w tył plymoutha. Najpierw paraliżujący cios pod pierwsze żebro, potem, kiedy zaczął się osuwać, błyskawiczne uderzenie w odsłoniętą szyję. Na zderzak chlusnęły wymiociny.

Szarpnąłem koszulę — nie miał mikrofonu. Wyciągnąłem mu z wewnętrznej kieszeni portfel, zdjąłem z nadgarstka zegarek. Zostawiłem sygnet. Chwyciłem rączkę nesesera. Zostawiłem go tam, gdzie upadł.

Jego śmierć nie była godna nawet wzmianki w porannym wydaniu gazet.

Na szybie w elegancki wzorek było napisane złotymi literami: SIMON J. ROSNAK — ADWOKAT. Weszliśmy z Maxem do środka. Sekretarka, pełna seksu brunetka, zamiast tuszu do powiek używała brokatowego kremu i miała usta, na widok których miało się ochotę wyrzucić maszynę do frankowania listów, by móc obserwować, jak liże znaczki.

— W czym mogę panom pomóc?

— Chcę się widzieć z Rosnakiem.

— Jest pan umówiony?

— Nie.

— Hm, pan Rosnak jeszcze nie przyszedł, więc gdyby był pan uprzejmy zostawić nazwisko i numer telefonu...

— Siedzi w biurze. Nie mam czasu — spojrzałem na centralkę telefoniczną na biurku sekretarki. Nie paliło się ani jedno światelko.

— Nie może pan...

Minąłem ją bez słowa.

— Proszę więc zadzwonić po policję — poradziłem, zostawiając jej do towarzystwa Maxa.

Wszedłem do wyłożonego dywanem przedpokoju, za nim był gabinet. Rosnak siedział przy starym mahoniowym biurku i czytał akta. Kiedy zauważył, że wszedłem, podniósł wzrok — wyglądał jak zmęczony urzędnik po czterdziestce.

— Co jest?

— Muszę z panem coś omówić.

— Nie znam pana. Proszę porozmawiać z Moną, jestem zajęty.

Usiadłem naprzeciwko niego, zapaliłem fajkę. Na biurku nie było popielniczki.

— Muszę z panem porozmawiać — powtórzyłem ze swobodą.

— Słuchaj, przyjacielu, to nie supermarket. Nie wiem, kto cię przysłał, ale...

— Reprezentuje pan Johnny'ego Sostre?

— Nie pańska sprawa.

— Tajemnica zawodowa, co?

— Trafił pan w sedno.

— Z tym, że jest pewien problem... Nie jest pan adwokatem.

Jego oczy przyszpiliły mnie jak obiektywy kamery. Z oczekiwaniem.

— Nie jest pan adwokatem — powtórzyłem. — Studiował pan prawo, ale przerwał na ostatnim roku. Nigdy nie został pan zarejestrowany jako adwokat. Prowadzi pan przemiłą kopalnię pieniędzy reprezentując chłopców z mafii. Wiedzą, że nie jest pan adwokatem. Dostaje pan sprawę i działa najlepiej jak umie. Wygra pan, wychodzą. Przegra pan, czekają rok, dwa i mówią prawdę, zgadza się? Wystawiają pana, odwołują się, a sąd ich wypuszcza, ponieważ skazano ich z powodu „nieefektywnej pomocy prawnej”. Działa zawsze. Josephs zrobił to samo parę lat temu.

Rosnak patrzył spod oka. Czekał.

Strząsnąłem popiół na blat jego biurka.

— Problem tylko w tym, że trzeba wszystko zgrać w czasie. Oszustwo działa tylko raz, nie ma powtórek. Broni pan... ilu? Dziesięciu, piętnastu klientów? Kilku już siedzi. Zdemaskuje się pana w odpowiednim momencie, wyroki zostaną zrewidowane. Zdaży minąć kilka lat, świadkowie poznikają, pamięć osłabnie, ten i ów zapomni to i owo, materiały dowodowe zostaną pochowane w takie miejsca, że nie będzie można ich znaleźć... obydwaj wiemy, jak to się odbywa. Narobi się hałasu zbyt wcześnie, wszystko pójdzie na marne. Prokuratura będzie jeszcze miała wszystkie materiały i procesy zostaną powtórzone. Poza tym prowadzi pan właśnie kilka spraw. Jeśli prawda zostanie wyjawiona na jaw teraz, wypadłby pan z interesu.

Przysunął głowę jak najbliżej mojej.

— Ci, których reprezentuję... wie pan, kim są?

— Jasne.

— Zdaje pan sobie sprawę, że nie spodobałaby im się nasza rozmowa...

— To niech pan im nic nie mówi.

Zgasilem papierosa, czekałem, co powie.

Uniósł brwi.

— Raz. Tylko raz — powiedziałem spokojnie. — Pięćdziesiąt kawałków i nie ma mnie.

— Pan oszalał.

— Ale nie blefuję.

Dotknął leżących na biurku dokumentów.

— Potrzebuję trochę czasu — powiedział.

— Dziś jest wtorek, przygotowuje pan szmal na piątek. Zadzwonię i powiem, gdzie go pan zostawi.

Wstałem. Spojrzałem na niego z góry.

— Zaoszczędzę panu telefonowania. Burkę.

— Kto to jest Burkę?

— Ja.

W piątek seksowna sekretarka wsiadła w przerwie obiadowej do taksówki i pojechała do

Chinatown. Wsiadła na pewnej ulicy i wmieszała się w tłum. Kiedy znów wsiadła do taksówki, miała pusty portfel.

Byłem u Mamy, kiedy zadzwonił telefon. Julio. Oddzwoniłem od razu, łapiąc starego gangstera w klubie, który służy mi za kwaterę główną. Jego suchy jak skóra węża głos kojarzył się z oddziałem onkologicznym.

— Burkę, zrobiłeś mi kiedyś przysługę, nie zapomniałem. Dlatego też robię ci przysługę. Zrobiłeś numer z Rosnakiem, a on pękł i poleciał z płaczem do chłopców. Wyprostowałem sprawę, jasne? Nie będzie miała dalszego ciągu, ale daj sobie spokój, przestań się wtrącać w nasze sprawy.

Milczałem dłuższą chwilę. W słuchawce aż zaczęło brzęczeć.

— Słyszałeś, co powiedziałem?

— Pewnie.

— Dowiedziałeś się o paru sprawach, trudno. Człowiek ma prawo zarobić, czasem dowiaduje się różnych rzeczy. Zarobiłeś dość. Teraz pozostań przy obrabianiu obywateli.

Odwiesiłem słuchawkę.

Pieniądze płynęły szeroką strugą. Miasto aż od nich pęczniało. Nie pochodziły z ropy — były z narkotyków. Kto był blisko złotej żyły, jeździł czarnym jak smoła jeepem, ubierał się w cienką jak bibułka włoską skórę i w przewieszanej przez ramię kaburze nosił telefon komórkowy. W martwych mózgach tych ludzi dudniła non stop jedna melodia: DAWAJ SZMAL. Obwieszali swoje ciała złotem, za które płacili innymi ciałami. W kanonadach ginęły przedszkolaki. Dzieci były specjalistami od strzelania. Plonem była kokaina — w krajach, których nazw nawet nie umieli wymówić. U nas rolę pieniędzy przejął crack. Rodzaj heroiny, noszący swą nazwę od dźwięku, jaki robił spadając na chodnik.

— Złoto na piersi, a spluwa w pięści... — rapował Pror próbując namówić mnie na robotę. Była łatwa, nie dla mnie.

Nie mogłem puścić tego płazem. Znam kodeks, pożyczył mi go kiedyś Davidson. KAZIRODZTWO. Prawodawca zaklasyfikował je tak samo jak zdradę małżeńską. Prawdopodobnie prawnikom się wydawało, że dzieciak, jak zechce, sam powie nie.

Spotkałem się z Michelle w parku Bryanta przy bibliotece publicznej, niedaleko Times Square.

— Nie będzie mnie jakiś czas — zaczęła.

— Rozumiem.

— Jadę do Danii, Burkę. Chcę zrobić sobie operację.

— Masz dość szmalu?

— Tak, oszczędzam już bardzo długo. Jesteś pod wrażeniem? Skinąłem głową.

— To konieczne. Nie mogę pozwolić, by mój chłopak wyrósł na człowieka poza prawem.

— Chcesz go zabrać Kretowi?

— Przecież wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła. Jest nasz, nie tylko mój. Rozumiem to, ale to nie jest życie dla niego. Chciałabym, by stał się kimś.

— Kret jest kimś.

Położyła mi dłoń na ramieniu, jej pomalowane paznokcie połyskiwały w późnojesiennym słońcu.

- Wiem, mały. Zapaliłem papierosa.
- Nie zmienię się ani na jotę — powiedziała Michelle.
- Wiem.
- Ale ty jesteś inny. Nie odpowiedziałem.
- Jeśli nie chcesz, żebym jechała, powiedz.
- Jedź.
- Możesz mi załatwić dokumenty?
- Paszport?
- Potem... będę chciała... zaadoptować Terry'ego. Wszystko zalegalizować.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Wiesz, czym jestem. Całe życie uwięziona w nie swoim ciele... ale mogę to zmienić... zostać sobą... Chłopiec... nie chcę, żeby dorastał jak...
- Jak ja?
- Burkę, kocham cię i wiesz o tym. Nigdy cię nie zostawię.

Pocałowała mnie w policzek i tak zostawiła.

Dawniej zawsze byłem w stanie znaleźć coś po jasnej stronie wąskiej krawędzi, na której żyję, ale to minęło. Nawet w więzieniu było parę rzeczy, z których dało się śmiać. Kiedyś. Plymouth sunął prawie bez mego udziału do Mamy. Wsunąłem do magnetofonu kasetę. Janis Joplin. Czysty estrogen, przefiltrowany przez papier ścierny. Modliła się, żeby jakiś mężczyzna zabrał jej ból, przemienił go w miłość. Rzuciła duszę na druty kolczaste, aż była porwana na strzępy.

W uszach zabrzmiał mi dziewczęcy głosik Belle. „Wybaw mnie”. Poprosiła nie tego mężczyznę co trzeba.

Znów dzwoniła — przywitała mnie Mama.

Spojrzałem pytająco.

— Powiedziała, ma na imię Candy, pamiętasz? Mała Candy z Hudson Street. Bardzo ważne.

— Nic nie jest bardzo ważne.

Oczy Mamy wyglądały na jej gładkiej, okrągłej twarzy jak małe krążki stali.

— Mówiła, bardzo ważne, okay? Mała teraz jest bezpieczna.

— Myślałem...

— Myślałeś, co należy. Duża dziewczyna, którą kochałeś, odeszła. Bardzo wysoka cena.

— Za wysoka.

— Nie. Zaczną umierać dzieci, niedługo nie będzie ludzi, okay? Dotknąłem palcami skroni, trzymałem głowę jak jajko z pękniętą skorupką. Chciałem zawyć jak Pansy, rozpaczać za straconą kobietą. Rozpaczać nad sobą. Nie było we mnie niczego.

Mama nie odchodziła. Podszedł jeden z kelnerów, zatrajkotał coś po kantońsku. Mama zignorowała go i odszedł. Poczułem gdzieś w głębi brzucha drzenie, ale tym razem nie był to stary przyjaciel strach. Nie bałem się. Byłem zbyt smutny, by płakać.

Popatrzyłem na jedyną kobietę w życiu, do której mówiłem mamó.

— Max mógł go pokonać.

— Możliwe.

— Ale nie jestem pewien, Mamó.

Poklepała mnie po dłoni, żebym na nią spojrzał. Żebym zobaczył prawdę.

— Jeśli nie znasz na coś odpowiedzi, sam musisz być odpowiedzią.



— Kto to powiedział? Konfucjusz?  
— Ja mówię — odparła.  
Kiedy odeszła, leżał przede mną skrawek papieru.

Postanowiłem zadzwonić z automatu przy Sutton Place. Nie jest to mój teren, ale dobra okolica do dzwonienia. Chłopcy z FBI nie zakładają tu podsłuchów na automaty telefoniczne — mogliby niechcący złapać kogoś, kogo znają. Spojrzałem na kartkę od Mamy. Siedem cyfr, numer miejscowy. Zacząłem naciskać guziki zaczynając od ostatniej cyfry — Mama wszystkie liczby pisze od tyłu. Nazywa to „chińską księgowością”.

Podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku. Rozległ się niski, gardłowy głos, wystarczająco słodki, by zabić cukrzyka.

— Cześć, mały.  
— Dzwoniłaś do mnie?  
— Burkę? To naprawdę ty?  
— Ja.  
— Wiesz, z kim mówisz?  
— Jasne.  
— Możemy się spotkać?  
— Po co?  
— Mam coś dla ciebie.  
— Nie masz niczego, co chciałbym dostać.  
— Naprawdę mnie pamiętasz?  
— Tak.  
— W takim razie wiesz, że mam coś, co chciałbyś dostać.  
— Już nie.  
— Nieprawda. Mam to, czego chcesz. Pieniądze albo miłość. Albo albo.  
— Nic z tego.  
— Gdyby tak było, nie dzwoniłbyś. Znam cię. Znam cię lepiej niż ktokolwiek na świecie.  
— Nie znasz mnie.  
— Wpadnij i posłuchaj, co mam do powiedzenia. Nie ugryzę. Chyba, że zechcesz. W piątek po południu.

Nie odpowiedziałem. Podała mi adres. Odwiesiłem słuchawkę.

Pcząłem wyglądać przez okno, wciągałem nosem lotne ścieki, na które yuppies mówią „wietrzyk od rzeki”.

Jej prawdziwe imię brzmi chyba Renée. Może Irena, ale zawsze kazała na siebie mówić Candy — Cukierek. Nie mogłem sobie przypomnieć twarzy, ale nigdy nie zapomnę tej dziewczyny. Była wtedy dzieckiem, skończyła może trzynaście lat, ale tym, czego pożądała, można by przez rok napędzać elektrownię.

Wtedy nie posiadała jeszcze niczego z tego, co chciała mieć. Nikt z nas nic nie miał, walczyliśmy więc jak dzikie bestie z innymi »rupami. O coś, co nigdy nie miało stać się naszą własnością. Wtedy jedynie nazywaliśmy różne rzeczy naszymi. Nasz rewir. Nasze dziewczyny. Nasz... Na końcu ulica się rozwidlała — tam każdy dostawał to, co naprawdę było jego. Moim okazało się więzienie.

Zawsze kręciły się wokół nas takie jak Candy. Nie mieliśmy jeszcze wtedy pistoletów ani strzelb, jedynie gówniane samopały, które po naciśnięciu spustu wybuchały w dłoni, nietrudno było jednak wymyślić coś naprawdę groźnego. Można było zbić butelkę, dzięki czemu miało się tuzin tnących

ciało szpikulców. Można było wylać na dłoń słoik kleju i nasmarować nim linę. Potem wystarczyło ją obtoczyć w tłuczonym szkle, poczekać, aż klej zaschnie i miało się szklaną linę. Jeśli istniała szansa, że uda się podejść blisko, można było wziąć połówkę kartofla i płaską stronę naszpikować

ojechałem z powrotem do biura. Jest moim domem. Wypuściłem Pansy na dach. Zapaliłem papierosa i zapołamanymi żyletkami. Poza tym istniały anteny samochodowe, ołowiane rury, nabite gwoździami kije baseballowe. Siedziało się w jakichś pustych mieszkaniach, popijało tanie wino, wylewając przed każdym kieliszkiem kilka czerwonych kropel na podłogę. Ku czci chłopaków, którzy już zdążyli trafić do więzienia albo na cmentarz. Paliło się drapiącą w gardle marihuanę. Czekano, aż zakręci. Potem szło się na takich samych straceńców. Jeśli się nas spodziewali, spotykaliśmy się na placach zabaw dla dzieci. Jeśli nie — w bramach. Prasa nazywała to wojnami gangów. Jeśli udało się wrócić do klubu, dziewczyny już czekały. Kto był zbyt obity, by zwiewać, dostawał się w łapy gliniarzy. Kto został na chodniku, miał szansę, by napisano o nim w gazecie.

Kiedy trafiłem do poprawczaka, napisała mi list. Był w nim wiersz — tylko dla mnie. Tak napisała pod spodem. „Kocham, Candy. Napisałam specjalnie dla ciebie”. Pierwszy raz w życiu ktoś zrobił dla mnie coś podobnego. Byłem zachwycony, ale tylko do momentu, kiedy się dowiedziałem, że to tekst piosenki z radia.

Mała Candy. Już wtedy miała duszę kurwy.

Tylko tego mi jeszcze brakowało do poprawienia nastroju.

Mieszkała niedaleko rzeki, w kompleksie własnościowych mieszkań w rejonie trzydziestych ulic. Przez kilka dni obserwowaliśmy dom, sprawdzaliśmy, jak i co się w nim odbywa. Portier zajmował się równocześnie wejściem od frontu i od tyłu — nie stanowił problemu. W piątek Pror nacisnął dzwonek przy drzwiach od tyłu. Kiedy portier poszedł mu otworzyć, weszliśmy z Maxem, mijając tablicę z napisem GOŚCIE MAJĄ OBOWIĄZEK ZGŁASZANIA SIĘ W RECEPCJI. Wjechałem windą na szesnaste piętro, Max skorzystał ze schodów. Był pierwszy. Ostatnie pięć pięter weszliśmy na piechotę. Kiedy zapukałem, stanął przy ścianie obok drzwi. Szczęknał judasz i drzwi się otworzyły.

— To naprawdę ty... — powiedziała kobieta w drzwiach.

Widziałem ją po raz pierwszy w życiu. Candy była drobną, szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną, której rozwój fizyczny kulał daleko w tyle za powodzią hormonów. Nigdy nie zapomnę jej oczu: były żółte jak u kota, lekko skośne, niemal żarzyły się pod gęstymi ciemnymi rzęsami. Kobieta przede mną wyglądała na jakieś trzydzieści lat — dziesięć za mało, by móc być Candy. Czarne włosy, miękkie i delikatne, miała obcięte krótko jak mężczyzna. Była na bosaka — sięgała mi do ramienia. Jej oczy błyszczały jak u porcelanowej lalki i były jak u lalek niebieskie. Sylwetka kobiety przypominała klepsydrę, w której piasek przesypuje się nadzwyczaj wolno przez wąziutki przesmyk, ma za to mnóstwo miejsca tam, dokąd wpada. Miała na sobie wystrzępione obcięte dżinsy i kusą bluzeczkę, kończącą się tuż nad pępkiem. Skóra na brzuchu była biała jak mąka, a kiedy kobieta mówiła, pod samą powierzchnią grały twarde mięśnie.

— To ja, naprawdę... Pokręciłem głową.

— Skąd ma pani moje nazwisko?

— Burkę! To ja! Nie poznajesz mnie? Obejrzałem ją od stóp do głów.

— W najmniejszym stopniu.

Rozczochrała włosy, szybko przeciągnęła dłonią po twarzy, po piersiach, biodrach, zaczęła głaskać sobie uda.

— Wszystko jest nowe.

— Niektórych rzeczy nie da się zmienić — stwierdziłem, sięgając do klamki za plecami.

— Naprawdę mnie nie pamiętasz — powiedziała ze smutkiem w głosie.

Przymknąłem jedno oko, drugim ją obserwowałem. Dotknąłem palcem zamkniętej powieki. Więcej szans jej nie dam.

— No przecież! Niech to...! Zapomniałam — poczekaj chwilę. Stałam bez ruchu. Położyła mi dłoń na przedramieniu — miała krótkie paznokcie bez lakieru.  
— Poczekaj...  
Podeszła do okna, odchyliła głowę do tyłu, sięgnęła dłońmi do oczu. Coś z nimi zrobiła.  
— Podejdź do mnie, Burkę. Na sekundę... proszę. Podeszedłem do okna. Dywan na podłodze był bardzo m\$kki.  
Przez okno wpadało światło popołudniowego słońca. f  
— Tu zobaczysz lepiej — powiedziała łagodnym tonem. Patrzyły na mnie żółte kocie ślepia.  
— Szkła kontaktowe — szepnęła jak mała dziewczynka. Miętko, chichocząc ze wspólnej tajemnicy.  
Candy.

Na szklanym stoliku przy kanapie stał | biały telefon. Bez dwóch zdań model I skandynawski, wymyślony dla snobów przez jakąś sławę od wzornictwa przemysłowego. Na obudowie wielkie okrągłe przyciski, cztery szeregi po trzy w każdym. Zostawiłem Candy przy oknie, podniosłem słuchawkę i wystukałem numer automatu na rogu. Czekaając na połączenie lustrowałem pokój — wyglądał jak poczekalnia ekskluzywnej kliniki. Zgłosił się

— Zadzwoń za piętnaście minut — powiedziałem i odłożyłem shichawkę.

Usiadłem na kanapie, zapaliłem papierosa, zacząłem się przyglądać Candy. Przez chwilę myślałem, by rozejrzeć się po mieszkaniu, ale nie miałem poczucia, że jestem w pułapce. Poza tym kobieta, która umie zmieniać się jak kameleon, może schować mikrofon wszędzie.

— Czego chcesz ode mnie? — spytałem.

Podeszła do kanapy i usiadła na przeciwległym końcu, zawijając stopy pod siebie jak nastolatka.

— Może chciałam cię tylko zobaczyć...

— Napisz do mnie list.

Potrząsnęła lekko głową — jak bokser, który otrząsa się po ciosie.

— Byłam wtedy gówniarą.

Wzruszyłem ramionami.

— Ciągle jeszcze jesteś na mnie wściekły?

— Nie jestem wściekły na nikogo, a ciebie nie znam.

— Ale...

— Pamiętam cię, ale pamiętać a znać to zupełnie co innego. Mylę się?

— Nie.

— Czego chcesz, Ireno?

— Już bardzo dawno nie byłam Ireną. To jedna z rzeczy, jakie zmieniłam.

— Jak się teraz nazywasz?

— Jak sobie zażyczysz. Mogę być, czym tylko zechcesz, każdym rodzajem słodkiego cukiereczka.

— A więc teraz jesteś cukierkiem?

— Całą słodyczą tego świata.

Znów dokładnie się jej przyjrzałem, dostrzegłem to, czego szukałem.

— Masz szafę pełną peruk?

Rozpromieniła się jak dawniej. Wstała z elastycznością sprężyny, wyciągnęła do mnie rękę. Chwyliłem ją za nadgarstek, kciukiem mocno ucisnąłem nerw. Zachowywała się tak, jakby tego nie zauważyła. Papierosa zostawiłem, nie gasząc, w popielniczce. Poprowadziła mnie wyłożonym dywanem korytarzem, wprowadziła do pokoju, prawie tak samo dużego jak poprzedni. Jedna ściana była od podłogi do sufitu pokryta lustrami.

— Oto moja garderoba — powiedziała.

Za pierwszymi drzwiami znajdowały się peruki, ponakładane pieczołowicie na styropianowe głowy. Blond włosy, ciemne włosy, rude włosy. Od delikatnego różu po kolor płomiennej lisiej kity. Wszelkie fryzury — od hipisowskich loczków po blond grzywy. Za drugimi drzwiami stały kosmetyki: szminki z błyszczącymi, nietkniętymi szpicami przeżyły się w karnych szeregach jak wielko-kalibrowe naboje... róż, puder do ciała, tusz do rzęs, sztuczne paznokcie, lakier do paznokci, sztuczne rzęsy. W głębi stała toaletka i okrągłe tapicerowane krzesło, duże, trzyczęściowe lustro otaczały gęstymi szeregami maleńkie żarówki.

Przeciwległa ściana pokoju wyglądała całkiem normalnie, w niej jednak także były ukryte drzwi. Candy odsunęła pierwsze: futra. Lisy, gronostaje, sobole, norki, lamparty. Kilka innych, których nie rozpoznałem.

Następne drzwi. Suknie koktajlowe, ekskluzywne suknie wieczorowe, suknie, jakie kobiety sukcesu zakładają do biura albo na giełdę. Skórzane spódniczki mini. Wszelkie możliwe modele — od jedwabiu po bawełnę. Suknie-swetry i kitle pielęgniarek.

Kolejna część była pełna butów. Szpilki na wysokim obcasie z krokodylej skóry, czarne, wysokie do połowy uda, pantofle ozdobione świecidełkami, adidas, dziewczęce trzewiki z mnóstwem rzemyków, sandały.

Dalej nie kończące się szeregi szuflad. Wyciągała je po kolei, odsuwała się na bok i machała ręką jak szydzący z celnika przemytnik, który akurat jest czysty i z oburzeniem pyta, jak śmie się go podejrzewać. Majtki zszyte z trzech tasiemek, inne z jedwabiu, od bikini, pasy do pończoch, body, gorsety, bawełniane skromne figi w kilkunastu kolorach. Rajstopy w firmowych opakowaniach. Wszystkie możliwe rodzaje pończoch — od siatkowych po bezszwowe. Biustonosze z fiszbinami, z zapięciem z przodu, z dziurkami na sutki, z krzyżującymi się na plecach ramiączkami. Czerwone, czarne, białe, jeden mienił się nawet kolorami tęczy.

W ścianie były jeszcze jedne drzwi. Za nimi zobaczyłem szpicruty, kajdanki, zwoje cienkiego łańcuszka, pejcz ze skórzaną rączką i rzemieniami na końcu, podobny do kota z dziewięcioma ogonami. Najrozmaitsze pasy — od cienkich jak spaghetti po bardzo szerokie. Bluza z gumy. Psie obroże. Skórzana maska wiązana z tyłu na sznurki, z suwakiem w miejscu ust. Szczotki do włosów, rakiety pingpongowe, niektóre oklejone gąbką, inne papierem ściernym. Metalowe krążki, ściski stolarskie, wibratory. Cała gama sztucznych penisów, od cienkich jak ołówki po grube jak salami. Pejcz z plecionego jedwabiu.

— Zobaczyłeś już dosyć?

Spojrzenie Candy było jednym wielkim wyzwaniem. Moja twarz nie zdradzała niczego. Skinąłem głową.

Znów wyciągnęła rękę, przekręciła ją tak, bym mógł wziąć ją za nadgarstek. Następny pokój był sypialnią nastolatki. Na ścianach wisiały plakaty zespołów heavymetalowych, wielkie łóżko było przykryte puszystą kapą, wokół leżały pluszowe zabawki, na stoliku stał różowy telefon. Tuż przy łóżku leżała na podłodze książka ze skórzanym grzbietem, z napisem na okładce: PAMIĘTNIK. Do pokoju przylegała łazienka.

Dalej były jeszcze trzy sypialnie. Pierwsza to sypialnia samotnej, pracującej zawodowo młodej kobiety. Druga gwiazdy filmowej. W trzeciej stała obciążnieta czarną skórą kozetka psychoanalitka, wokół niej zamocowano w podłodze metalowe kółka. Ściany wyłożone były ciemnym korkiem.

Wróciliśmy do pierwszego pokoju. Mój papieros zdążył się już spalić. Puściłem nadgarstek Candy, zapaliłem następnego. Candy wyszła z pokoju. Podniosłem słuchawkę telefonu, nacisnąłem na odpowiedni przycisk, poczekałem, aż w okienku pojawi się numer, który wybierałem poprzednio. Pror zgłosił się natychmiast.

— Jak na razie wszystko w porządku — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Wróciła Candy.

— Wymyśliłeś już dla mnie imię?

— Można cię nazwać wieloma słowami.

— Najlepsze to „pieniądze”. Nic się nie zmieniło.

— Nie mam pieniędzy.  
— Masz, lowco nagród, ale nie chcę od ciebie pieniędzy. Chcę ci je dać — chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Nie chcę niczego robić.

Zdjęła podkoszulek. Jej piersi sterczały jak wykute z białego marmuru.

— Silikon. Robota najwyższej jakości. Poduszki, nie zastrzyki. — Przeciągnęła językiem po wargach. — Kolagen. — Pogłaskała się po idealnie wymodelowanej twarzy. — Tutaj też. Kiedy wstała, krótkie dzinsy opadły. — Oto ja. — Pomacała się po tyłku. — Ciężka praca. Trzy razy w tygodniu na przyrządach. — Głęboko wciągnęła powietrze przez nos — jej talia zrobiła się wąska jak u osy. — W leżeniu wyciskam więcej niż kulturysta. Sześć razy w tygodniu ćwiczę na siłowni. — Miękkie miejsce między nogami było wygolone w kształt serca. — Elektroliza. Raz w miesiącu — powiedziała, wyciągając ręce w zapraszającym geście, bym obejrzał.

— Nie rezygnujesz z żadnej sztuczki.

— Nie sil się na złośliwość, Burkę. Jestem z ciebie dumna, bo zdobyłeś to, co chciałeś. Nie wolno mi tego samego?

— A czego chciałem?

— Myślisz, że nie pamiętam? Mieć nazwisko. Teraz je masz. Jest znane wszędzie. Od sprawy Mortaya...

Dostrzegła moje spojrzenie, poczuła, ile jest w nim zimna.

— Przykro mi. Wiem, nic nie mów. Znam zasady. Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił, coś, na czym się znasz. Zapłacę. Dużo. Zastanów się i zadzwoń do mnie. Znasz numer. Przyjadę, dokąd tylko zechcesz... i powiem, czego chcę.

Wstałem.

— Jeszcze jeden telefon — powiedziałem.

Wzruszyła ramionami, podeszła do okna. Jej naga skóra migotała we wpadającym przez okno świetle. Szyba była lekko pomarańczowa — specjalne szkło, by z zewnątrz nic nie było widać. Podniosłem słuchawkę, wystukałem 958-2222. Głos z taśmy wyrzygał mi do ucha numer telefonu. Była to automatyczna sekretarka Mamuśki Poczty, informująca mechaników naprawiających zablokowane numery, że zajęli się tym numerem co trzeba. Aparat w tym mieszkaniu miał inny numer niż ten, pod który dzwoniłem do niej za pierwszym razem. Mruknałem — okay i odłożyłem słuchawkę.

Odprowadziła mnie do wyjścia.

— Wszystko, czego chcesz... do tego pieniądze... — szepnęła. — Zadzwoń. — Jej usta naprężyły się, jakby chciała mnie pocałować. Zobaczyła jednak wyraz moich oczu i dała sobie spokój. Drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem. Zjechałem windą na czwarte piętro, na schodach czekał Max. Nacisnąłem palcem na nie istniejący guzik. Rozdzieliliśmy się na parterze. Kiedy portier usłyszał dzwonek i ruszył do tylnych drzwi, spokojnie wyszedłem frontowymi.

Wysadziłem Prora na skraju Greenwich Village i ruszyłem w kierunku Chinatown. Max rozłożył ręce. „Co teraz”? Wzruszyłem ramionami. Kiedy dojechaliśmy w pobliże magazynu, gdzie Max ma swoją świątynię, podjechałem do krawężnika. Patrzył się w jakiś punkt przed samochodem, twarz zamarła mu w nieruchomą maskę. Położył mi dłoń na przedramieniu. Wyglądała jak rzeźba ze skóry — wzdłuż kantu, którym się uderza, narosły zrogowaciałe odciski, pierwsza i druga kostka były przynajmniej dwa razy większe od pozostałych, wierzch dłoni zdobiła biała szrama po starym cięciu brzytwą. Nie sprawiał wrażenia, że chce wysiadać. Odwróciłem się ku niemu.

Niemy Azjata zdjął dłoń z mego przedramienia, oboma palcami wskazującymi stuknął mnie w pierś. W miejsce, gdzie powinienem mieć serce. Zetknął palce czubkami, łokcie wysunął na boki. Powoli zaczął rozsuwać palce, podnosić wzrok ku górze. Promień słońca? Patrzyłem pytająco, więc

powtórzył całą operację. Nic do mnie nie docierało. Swoim grubym paluchem narysował w kurzu na desce rozdzielczej krzyż. Nie odrywałem od niego wzroku. Na górze krzyża dorysował strzałkę. Kompas? Przedłużył prawe ramię krzyża do końca deski rozdzielczej. Wschód? Powtórzył gest, w końcu skinąłem głową. Wschodzące słońce. Japonia. Cicho powiedziałem jej imię. Flood. Max złożył dłonie jak do modlitwy. Wskazał na mnie. Wskazał na siebie. Rozpostarł ramiona jak dziecko naśladujące krążący po niebie samolot.

„Możemy polecieć do Japonii. Znaleźć ją, sprowadzić z po-łvrotem”.

Pokręciłem głową. „Nie”. Jeszcze raz pokręciłem głową. Skłonił się lekko. Tak, jak przed walką. Otworzył drzwi i zniknął.

Kiedy dojechałem do złomowiska, Ter-ry natychmiast mnie wpuścił.

— Kłóć się — powiedział prowadząc mnie do bunkra, gdzie mieszkają.

Kret wyglądał jak kupa nieszczęścia. Siedział na obciętej beczce po ropie, które są tu używane jako krzesła, łokcie oparł o kolana, brodę podpierał złożonymi dłońmi. Kombinezon miał tak brudny, że mógł uchodzić za ubiór maskujący — blada jak biały ser twarz wyglądała tak, jakby nie należała do ciała i wisiała w powietrzu. Wodził wzrokiem za skaczącą jak wściekła osa Michelle, przy każdym ruchu głową od jego grubych jak denka butelek okularów odbijały się błyski światła. Michelle miała na sobie biały płaszcz z surowego jedwabiu, tak długi, że zakrywał górę wysokich czarnych butów, czarny golf z kaszmiru i czarne bufiaste spodnie. Na szyi długi sznur pereł. Machała nim i wykrzykiwała na Kreta. Obok Kreta siedział Simba. Przekrzywił łeb, postawił uszy. Był zafascynowany tym, co się dzieje.

Kiedy się pojawiliśmy, Michelle wsparła dłonie o biodra i gwałtownie się odwróciła.

— Nie wtrącaj się, Burkę.

— Chciałem porozmawiać z Kretem...

— Porozmawiasz z nim, jak skończę.

— Mamo... — wtrącił się Terry.

Twarz Michelle nagle straciła całą twardość.

— Nic ci do tego, skarbie. Wiesz, że czasami się kłócę z Kretem.

Jak skończymy, będziesz mógł zabrać mnie do miasta na kolację. Zgoda?

Kret spojrzał na mnie.

— Chce się operować — powiedział cicho.

— Krecie!

— Myślisz, że chłopak nie wie?

W tym momencie zapadła cisza. Zapaliłem papierosa, czekałem, co będzie dalej. Terry podszedł do Michelle, ujął ją za rękę.

— Mamo, wszystko jest w porządku.

Pocałowała go krótko w policzek i natychmiast się cofnęła. Stała tuż przed Kretem, pochyliła się, prawie dotykając nosem jego twarzy.

— Chodzi o mój tyłek. Czekałam bardzo długo. Dotychczas gadałam, ale teraz nadszedł czas.

— To niebezpieczne.

— To nie jest niebezpieczne. Wydaje ci się, że to jak przerywanie ciąży drucianym wieszakiem do ubrań? Ci ludzie dobrze wiedzą, co robią.

Kret znów na mnie spojrzał.

— Chce zostać obywatelem.

— Wiem.

— Nikt z was nic nie wie.

Oczy Kreta wyglądały jak zamknięty za szklaną szybą ból w płynie.

— Nie możesz żyć na zewnątrz, Michelle. To nie dla ciebie.

— Tobie chodzi tylko o to, by nie stracić Terry'ego! Ale z ciebie egoista! Chcesz, żeby spędził całe życie na złomowisku? Nigdy nie chodził do szkoły?

— Chodzę do szkoły, mammo... — cicho wtrącił małolat.

— Oczywiście, skarbie. Jestem pewna, że już doskonale wiesz, jak założyć podsłuch albo oszukać alarm. Być może pewnego dnia Kret nauczy cię, jak wysadzać w powietrze domy...  
Kret wyciągnął szyję jak indyk.

— Powiedz jej — rzucił chrapliwie. Nieczęsto mówił takim tonem.  
Terry stuknął palcem w dłoń Michelle, aż skoncentrował na sobie jej uwagę.

— Mammo, studiuję fizykę. I chemię. I matematykę. Naprawdę.

Zapytaj mnie o coś. Burkę załatwił mi książki z pierwszych semestrów. Mammo, wiem wszystko, co w nich jest. Kret jest najlepszym nauczycielem na świecie.

— I co zamierzasz począć z całą tą wiedzą, skarbie? Zostaniesz lekarzem?

— Nie chcę studiować medycyny.

— Oczywiście, wolisz żyć z tym pomyleńcem na złomowisku. Nie pozwolę na to.

— Mammo...

— Przestań mamkać, Terry. Chcesz skończyć jak Burkę? Sprawi ci przyjemność pójście do więzienia?

— Kret nie siedział w więzieniu.

— Zapytaj go dlaczego. Zapytaj swojego wspaniałego nauczyciela, dlaczego nie poszedł do więzienia!

— Wiem, mammo. Wiem, że Burkę wziął wtedy, w tunelu metra, wszystko na siebie. Kret mi o wszystkim opowiadał. Tak się robi w rodzinie.

— Tak się robi między dobrymi przestępcami, skarbie.

— Takie są zasady.

Złapała chłopaka za ramiona. Mocno nim potrząsnęła.

— Znam się trochę na rodzinach. Moi fizyczni rodzice dobrze mnie przetresowali. Nie byli dla mnie rodziną, znalazłam więc sobie nową. Potem znaleźliśmy ciebie. Wszyscy, nie tylko Kret. Nie będziesz dorastał w podziemiu. Nie spędzisz w ten sposób życia.

Łzy spływały chłopakowi strumieniami po policzkach, ale głos nawet mu nie zadrżał.

— Kiedyś mieszkałem wśród obywateli. Pamiętasz, mammo? Pamiętasz, jak mnie znaleźliście?

Michelle uklękła na brudnej ziemi, objęła chłopaka za nogi, zaczęła się zanosić gwałtownym szlochem. Głaskała swego syna po głowie, coś do niego szeptała. Kret ruszył przed siebie. Poszedłem za nim.

— To nie takie proste — powiedział w swój zwykły zwięzły sposób.

— Ta operacja?

— Chłopak. On nie może żyć na zewnątrz. Michelle może byłaby w stanie, ale ta ciągła przepychanka źle na niego działa. Nie powinna mącić mu w głowie.

Kiedy chodziliśmy po złomowisku, z wraków samochodów skakały na nas poszarpane cienie. Zamierzałem przejść między nimi, jednak słysząc psi warkot natychmiast stanąłem. Do białego cadillaca przytulała się suka, przy każdej sutce leżał małeńki piszczący szczeniak. Biały pitbull. Nawet Simba utrzymywał dystans.

— Jeszcze nigdy nie widziałem u ciebie pitbulla. Zdawało mi się, że to psy tylko do walki...

— Terry ją znalazł. Z tamtej strony targu mięsnego odbywały się walki psów... wiesz, tam gdzie stają ciężarówki.

— Wiem.

— Przegrała i zostawili ją, by zdechła. Poskładaliśmy sukę do kupy i teraz należy do sfory.

— Jak Terry.

Kret milczał przez dłuższą chwilę. Zapaliłem następną fajkę. Robiliśmy wielkie koło, chcieliśmy zostawić Michelle i Terry'emu jak najwięcej czasu.

— Chłopak nauczył się już hebrajskiego... — dorzucił zepchnięty do defensywy Kret.  
Zaciągnąłem się głęboko, na myśl przyszło mi czekające niedługo Terry'ego święto Bar Micwah.

Małolat już od dawna wiedział, jak wysadzić dom.

Kiedy wróciliśmy przed bunkier, Mi-chelle siedziała na beczce jak na tronie. Spod pośladków wystawał jej czysty koc. Chłopak siedział na ziemi, Michelle położyła mu dłoń na ramieniu. Czekali na nas.

Kret poszedł do bunkra.

— Mimo wszystko pójdę na operację — oznajmiła Michelle. Przez strach w jej głosie przebijała przekora.

Skłoniłem przed nią głowę.

Na jej usta wypłynął ledwie widoczny uśmiech. Pogłaskała Terry'ego po plecach.

— Skarbie, obiecaj mi, że nie zostaniesz kimś takim jak Burkę — o nic więcej nie proszę.

— Chcę być taki jak Kret.

— Skarbie, Kret to geniusz, nigdy bym cię od niego nie zabrała, pod wieloma względami to wspaniały człowiek... Wiem, że nauczył cię wielu rzeczy, wiem też, że cię kocha, choć może nigdy ci tego nie powiedział.

— Mówił. Powiedział, że jest ze mnie dumny.

— Wiem, kochanie, ale... żeby zaraz tak żyć... Niedługo będziesz mężczyzną. Kret... to znaczy, chcesz żyć tutaj? Nie mieć nigdy dziewczyny?

— Kiedy nadejdzie czas, znajdę kobietę. Towarzyszkę — tak mówi Kret. Mężczyzna musi mieć towarzyszkę.

— Ale przecież Kret... nie ma...

— Mamo, myślałem, że ty...

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem, jak Michelle się czerwieni.

Nim Michelle się odezwała, zdążyłem dojechać do mostu Triborough.

— Myślisz, że Kret coś do mnie czuje?

— Przecież dobrze o tym wiesz. Zawsze tak było. Zapaliła długiego czarnego papierosa.

— Nigdy nie wspomniał ani słowem...

— Ty też nie.

Przykleiłem się do East Side Drive. Co kilka sekund mijaliśmy rzęsiste oświetlone wieżowce.

— Tęsknisz za nią?

— Zawsze będę za nią tęsknił.

— Belle nie żyje, skarbie. Wiesz, kogo mam na myśli. Plymouth pruł prawie pustymi ulicami, jakby miał automatycznego pilota.

— Czasami — odpowiedziałem.

Stałem pod hotelem Michelle.

— Pracujesz dziś w nocy? — spytała.

— Nie.

— To chodź ze mną do „Piwnicy”.

— Kto gra?

— Czy to ważne? Jak nam się nie spodoba, to sobie pójdziemy.

— Dobrze — zgodziłem się, skręcając kierownicę, by włączyć się do ruchu.

— Stój! Co ty wyprawiasz?

— Powiedziałaś...

— Słonko, przecież byłem na złomowisku. Zaparkuj i zaczekaj na mnie w barze na dole.

Przebiorę się w dwie minuty.

Oczywiście.



W rogu baru z sufitu zwisał telewizor z monstrualnym ekranem. Zamówiłem wódkę z tonikiem, kazałem barmance podać je osobno. Zacząłem popijać tonik.

Zaczynała się właśnie transmisja meczu futbolowego. Trzech komentatorów — dwóch białych i Murzyn — w eleganckich klubowych kurtkach komentowało mecz, jakby chodziło o wojnę w Zatoce Perskiej. Jeden z białych mówił właśnie, że „będzie to prawdziwa bitwa”.

Murzyn kiwał na to głową jak człowiek, któremu objawiono podstawowy dogmat wiary. Mężczyźni przy barze zaczęli wydawać z siebie potakujące pomruki. Było to tak samo puste gadanie jak wojna z handlarzami narkotyków. Gdyby naprawdę prowadzono wojnę, drużyny wysadzałyby w powietrze szatnie przeciwnika. Kret miał rację — nigdy nie zostaniemy obywatelami. Tam gdzie dorastałem, nie istniała gra fair.

— Co według pana będzie kluczem do zwycięstwa w dzisiejszym meczu? — spytał jeden z komentatorów.

Typek, którego zapytano, wybełkotał coś o „obbronie”. Cymbał. O wszystkim decyduje lekarz drużyny. Jedyna wojna, jaką prowadzi się w zawodowym futbolu, jest prowadzona za pomocą chemikaliów.

Barmanka przechyliła się przez bar i spytała, czy chcę poprawkę — piersi o mało nie wyskoczyły jej przy tym przez dekolt. Pomyślałem o Candy i jej silikonowych wszczepach. Gdzie kończy się prawda?

Michelle stuknęła mnie w ramię. Założyła wąską spódnicę w czarno-czerwone pasy i czarną pikowaną kurtkę z białymi rękawami. Włosy spięła na czubku głowy, zmyła prawie całkiem makijaż. Wyglądała świeżo i wesoło. Położyłem na barze dziesięć dolarów i zostawiłem w popielniczce palącego się papierosa. Nikt nie zwrócił uwagi, że wychodzimy — sędzia właśnie odgwizdał początek meczu.

Starałem się zabić czas. Kręciłem się jak pies wokół własnego ogona. Nie czekałem — jak przez całe moje dotychczasowe życie — na kwiat paproci. Kwiat paproci już raz pojawił się w moim życiu, szybko jednak przekwitł.

Do Mamy zadzwonił Jaques — jest handlarzem broni i jego bazą jest mała niewinna budka z kiełbaskami w Bedford-Stuyvesant. Znalazłem automat, oddzwoniłem.

— Mam klienta na piecyki, nnnie? — doleciał ze słuchawki jego śpiewny karaibski akcent.

— Dlaczego dzwonicz do mnie?

— To Haitańczyk, nnnie? Niesamowity, rozumiesz, do tego ta gadanina o żywych trupach...

— Jasne — przerwałem. Między Brooklynem i Queenssem krąży armia Haitańczyków, czekających na dzień, w którym odbiorą swą ziemię od Tonton Macoutes. Nie boją się żywych, ale duch Papy Doca do dziś straszy ich dzieci.

— Nie kręcę się po mieście, wiesz, nnnie? On też do mnie nie przyjedzie. Potrzebuję człowieka, który pojedzie na wycieczkę.

— Nie dostarczam przesyłek.

— Oczywiście... przecież wiesz, jak to się odbywa. Idziesz na spotkanie, płacą ci, dzwonicz do mnie, ja mówię, skąd mogą odebrać towar.

— A ja czekam, aż wróci ich człowiek z towarem?

— Oczywiście.

— Ile teraz płacisz zakładnikom?

— Nnnie, nie rozmawiaj tak ze mną, przyjacielu... Nikt nie zamierza robić problemów. To przecież nie handlarze białym proszkiem.

— Jasne...

— Dobijmy targu, co? Dobry biznes dla mnie, dobry dla ciebie.

— Jak dobry?

- Kilka godzin pracy, powiedzmy... pięć?
- Okay.
- Stoi?
- Zobaczymy się lada dzień — powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

W głosie Jaquesa brzmiało prawdziwe zdziwienie. Zarabiał na pewno sześciocyfrową sumę, a ja sprzedałem się za grosze. Kryła się za tym pewna tajemnica, o której nie miał zielonego pojęcia. Po prostu miałem wszystko w dupie.

aparkowałem plymoutha niedaleko rogu Czterdziestej Drugiej i West Side Highway i poszedłem na piechotę do West Avenue, by złapać kolejkę do South Jamaica. Na tawce przed stacją siedział młodzieniec i chichotał z artykułu, który czytał właśnie w jakimś czasopiśmie. Postawiłem nogę na ławce, zapaliłem fajkę, zaryzykowałem rzut oka przez jego ramię. W artykule była mowa o tym, jak zabezpieczyć samochód przed kradzieżą.

Pomaszerowałem na dół, po drodze wyciągnąłem z kieszeni żeton. Tuż za kołowrotkiem siedziała ubrana jak zakonnica Murzynka, na kolanach trzymała płaski koszyk pełen monet. Twarz miała skupioną, oczy wypełnione pokojem i miłością.

- Pomoże pan bezdomnym? — spytała.
- Proszę najpierw powiedzieć coś po łacinie.
- Pierdol się — powiedziała łagodnie.

Każdy ma swojego alfonsa.

Nadjechał mój pociąg. Przy Queens Plaza wsiadł ogromny Murzyn. Zaczął chodzić po wagonie oświadczać, że to jego pociąg, jest weteranem z Wietnamu, w jego pociągu nikt nie będzie robił żadnych numerów i pasażerowie mogą się czuć bezpiecznie. Zdjął czapkę i zaczął obchodzić wagon, zbierając składki na realizację swego programu. Naprzeciwko mnie, nieco z prawej strony, siedział młody Agata. Ręce położył na kolanach, w jednej dłoni trzymał zwiniętego „Timesa”, w drugiej słownik. Murzyn skasował parę drobniaków od kobiety siedzącej dwa miejsca ode mnie, popatrzył mi w twarz, przeszedł dalej. Na lewo siedział koleś o twarzy szczura doświadczalnego. Wrzucił do czapki kilka monet. Kiedy Murzyn zaczął zbierać pieniądze po przeciwnej stronie wagonu, zacząłem obserwować Azjatę. Po chwili czapka z drobnymi wylądowała mu prosto na kolanach, on jednak patrzył dalej przed siebie nieruchomym wzrokiem. Murzyn poszurał czapką o gazetę, stał jak skamieniały. Azjata sięgnął do czapki, wziął garść drobnych i zaczął nimi pobrzękiwać. Murzyn zabrał czapkę, Azjata wrzucił do niej trzymane w dłoni drobne.

Murzyn pomaszerał do następnego wagonu. Być może naprawdę był weteranem z Wietnamu.

Dojechałem prawie do końca trasy. Ruszyłem Sutphin Boulevard, rozglądałem się za opisanym przez Jaquesa domem.

Trzech młodych Murzynów obserwowało ulicę z białego suzuki samuraja bez dachu. Kierowca patrzył przed siebie, siedzący obok niego pasażer lustrował lewy chodnik, trzeci siedział z tyłu. Kiedy mnie zobaczył, niby przypadkiem objął ręką owinięty grubą warstwą gąbki pałak przeciwnapotażowy. Chłopak z przedniego siedzenia wyszedł i przysiadł na masce. Z przewieszzonego przez ramię białego futerału wystawał mu telefon komórkowy. Na szyi miał z pięć kilo złota, na nogach nowiusieńkie pomarańczowe adidas, całości dopełniała biała skórzana kurtka z klapami o tylu fałdach, że przywodziły na myśl akordeon. Szedłem trzymając dłonie na widoku. Kierowca sięgnął pod deskę rozdzielczą, dryblas z tylnego siedzenia wysiadł. Na prawej ręce miał trzy sygnety, tak zrobione, że kostki osłaniała mu płyta z masywnego złota. Przyłożył dłoń do policzka, na złocie odczytałem napis: ODLOT. Ten z telefonem pod pachą zdjął okulary, uniósł brwi, postukał się palcem w nos. Patrzyłem przez nich na wylot, nawet nie zwolniłem kroku. Handlarze crackiem, którzy nie mają nic do ukrycia. Mówią na siebie „pistolety”. Aż się iskrzą. Są jak dopalający się lont przy beczce prochu.

Obsikiwali rewir jako swój w nieodpowiedniej okolicy — ten teren należy do armii rastamanów. Ostatni oddział, który przyjechał tu z Brooklynu, zniknął bez śladu. Państwo krzyczy, że prowadzi wojnę z narkomanią, ale jedyna prowadzona tu w związku z narkotykami wojna toczy się między gangami handlarzy.

Znalazłem dom, którego szukałem. Zapukałem cztery razy do drzwi znajdujących się w bocznej

ścianie i zostałem wpuszczony do środka. Byłem w suterenie. Nikt z obecnych nie znał słowa po angielsku, kilku pomrukiwało pod nosem coś, co mogło być francuskim. Pokazali stojącą na ziemi walizkę, otworzyli ją. Zajrzałem do niej, szybko przeliczyłem pliki. Wskazali na telefon.

Zadzwoiłem do Jaquesa.

- To ja. Mają jeden dwadzieścia pięć.
- Nowe czy używane?
- Używane, bez kolejnych numerów, ale nie mam przy sobie testera, bracie.
- W porządku. Bierz.

Ten, który pokazywał, gdzie stoi walizka, usłyszał, że rozmawiam z Jaquesem, zagadał coś do pozostałych. Wyszli — innymi drzwiami niż te, którymi wchodziłem. Usiadłem. Powiedziałem Jaquesowi, że pieniądze wyglądają okay, ale nie dałem mu gwarancji. Jeśli forsa była lewa, ryzykowałem tak samo jak i on — moje pięć kawałków miało z pewnością pochodzić z tej walizki.

Wsunąłem dłoń do kieszeni, by wyjąć papierosy. Strażnik, który czekał ze mną, powiedział: „Spokojnie... spokojnie...” i bardzo powoli wyjąłem rękę. Kiedy przytknąłem zapalną do papierosa, pojąłem, że wcale nie mówił do mnie.

Wrócili przed upływem dwóch godzin.

Wziąłem walizkę i wyszedłem na ulicę. Nim zdążyłem dojść do rogu, podjechała do krawężnika ciemna limuzyna, błysnęła światłami. Szyba w drzwiach opadła i melodyjny karaibski głos zapytał:

— Burkę?

Wsiadłem na tylne siedzenie. Samochód ruszył łagodnie. Na następnym skrzyżowaniu wjechał przed nas taki sam samochód, byłem pewien, że za nami jedzie następny. Zatrzymaliśmy się na światłach przy Queens Boulevard, jeden z siedzących na przednim siedzeniu ludzi wysiadł i zaniósł walizkę do samochodu przed nami. Nim wrócił, limuzyna z przodu wystrzeliła przed siebie z piskiem opon.

Wysadzili mnie przy Times Square. Dali kopertę. Doszedłem do plymoutha spacerkiem.

Dużo spacerowałem sam po mieście. I 1 Czekala mnie sprawa w sądzie, ale JLx nie wisała mi nad głową jak miecz Damoklesa. Davidson miał rację — jeśli nie zrobię nic głupiego, będzie dobrze.

Z tym, że wcale nie czułem się dobrze.

Po kilku następnych martwych dniach zadzwoniłem do Candy.

Kiedy otworzyła drzwi, miała na sobie pomarańczową bawełnianą bluzę do kolan. Na spoconej twarzy nie było prawie makijażu. Nie miała też szkieł kontaktowych — żółte oczy patrzyły cierpliwie.

Mieszkanie wyglądało tak jak przedtem. Na stoliku stały w wazonie z nierdzewnej stali nie rozkwitłe róże. Powietrze pachniało pstro, było najonizowane jak po burzy.

Usiadłem na kanapie. Candy usiadła podwijając nogi pod siebie, kiedy zapaliłem papierosa, zmarszczyła nos. Czekałem, co powie.

— Mam córkę — zaczęła.

Zaciągnąłem się, obserwowałem żar.

— Nie wyglądasz na zaskoczonego.

— Nie znam cię.

— Ale ja ciebie znam. Wcale się nie zmieniłeś. Ja też nie.

— Na pewno.

— Ma prawie siedemnaście lat. Zawsze miała wszystko, co lajlepsze. Absolutnie naj naj naj.

Ubrania szyte przez projektantów nody, lekcje tańca, prywatne szkoły. W ostatniej szkole, do której chodziła, mieli nawet w regulaminie spec'alny punkt dotyczący wizyt chłopców w pokojach. Musiał cały czas trzymać przynajmniej jedną nogę na podłodze. — Usta Candy skrzywiły się

ironicznie, jej śmiech nie płynął z brzucha. — Wyobrażasz sobie? Byłam starsza ad niej, nim się dowiedziałam, że można się różnić na leżąco. Pamiętasz?

Pamiętałam. Byliśmy na ciemnej klatce schodowej na tyłach budynku, w którym Candy mieszkała z matką w wąskim i długim jak tramwaj pokoju na ostatnim piętrze. Candy stała stopień wyżej, odwrócona do mnie plecami, z zadartą spódnicą. Pamiętałam, jak z dwoma chłopakami wyczyściliśmy w bramie za jednym z portowych barów pijanego marynarza. Jak miałem nadzieję, że kupię jej za swój udział sweter, o którym marzyła, a sobie jeszcze kilka minut na schodach.

— Ma na imię Elwira. Ładnie, prawda? Chciałam, by dostała wszystko, czego ja nie miałam. — Pomachała dłonią, jakby zamierzała dać mi do zrozumienia, że ta sterylna poczekalnia, w której siedzimy, to jej biuro. — Tylko dlatego to zorganizowałam.

Patrzyłem w jej zakłamanie oczy, czekałem na resztę.

— Parę miesięcy temu uciekła ze szkoły i od tego czasu jest w sekcie w Brooklynie. Nie wiem nic więcej... nawet tego, jak się nazywają, poza tym, że facet, który tam rządzi, każe na siebie mówić Train. Nie mam pojęcia, jak ją znalazł. Byłam tam raz, ale nie pozwolili mi rozmawiać z Elwirą. Powiedziałam im, że jest nieletnia, ale musieli coś o mnie wiedzieć, może od niej. Odpowiedzieli, żebym zadzwoniła na policję.

Zapaliłem następnego papierosa.

— Chcę ją mieć z powrotem. Należy do mnie, nie do nich. Jest za młoda na coś takiego. Potrzebuje pomocy. Możliwe nawet, że będzie trzeba skierować ją na leczenie. Ona...

— Czego chcesz ode mnie? — przerwałem.

Uniosła wzrok i popatrzyła mi prosto w oczy.

— Wyciągnij ją stamtąd. Przyrowadź ją z powrotem.

— Nie zajmuję się takimi rzeczami.

— Zajmujesz. Ciągłe robisz coś podobnego. Głównie właśnie tym się zajmujesz. Robiłeś to, zanim...

Spojrzałem na nią pytająco.

Wskazała na mnie palcem, zgięła kciuk, cicho powiedziała: „Pif paf”...

Pokręciłem głową.

— Wszystko, co masz zrobić, to zapytać. Pójść, spotkać się z Trainem i spytać go, czy pozwoli ci odejść z Elwirą.

— A jak się nie zgodzi?

— To wymyślę coś innego.

— Od razu wymyśl coś innego.

— Nie! Chcę żyć jak dotychczas. Bez najmniejszej zmiany. Musisz go tylko poprosić.

— Dlaczego miałby się zgodzić?

— Nieważne. Zgodzi się. Wiem, że się zgodzi.

Wstałem z kanapy, podszedłem do okna. Na zewnątrz było ciemno, fasada budynku po przeciwnej stronie ulicy była jak lakropiona plamkami światła. W Candy nic nie było prawdziwe.

— Powiedz mi całą prawdę — kazałem.

— Pójdiesz do sekty. Zapytasz Traina o Elwirę. Wyda ci ją i przyrowadzisz mi córkę do domu.

— A jeśli powie „nie”?

— Pójdiesz sobie.

— Nic więcej?

— Nic więcej.

— Co to za sekta? Każą dziewczynom zarabiać na ulicy, zebrać, sprzedawać kwiaty?

— Nie wiem.

— Jak pisze się to nazwisko? Train?

— Jak tran z „i” w środku.

Zapaliłem kolejnego papierosa.

— Powiedziałas, że mi zapłacisz.

— Powiedziałam, że dam ci, co tylko zechcesz.

- Chcę pieniędzy.
  - Powiedz ile. Kiedy wrócisz, będą na ciebie czekały.
- Uśmiechnąłem się.  
Twarz Candy nie drgnęła.
- Połowa teraz, połowa, jak wrócisz.
  - Pięć teraz.

Wyszła z pokoju klapiąc bosymi stopami o podłogę. Nacisnąłem na telefonie klawisz powtarzający ostatni numer, pod który dzwoniło, zapamiętałem numer, który się pojawił, i odłożyłem słuchawkę, nim po tamtej stronie zdążył odezwać się dzwonek.

Candy wróciła, podała mi gruby plik spiętych gumką banknotów.

- Teraz ci powiem, co o nim wiem — oznajmiła, sadowiac się na kanapie.

Zabrałem się do roboty jak należy. Niełatwo zapomnieć nawyki. Tak samo, jak kobietę, którą kochałem.

Siedzibę sekty urządzono w byłych zakładach mięsnych, leżących w trójkącie między Atlantic i Flatbush na skraju kwartału odnowionych budynków, ciągnącego się na wschód od Boerum Hill. Budynek należał do towarzystwa zarejestrowanego jako „wyższej użyteczności”. Trzy piętra. Na parterze rampa do rozładunku ciężarówek. Okna od frontu nowe, plastikowe, boki budynku wykonane z nie otynkowanej cegły. Okna wychodzące na tył okratowano. Drzwi wejściowe ze stali, wpuszczone kilka centymetrów w futrynę. Urząd Planowania Miasta miał plany budynku. Cały interes został cztery lata temu wyremontowany od piwnic po dach, na którym dobudowano szklaną kopułę.

Ruch przy wejściu był niewielki — odwiedzającymi w większości byli młodzi i biali, przychodzący z pustymi rękami. Mało osób wychodziło.

Umówiłem się z pewnym znajomym — byłym gliniarzem, który nawet nie udaje uczciwego. Za trzysta powiedział, że w środku jest sześć telefonów i dwa automaty.

- Chcesz mieć numery i spis rozmów?
- Za ile?
- Za patyka dam ci numery z rachunkami za ostatni miesiąc.
- Zastanowię się.

Na towarzystwo były zarejestrowane cztery samochody. Dwa dostawcze, kombi, limuzyna mercedes.

Za pięćset kupiłem ich deklarację podatkową. Towarzystwo lazywało się „Misja 999”, w minionym roku wydali ponad trzysta tysięcy z datków, z których żaden nie przekraczał dwóch tysięcy. Ten, komu zapłaciłem, powiedział, że urząd skarbowy jeszcze nie przeprowadził u nich kontroli.

Miałem zdjęcie Elwiry — ładnej brunetki w szkolnym mundurku.

Jej uśmiech coś mi przypominał, ale nie umiałem określić co.

Opowiedziałem Maxowi o robocie. Siedzieliśmy w restauracji Mamy, i szkicowałem plan budynku. Max raz za razem stukał palcem w papier, nie popuścił, póki nie narysowałem każdego szczegółu, jaki zapamiętałem. Zwinął dłoń w rurkę, przyłożył ją do oka, machnął szybko małym palcem. Pokręciłem głową — nie potrzebuję zdjęć. Kiedy skończyłem, podałem Maxowi rysunek. Zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął, powoli wypuścił nosem dym. Koncentrował się.

Po chwili zgasił papierosa, sięgnął dłonią ku podłodze, zrobił nią ruch, jakby wyrывał chwasty. Znow pokręciłem głową. Nie zamierzałem łapać dzieciaka siłą. Powtórzyliśmy wszystko jeszcze

raz, potem jeszcze raz. W końcu skinął głową.

Następnego dnia rano zaparkowaliśmy dwie przecznice od siedziby sekty i przeszliśmy resztę drogi na piechotę. Cicho i w milczeniu. Zapukałem do stalowych drzwi. Max stał >bok mnie, skoncentrowany, gotowy.

Drzwi otworzył młody chłopak, miał najwyżej osiemnaście lat. Jbrany był w oślepiająco białe kimono, związane luźno czarnym >asem wokół talii, na czole zawiązał czarną przepaskę.

— Czym mogę służyć?

— Chciałbym rozmawiać z Trainem.

— Pańskie nazwisko?

— Burkę.

— Proszę zaczekać. — Delikatnie zamknął drzwi. Z zewnątrz nie dochodził najmniejszy dźwięk. Nie czekaliśmy długo.

— Proszę za mną.

Zaprowadził nas do długiego, wąskiego pomieszczenia. Zza ścian dochodziły odgłosy kuchni, wokół przewijało się mnóstwo młodych ludzi. Uśmiechali się, patrzyli radośnie wokół siebie.

— Tędy — powiedział nasz przewodnik, ruszając w kierunku śchodów.

Weszliśmy na pierwsze piętro. Słychać było terkot maszyny do rankowania listów, dzwoniące telefony. Tu też wszędzie chodzili ludzie, nikt nie zwracał na nas uwagi.

Weszliśmy na kolejne schody. Panowała cisza, wszystkie drzwi były pozamykane. Koles w stroju karateki ani razu się nie odwrócił.

Otworzył drzwi u szczytu schodów. Odsunął się i wykonał gest, byśmy weszli. Znaleźliśmy się w pokoju wielkości boiska koszykówki. Podłoga wykonana była z sosnowych desek, które aż białły z czystości. Ściany w kolorze skorupki jajka, w oknach żaluzje, odsłonięte tak, że promienie słońca tworzyły na podłodze poziome pasy. Wpadające przez okno w suficie światło rysowało na środku pokoju jasny prostokąt. W centrum plamy światła stał przypominający monstrualną łzę kloc betonu. Przewodnik zaprowadził nas do owego tworu. W betonie było zagłębienie, wyłożone białymi i czerwonymi poduszkami. Fotel.

— Proszę zaczekać — powiedział młodzieniec. Przeszedł przez pokój, zapukał do drzwi w jednej ze ścian, wrócił do nas i zamarł w bezruchu. Na betonowym fotelu widać było tęczę. Spojrzałem w górę — z sufitu zwieszał się długi, łukowaty pryzmat.

Otworzyły się drzwi, na czele uformowanego w klin sześciuosobowego oddziałku siedł mężczyzna. Ciemnowłosa, średniego wzrostu. Był boso, miał na sobie szerokie, sprane bawełniane spodnie. Spod białej szaty z lejącego się materiału wyzierała naga pierś.

— Nazywam się Train — oznajmił. Mówił tylko do mnie, Maxa traktował jak powietrze.

— Burkę.

— Przynieście gościom krzesła — rzucił w przestrzeń. Usiadł, po jego bokach stanęło dwóch mężczyzn. Pozostali czterej wnieśli blok betonu — wykuto w nim zagłębienia do noszenia. Postawili krzesło i poszli po następne. Nikt się nie odzywał. Drugi blok postawili tuż przy pierwszym, znów zniknęli, wrócili z czarnymi poduszkami, które poukładali w zagłębieniach krzesel. Usiadłem bliżej okna, a Max, nim usiadł, dokładnie rozejrzał się wokół. Jeden z mężczyzn postawił między nami metalową misę. Czterej tragarze wyszli. Kiedy Train mówił, siedzący obok niego mężczyźni uważnie mnie obserwowali. W ich spojrzeniach nie było nic wesołego.

— Chciał pan ze mną rozmawiać. — Głos Traina brzmiał dźwięcznie i spokojnie, niemal uprzejmie.

Sięgnąłem do kieszeni. Oczywiście Traina nawet nie drgnęły. Wyjąłem fajkę, zapaliłem ją, wrzuciłem zapalniczkę do misy.

— Ma pan dziewczynę, nazywa się Elwira. Jej matka chce ją mieć z powrotem.

— To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?

— To połowa. Przyszedłem ją zabrać.

— Tak po prostu?

Wzruszyłem ramionami.

— Chciałby pan wiedzieć, dlaczego się tu znalazła?

— Nie.

— Albo jak do tego doszło?

— Też nie.

Zamknął oczy, przyłożył czubki palców do skroni, jakby czekał a natchnienie.

— Czy jest pan prywatnym detektywem?

— Nie.

— Co będzie, jeśli zechce zostać z nami?

— Jest nieletnia. Nie ma wyboru.

— Każdy ma wybór.

— Przynajmniej próbuje go mieć.

Znów przyłożył palce do skroni.

— Możemy o tym podyskutować?

— O czym tu dyskutować?

— Ludzie bardzo mnie interesują. Dlaczego robią różne rzeczy. Wiedza o tym pomaga mi w pracy. Byłby pan zainteresowany jawną propozycją?

— Słucham.

Nachylił tułów do przodu.

— Interesuje mnie pan. Dlaczego pan robi to, co robi. Chciałbym, żebyśmy porozmawiali — tylko my dwaj, nie dłużej niż godzinę. Pan odpowie na moje pytania, ja — jeśli będzie pan jakies miał — na pańskie. Przygotuję dziewczynę, wróci pan jutro i odejdzie z nią. Wygląda to uczciwie?

— Tak.

Dałem Maxowi znak. Wstał płynnym ruchem, ruszył w kierunku Traina. Choć Train nawet nie drgnął, obaj strażnicy stanęli przed nim. Max szedł dalej. Nie słyszałem, co Train powiedział, jednak kiedy Max doszedł do fotela, rozdzielili się. Max ujął Traina za rękę, obracał dłonią na wszystkie strony, dokładnie ją studiował. Kiedy skończył, cofnął się, skinął mi głową.

Oświetlone sztuczną tęczą oczy Traina drgnęły.

— Po co to było?

— Mój brat teraz wyjdzie, ja z panem porozmawiam. Tak jak pan chciał. Wrócę jutro po dziewczynę. Jak pan obiecał.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Jest. Dotrzyma pan słowa, wszystko będzie w porządku. Nie dotrzyma go pan, mój brat złoży panu wizytę. Jeśli do tego dojdzie, pozna pana.

Train wzruszył ramionami. Max wrócił do swojego krzesła, wetknął palce w zagłębienia do noszenia i zaczął podnosić kloc betonu. Poza świstem powietrza z płaskiego nosa Maxa nie było słyhać żadnego dźwięku.

To popisywanie się siłą nie było w jego stylu.

Max powoli odstawił kloc na podłogę. Ukłonił się Trainowi, ruszył w kierunku drzwi, którymi weszliśmy. Koleś w kimonie zastawił mu drogę, czekał na znak od swojego szefa. Zanim Train zdążył pokręcić głową, młodzian leżał na ziemi z twarzą zalaną krwią i delikatnie trzymał się za żebra, by nie wbiły mu się w płuco. Maxa już nie było.

Zapaliłem następnego papierosa.

— Rozmawiajmy — powiedziałem.

Obaj wartownicy pomogli wstać karatece. Wyszli tymi samymi drzwiami co Max i zostawili nas samych. Trainów przyłożył palce do skroni.

Panowała całkowita cisza.

- Jak się pan określa? — zaczął.
- Burkę.
- Mam na myśli jako kto. Mówi pan, że nie jest prywatnym letektywem... nie jest pan też adwokatem, lekarzem... każdy czymś est. Pan specjalizuje się w...
- Czekaniu.
- Oczy Traina w dalszym ciągu były spokojne.
- Prowadźmy dialog. Tak jak zostało ustalone.
- Potaknąłem.
- Jestem zwykłym człowiekiem. Sądzę, że można by mnie lażwać pracownikiem kontraktowym.
- Mógłby pan to bliżej wyjaśnić?
- Przyjmuję od ludzi zlecenia. Obiecuję coś dla nich zrobić, jni obiecują zrobić coś dla mnie.
- Zapłacić?
- W niektórych przypadkach.
- A w pozostałych?
- To zależy. Potrzebuję różnych rzeczy — tak samo jak pan czy ktokolwiek inny. Wykonuję pracę, by dostać te rzeczy. Nie zawsze są to pieniądze.
- A więc można pana wynająć?
- Tylko ci, których znam, albo którzy znają moich ludzi.
- Ta dziewczyna, którą chce pan dostać... czy jej matka pana wynajęła?
- Tak.
- A pan ją zna?
- Tak.
- Pracował pan jako ochrona osobista?
- Nie.
- Dlaczego?
- Ochroniarz może zostać w czasie pracy ranny. Albo zginąć.
- Jego dolna warga drgnęła.
- Boi się pan zostać ranny?
- Albo zginąć.
- Betonowe krzesło było wygodne. Zapaliłem kolejnego papierosa. Train zmienił pozycję, oparł łokcie o kolana, skłonił tułów do przodu.
- Czuje się pan u mnie bezpiecznie?
- Nie.
- Dlaczego? Pański... brat, jak go pan nazwał, wygląda na... dość silnego. Czemu go pan przyprowadził?
- Nie ma go tu.
- Zdziwiło mnie, że go pan odesłał. Odebrałem to jako... gest zaufania. Taki sam, jak to, że kazałem odejść moim ludziom. Jesteśmy sami — boi się mnie pan?
- Nieszczęśliwie.
- A więc...?
- Siedzę w fotelu. W pańskim. Może być naszpikowany materiałem wybuchowym albo może się nagle znaleźć pod napięciem. Może być na celowniku snajpera... coś w tym stylu.
- Ale nie uważa pan, że tak jest?
- Nie. Nie uważam.
- Czy poczułby się pan lepiej, gdybyśmy zamienili się miejscami?
- Nie. To nie gra roli.
- Jest pan uzbrojony? Ma pan przy sobie broń?
- Nie.
- Przebywał pan kiedyś w zamknięciu?
- Tak.
- W więzieniu?



- Tak.
- Był pan niewinny?
- Za którym razem?

Jego uśmiech błysnął na tak krótki moment, że nie byłem ;wien, czy w ogóle się uśmiechnął.

— Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdyby przyłączył się do is na parę minut ktoś z moich ludzi?

- Po co?
- Ma szczególną umiejętność. Bardzo by pomogła w naszym ialogu.
- Wzruszyłem ramionami.
- Na pewno nie będzie to panu przeszkadzało?
- Mamy umowę.
- No tak...

Pstryknął palcami, w pokoju rozległ się trzask, jakby ktoś amał suchą gałązkę. Drzwi za jego plecami otworzyły się i do okaju weszła kobieta. Miała długie gęste włosy, zaplecione w gruby warkocz, opadający z przodu na jasnofioletową szatę. Stała obok raina, przyglądała mi się uważnie. Miała wielkie oczy, skórę, ikby pochodziła z tropików, szerokie usta. Paznokcie pomalowane iemnym lakierem.

— Reba — przedstawił Train.

Zapaliłem następnego papierosa. Train przyłożył palce do adgarstka kobiety. Stała nieruchomo jak pomnik.

- Poddawał się pan kiedyś badaniu za pomocą detektora łamstw?
- Pewnie.
- Przeszedł pan go pozytywnie?

Mało brakowało, a bym się uśmiechnął.

- Gliniarze nigdy tego nie mówią.
- Ja panu powiem.

Uniosłem brwi, czekałem.

— Reba jest jak detektor kłamstw. Wie pan, jak to działa? Mierzy się zmiany przewodnictwa elektrycznego skóry, puls...

- Wiem.
- Reba umie to robić ciałem. Pozwoli pan?
- Proszę.

Kobieta niezauważalnym ruchem zrzuciła z siebie szatę, ruszyła w moim kierunku. Była naga i bosa. Nie traciłem z oczu Traina i leżącej u jego stóp kupki fioletowego materiału. Podeszła do mnie z prawej strony, uklękła obok betonowego bloku. Jej piersi dotknęły mojego przedramienia, przygwoździły go do podłoża. Prawą rękę wsunęła mi za pazuchę, rozpięła koszulę, pogłaskała dłonią okolice serca, delikatnie zatrzymała tuż pod nim. Dwa palce lewej dłoni poczułem na karku. Kątem oka zobaczyłem warkocz, znikający za plecami. Jej plecy wyginały się wdzięcznie aż do pośladków, skóra na podeszwach stóp była zgrubiała.

— Wie pan, na czym to polega — powiedział Train. — Proszę odpowiadać jedynie tak lub nie.

Zaciągnąłem się, strząsnąłem popiół z papierosa.

- Był pan kiedyś w więzieniu?
- Tak.
- Czy zabił pan kogoś?

Popatrzyłem na niego bez słowa, twarz miałem nieruchomą jak maska. Pytał dalej, jakbym odpowiedział.

- Czy złamał pan kiedyś prawo?
- Tak.
- Czy jest pan zawodowym mordercą?
- Nie.
- Płaci pan podatki?
- Tak.

- Czy matka Elwiry pana wynajęła?
- Tak.
- Czy przed rozmową z nią słyszał pan o mnie?
- Nie.
- Chce mi pan zaszkodzić?
- Nie.
- Czy widział pan kiedyś Elwirę?
- Nie.
- Czy pracuje pan dla kogoś poza kobietą, która twierdzi, że jest matką Elwiry?
- Nie.

Wrzuciłem niedopałek do metalowej miski. Patrzyłem na unoszącą się strużkę dymu, znów popatrzyłem Trainowi w oczy, potem przesunąłem wzrok dalej w prawo. Po kręgosłupie Reby spływała Icropla potu. Podniosła głowę, przytknęła mi usta do ucha.

— Mówi pan prawdę — szepnęła. Zabrała dłoń spod mojego serca, kiedy wstawała, dłoń delikatnie musnęła mnie w kroku. Podeszła do Traina — całe plecy miała spocone. Kiedy go mijala, spojrział jej w oczy. Wyszła z pokoju, nie schylając się po swą szatę.

Dłonie Traina znów powędrowały do skroni.

- Co sądzi pan o moich zabezpieczeniach?
- Których?
- Nie rozumiem.
- Przed włamaniem? Przed podsłuchem? Przed bombami zapalającymi? Przed czym?
- No tak, rozumiem. Mam na myśli ochronę osobistą... czy uważa pan, że jestem odpowiednio zabezpieczony przed atakiem na moją osobę?
- Zaatakowanie pana wydaje mi się dość łatwe.
- Proszę uzasadnić.
- Wszedłem tu z moim bratem. Gdybyśmy chcieli, nie żyłby pan w momencie wejścia do tego pomieszczenia.

Machnął ręką.

- Nie mówmy o tym. Co by było, gdyby chciał mnie pan zabić bez wchodzenia do tego budynku?
- Wychodzi pan czasami?
- Czasami.
- Trzeba by to zrobić wtedy.
- Jak?
- Jest masa sposobów. Zastrzelić, zatłuc, zasztyletować...
- A gdybym miał goryli? Prawdziwych goryli?
- Kulołapów?
- Powiedzmy.
- Wtedy może pana załatwić ktoś z dachu. Albo wysadzić samochód ze wszystkimi, którzy są w środku.

- A gdybym nie wychodził z domu?
- Podpalenie, wtedy sam pan by wybiegł.

Train przez chwilę krążył głową, próbował rozluźnić napięcie w karku. W jego oczach pojawiła się lekka mgiełka. Może było to odbicie tęczy. W końcu skinął głową.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan tu robi? — spytał.
- Nie.
- Interesuje to pana?
- Nie.
- Kiedy rozmawialiśmy przed paroma minutami... o zamachach... czy zrozumiałem pana dobrze, że nie wierzy pan w możliwość obrony, jeśli chce się kogoś zabić? Że nie ma szansy się obronić? O to panu chodziło?
- Nie.

— Co można przedsięwziąć?

— Załatwić wrogów, nim oni załatwią pana.

Dotknął czołem złożonych dłoni, jakby się modlił. Uniósł głowę.

— Należy pan do tych, co dotrzymują słowa, i ja też dotrzymam umowy. Proszę przyjść jutro, po siódmej wieczorem. Do tego czasu dziewczyna, na którą mówi pan Elwira, będzie gotowa, by z panem odejść.

Znów strzelił palcami. Otworzyły się drzwi za jego plecami, wszedł jeden z wartowników.

Wstałem. Ukłoniłem się Trainowi i wyszedłem. Strażnik był tuż za moimi plecami.

Kiedy opuszczałem budynek, było ciemno. Nie odwróciłem się ani razu.

Wsiadłem do plymoutha, włączyłem silnik, czekałem.

Po chwili otworzyły się prawe drzwi, do środka cicho jak cień wsunął się Max. Pokręcił głową — nikt za mną nie szedł.

Po powrocie do restauracji opowiedziałem Maxowi, co działo się po jego wyjściu. Nie drgnął mu ani jeden mięsień na twarzy, ale czułem jego współczucie. Chciałby, żeby Train oszczędził mi badania przez Rebę. Zrobiłem gest oznaczający snajpera, obserwującego Traina z dachu. Max pokazał na mnie palcem — pytał. Pokręciłem głową. Lewa ręka znów była snajperem, prawa dłoń zaszła go od tyłu. Wyprostowałem prawą dłoń i zacząłem uderzać w snajpera, aż leżał rozplaszczony na stole. Max znów wyciągnął ku mnie palec. „Czy Train chce nas zaangażować”? „Nie”.

Nie miałem pojęcia, czego od nas chce. Jutro zabierzemy dziewczynę i na tym sprawa się zakończy.

Znalazłem Prora przy pracy w Salonie — tak mieszkający w kanałach bezdomni mówią na wielką jak namiot cyrkowy halę Grand Central Station. Siedział oparty o ścianę niedaleko cukierni. Między nogami miał zwinięty brudny koc, kulę oparł obok o ścianę, stojący przed nim papierowy talerzyk był do połowy wypełniony monetami. Kupiłem mu wielki kubek kawy. Kucnąłem obok, oparłem się plecami o ścianę. Ludzie stawali przy stanowisku Prora — gadali, co mieli do powiedzenia, załatwiali, co mieli do załatwienia. W tłumie przechadzali się gliniarze, obserwowali okolicę, zaczynając od metra nad podłogą. Narkotyki krążyły prędzej od pociągów. Znów czułem się jak na dziedzińcu więziennym.

— Znasz faceta, którego nazywają Train? — spytałem. — Mieszka w Brooklynie.

Pror, zawinięty w płaszcz jak w płachtę namiotową, popijał kawę, przepuścił nazwisko przez swój wewnętrzny komputer.

— Nic mi to nie mówi.

— Prowadzi coś jakby sektę, ale... nie wiem... Pewna kobieta poprosiła mnie, żebym zabrał stamtąd jej córkę.

— Zwiła z domu?

— Wątpię. Umowa była taka, że tylko zapytam, czy ją puści.

— Mocno?

— Nie. Do tego tylko raz.

— Jak nie ma żadnej gry, po co ty?

— W efekcie zaczął mi zadawać pytania.

— Na temat?

— Głównie systemu zabezpieczeń... czy uważam, że jest wystarczający.

— Do czego?

— Chyba do tego, by go ochronić. Najpierw myślałem, że chce zatrudnić ochroniarza, ale nie zapytał wprost.

— Oczekuje darmowej przysługi? Nie wie, że aby mieć twą jłówkę, trzeba dać gotówkę? Zapaliłem papierosa. Opowiedziałem o detektorze kłamstw Traina, karatece przy drzwiach, wystroju budynku. Nie zwracałem łwagi na jego minę, czułem jednak, że kiwa głową. Kątem ust powiedział:

— Nie licz na przesadę, ale może coś dam radę.  
Zostawiłem Prora tam, gdzie siedział.

Zadzwoiłem do Candy z telefonu na a dworcu. MmJ — Mówi, że się zgadza.

— Masz moją dziewczynkę?  
— Jutro wieczorem. Przywiozę ją do ciebie.  
— Widzisz? Mówiłam... Odwiesiłem słuchawkę.

Wyjście z metra na Czterdziestą Drugą obrabiała małolata o buzi jak po-i rcelanowa lalka. Twarz miała otoczoną miękkimi ciemnymi włosami, ubrana była w pikowaną kurtkę w kolorze niemowlęcego błękitu.

— Proszę pana... mógłby mi pan pomóc? Zbieram na powrót do domu...  
— A gdzie mieszkasz?  
— W Syossett... na Long Island.  
— To się świetnie składa — właśnie tam jadę. Chodź, podwiozę cię.  
Zagryzła dolną wargę.  
— Dwie dychy.  
— Dwie dychy i może mnie pan zabrać, dokąd tylko pan zechce. Przed utratą Belle wziąłbym ją ze sobą. I zadzwoniłbym do McGowana.  
Teraz wyszedłem bez słowa na ulicę.  
— Co?

Następnego dnia już o siódmej wieczorem było ciemno, ale poczekaliśmy, aż noc całkowicie otuli miasto.

Wszedłem do Traina sam. Wpuścił mnie ktoś inny niż poprzednio. Poszedłem za nim na górę, usiadłem.

Po pewnym czasie otworzyły się drzwi i weszli do środka. W grupie był Train. Kobieta, która powiedziała mi wczoraj, że mówię prawdę, weszła ostatnia, prowadząc za rękę dziewczynkę. Drobną, chudą dziewczynkę w spranych dżinsach, rozerwanych nad kolanem. W jasnozielonej trykotowej koszulce z napisem ZZZ-ZAP! na piersi. W ręku trzymała dżinsową kurtkę, przez ramię miała przewieszoną niedużą torbę podróżną.

— Znasz tego człowieka? — spytał dziewczynkę Train. Pokręciła przecząco głową.  
Detektor kłamstwa rozchyliła poły szaty — była pod nią naga. Przycisnęła do siebie dziewczynkę, spojrzała przez ramię na Traina. Skinęła głową.  
— Oto ta, o którą pan pytał — oznajmił Train w moim kierunku.  
— Jeśli pan tak mówi.  
— Nie zna jej pan?  
— Nie.  
— Ale widział pan zdjęcie... dostał jakiś opis...  
— Oczywiście.

- No i?
- Nie umiem się wypowiedzieć. — Dziewczynka patrzyła na mnie żółtymi kocimi ślepiami.
- Chciałby pan jej zadać jakieś pytanie?
- Nie. — Zapaliłem papierosa. — Jeśli to nie ta, przyprowadzę t z powrotem.

Train wydał wargi. Jego palce znów dotknęły skroni. Detektor łamstw owinęła się szatą, dziewczynka podeszła do mnie.

— Chodźmy — powiedziała, wsuwając rękę w rękaw kurtki. Wstałem. Nikt się nie poruszył. Dziewczynka poszła za mną do wyjścia, nowy wartownik usunął się z drogi. Zeszliśmy tylko we woje. Otworzyłem frontowe drzwi i opuściliśmy budynek. Dziewczynka ani razu nie spojrzała za siebie.

Kiedy podeszliśmy do plymoutha, otworzyłem przed nią drzwi od strony pasażera. Kiedy wsuwała tyłek na siedzenie, wziąłem jej torbę. Nie zareagowała. Zatrzasnąłem drzwi, zacząłem obchodzić samochód od tyłu. Zatrzymałem się przy tylnym zderzaku, otworzyłem torbę i szybko ją przejrzałem. Nie było w niej niczego, czym można by zrobić sobie krzywdę — chyba, żeby się to połknęło.

Wsiadłem, podałem małej torbę. Postawiła ją na podłodze, zaczęła grzebać w środku, wyjęła papierosa.

— Mogę prosić o ogień? — Mówiła łagodnym tonem, jakby prosiła mnie o coś zupełnie innego.

„Zapaliłem zapałkę, wyciągnąłem ją ku niej. Objęła moją rękę obydwiema dłońmi, zapaliła, spojrzała mi w oczy.

— Ma pan silne dłonie.

Wjechałem w Flatbush Avenue, kierowałem się na most Manhattański. Skręciłem z mostu w prawo, w Bowery, jechałem na górny Manhattan.

— Przysłała pana matka?

— Zgadłaś, Elwiro.

— Nikt tak na mnie nie mówi.

— A jak się na ciebie mówi?

— Juice — odparła z głupawym uśmiechem. — Uważa pan, że to głupie?

— Dzieci miewają śmieszne imiona.

— Nie jestem dzieckiem.

— Twoja matka mówi, że masz piętnaście lat.

— Moja matka to mitomanka. Kłamie bez przerwy. Wzruszyłem ramionami.

— Co będzie, jeśli zechcę wrócić?

— Porozmawiaj o tym z nią.

— Rozmawiam z panem.

— Rozmawiasz sama ze sobą.

Zatrzymałem się na światłach przy Pierwszej Alei. Pstryknęła moim kierunkiem palącym się papierosem, szarpnęła za klamkę pchnęła drzwi barkiem. Nawet nie drgnąłem. Podniosłem papierosa siedzenia, wyrzuciłem go przez okno. Z całej siły wbiła plecy drzwi, ciężko oddychając wpatrywała się we mnie z nienawiścią.

— Myśli pan, że jest bardzo sprytny, ale wcale pan nie jest taki irytujący.

— Uspokój się.

— Porozmawia pan ze mną?

— O czym?

— Nieważne. Nie jestem paczką. Czymś, co się dostarcza i koniec.

— Jesteś.

— Może mnie pan trzymać w samochodzie, ale muszę jeszcze zostać doprowadzona do domu.

— Poradzę sobie.

— Na pewno. Twardziel z pana. Mama lubi wyłącznie twarzieli.

— Wykonuję tylko swoją robotę.

Mijaliśmy kolejne ulice. Oddech dziewczynki uspokoił się.

— Mogę dostać papierosa?  
— Jasne. — Podałem jej też zapalki.  
— Nie ufa mi pan?  
— Dlaczego miałbym ci ufać?  
— Ponieważ nie jestem taka jak moja matka. Nigdy nie kłamię, nigdy! Jeśli coś obiecuję, to robię to.

— I co chcesz mi powiedzieć? Zaciągnęła się.  
— Że chcę porozmawiać. Tylko kilka minut. Niech się pan atrzyma przy krawężniku... gdzie pan chce... i po prostu ze mną jorozmawia. Potem pojedziemy do mojej matki i wejdę do domu. I bez problemów, bez krzyków. Zgoda?

Skręciłem w prawo przy Dwudziestej Trzeciej, przejechałem pod East Side Drive i zaparkowałem na wolnym miejscu z widokiem na rzekę. Po prawej stronie stał rozebrany do blachy wrak, miejsce z lewej było puste. Opuściłem szybę po swojej stronie, wyłączyłem silnik. Zapaliłem fajkę.

— Rozmawiajmy — powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

— Jak pan się nazywa?

— Burkę.

— Jest pan alfonsiem mojej mamy?

— Nie.

Zrzuciła z ramion kurtkę, wygięła plecy, aż jej drobne piersi wypchnęły koszulkę.

— Często pan to robi?

— Co?

— Dostarcza paczki.

— Czasami.

— Lubi pan to?

— Ujdzie.

— Ale czy pan to lubi?

— Gdybym lubił, toby mi nie płacono.

— Niektórzy dostają pieniądze za to, co lubią robić. Na przykład kurwa, która lubi się pieprzyć. Wzruszyłem ramionami. Jeszcze takiej nie spotkałem.

Zaciągnęła się dymem. Podała mi peta — wyrzuciłem go przez okno.

— Dość tu ponuro.

— Jak skończysz, ruszamy.

— Chce pan, żebym się zamknęła?

— Wszystko mi jedno. Mamy umowę, prawda? Rozmawiamy, potem zawożę cię do domu.

— To znaczy do mojej matki.

— Wszystko jedno.

— Jeśli pan chce, żebym nie gadała... wie pan, jak to najłatwiej zrobić, nie?

— Nie.

— Trzeba wsadzić mi coś w usta. Chce mi pan coś wsadzić w usta? — spytała kuszącym tonem kurewki. Znała się na rzeczy.

— Nie chcę.

— Na pewno pan chce. Czuję to. — Jej dłoń wślizgnęła mi się krocze.

Złapałem jej nadgarstek.

— Wszystko obgadane?

— O co panu chodzi, panie Burkę? Jeszcze nigdy nie wracał in do swojej dziewczyny ze szminką na kutasie?

— Ze szminką tak. Z gumą do żucia nie.

— Jestem wystarczająco dorosła.

— Nie dla mnie.

Przez kilka minut była spokojna.

— Skończyłam gadać — oznajmiła w końcu. Powiedziała to izbarwnym i cichym głosem. Nie odezwała się aż do domu Candy.

— To by było na tyle — stwierdziłem, gdy stanęliśmy.

— Wiem.

— Portier cię zna? — zapytałem.

— Oczywiście.

Kiedy ujrzał Elwirę, machnął, byśmy wjeżdżali. Na mnie nawet nie spojrzął. W windzie nie odezwała się ani słowem.

Drzwi się otworzyły, nim zdążyłem dobrze nacisnąć na dzwonek. Candy.

— Wchodź do środka — rzuciła do córki, nawet na mnie nie patrząc.

Elwira minęła matkę, podeszła do kanapy, rzuciła torbę na podłogę, jakby oczekiwała, że rano zabierze ją stamtąd pokojówka.

Candy podeszła do mnie, wyciągnęła ręce i położyła mi dłonie na ramionach.

— Dzięki, mały — szepnęła jak zawodowa aktorka.

Dziewczynka siedziała skulona na kanapie, patrzyła na plecy matki. Czekala na prawdę.

Zaoferowałem jej prawdę.

— Gdzie pieniądze?

Palce Candy wbiły mi się w ramiona, jej oczy wściekle mrugnęły. Czekałem bez ruchu.

Gwałtownie się odwróciła, wychodząc głośno stukając obcasami w parkiet. Elwira przyłożyła palce do podbródka, jakby się nad czymś zastanawiała. Po chwili Candy wróciła do pokoju, stanęła dwa kroki przede mną. Podała mi grubą kopertę. Wziąłem ją i wetknąłem do kieszeni.

Kiedy wychodziłem, zamek w drzwiach za moimi plecami trzasnął jak pękająca kość.

Wróciłem do plymoutha, przekręciłem kluczyk. Zapaliłem papierosa. Otworzyły się drzwi i wsiadł Max.

Oddałem mu kopertę od Candy, włączyłem się do ruchu.

Stuknął mnie palcem w ramię. W każdej dłoni trzymał plik ieniedzy. Skinął głową, suma się zgadzała. Lewą rękę wsadził do lewej, prawą do prawej kieszeni. Zaliczką też się podzieliliśmy.

Wyciągnąłem palec wskazujący, zatoczyłem nim koło, dotknąłem arku. „Czy ktoś nas śledzi”?

Max dotknął palcem oka. Pokręcił głową. Wzdrygnął się, jakby mu było zimno. Tak. Coś, czego nie można zobaczyć.

Spojrzałem we wsteczne lustro. Max nie boi się cieni. Pokazałem palcem na północ — skinął głową. Każdy, kto zechce ojechać za nami na złomowisko, będzie widoczny jak abstynent na akładowej wycieczce.

Przejechaliśmy most Triborough, wjechaliśmy w płataninę wąskich uliczek. Nikt za nami nie jechał. Zrobiłem gwałtowny awrót o sto osiemdziesiąt stopni, zatrzymałem się przodem do kierunku, skąd przyjechaliśmy. Max zapalił sobie i mnie po papierosie.

Pół godziny później nadal nic się nie działo. Gliniarze nie mają yle cierpliwości. Pojechałem w stronę dolnego Manhattanu inną rasą, wysadziłem Maxa przy jego magazynie i wróciłem do biura.

Pansy ucieszyła się na mój widok.

Kiedy obudziłem się następnego dnia, czułem się znacznie lepiej. Nie tak dobrze, by postawić na jakiegoś konia, ale tak, jakby najgorsze było już poza mną. Było wystarczająco wcześnie, by zaryzykować telefon z biura. Mój telefon jest połączony do linii należącej do komuny mieszkających pode mną zasłużenie nieznanymi artystów. Nic o tym nie wiedzą — Mamuśka

Pocza też nie. Prawdopodobnie nawet gdyby wiedzieli, niewiele by to ich wzruszyło — nie płacą sami rachunków.

- Mamo, były jakieś telefony?
- Nie. Bądź dziś wieczór, okay?
- Coś nie tak?
- Ktoś zostawił wiadomość.
- No i?
- Potem — odparła i odwiesiła słuchawkę.

Wyjąłem z lodówki półkilogramowy kawał topionego sera, wrzuciłem go Pansy do miski, dosypałem suchego pokarmu.

- Przyniosę ci coś dobrego od Mamy — obiecałem wychodząc.

Mama stała przy stole, nim zdążyłem dobrze usiąść. Podała mi tanią białą kopertę, równo rozciętą nożem. Informacja była napisana na maszynie.

„Burkę, bądź dziś o 11.00 pod telefonem. Niech nikt inny nie podnosi słuchawki. Odbierz sam. Wesley”.

Wciągnąłem powietrze przez nos, jakbym walczył o oddech. Wypuściłem je. Zrobiłem to jeszcze raz. Czulem szalejące mi w piersi ukłucia strachu — szukające miejsca, gdzie mogłyby się zagnieżdżyć. Zapaliłem papierosa, przytknąłem kartkę do zapalki i patrzyłem, jak płonie. Marzyłem, by jej nigdy nie widzieć.

- Widziała Mama tego, kto to przyniósł?
- Chłopiec. Z ulicy. Około piątej rano.
- Powiedział coś?
- Nie widział mnie. Wsunął pod drzwi, uciekł.

Mama ukloniła mi się. Nic się nie stało. Wiedziałem teraz, dlaczego prosiła, bym przyszedł. Nigdy nie widziała Wesleya, ale znała go z nazwiska. Każdy stojący poza prawem człowiek w mieście o nim słyszał.

- Burkę? Co będziesz robić?
- Jak zadzwoni, podejść do telefonu.

Siedziałem w milczeniu, Mama poszła zadzwonić do Immaculaty. Żeby przekazała Maxowi, że tajfun ruszył.

Wesley nie groził. — Sam był uosobieniem grozy. Był zimny jak rakietka z samonaprowadzaniem termicznym. Jeśli wziął pieniądze, dostarczał trupa. Przed laty mój przyjaciel Pablo opowiadał mi o zleceniu zabicia portorykańskiego handlarza narkotyków, którego podjął się Wesley. Handlarz wiedział, że jest na niego wydany wyrok, poszedł więc do kapłanki kultu santerii i poprosił ją o ogień voodoo, który roztopiłby zaciskający się wokół niego lodowiec. Kapłanka wzięła pieniądze i powiedziała, że ochroni go Chango, bóg wojny. Była starym dym demonem, siejącym postrach w całym barrio. Jej oddział bojowy składał się z samych marielitos, morderców podobnych do zombich. Podpalali domy, by obserwować płomienie, potem zjadali spalone ludzkie mięso. Tatuaze na ich dłoniach mówiły, jaką każdy z nich ma specjalność: broń, narkotyki, szantaż, morderstwo. Tatuazem specjalisty od wykonywania wyroków śmierci było przebite strzałą, odwrócone do góry nogami serce. Amor jako egzekutor.

Kapłanka wezwała swych bogów. Zarznęła tuzin kur i kóz. Spryskała nóż krwią dziewicy. Wygnała swe psy śmierci na ulice, by znalazły Wesleya.

Handlarz schował się w domu kapłanki. Był tam zupełnie bezpieczny.

Lato paliło jak rozżarzony piec, ale dzieci nie wychodziły z domów. Mróz nadchodzi nie licząc się z porą roku.

Przed dom, gdzie kapłanka miała świątynię, przyjechał kurier z „United Parcel”. Jej marielitos wyciągnęli go z samochodu, zaczęli szarpać. Całą scenę obserwowały zza żaluzji uważne oczy.



Kurier dał im paczuszkę, a kiedy powiedział, że mają podpisać odbiór, wszyscy się roześmiali.

Włożyli paczkę pod hydrant, zmyli papier. Jeden z marielitos przyłożył ją do ucha i zaczął potrząsać. Inny wyjął z kieszeni cienki nóż i otworzył go z morderczym uśmiechem. Wszyscy kucnęli i zaczęli się przyglądać otwieraniu paczuszki. Zajrzeli do środka. Przestali się śmiać.

Zanieśli paczuszkę kapłance. Kilka minut później handlarz, którego chronili, został wypchnięty na ulicę — ręce miał związane na plecach, usta zaklejone plastrem. Uciekł, jakby sam diabeł go gonił.

Mówiono o sprawie to i owo. W knajpach, w nocnych barach, na ulicach. Wieść niosła, że w paczuszce była dłoń wykonawcy wyroków śmierci, tatuaż był szyderczo odwrócony do góry nogami. Bóg Chango był rozszoszczony, poszukał więc lepszej ofiary niż kura. Gliniarze znaleźli handlarza parę ulic dalej. W piersi miał jedną przy drugiej cztery dziury od kul, piątą w czole. Nikt nie słyszał strzałów.

Do restauracji wszedł Max. Usiadł naprzeciwko mnie. Kiedy zapytałem, czy ktoś go śledził, znów zrobił ruch, jakby po plecach przeszedł mu lodowaty dreszcz. Sprawa była jasna. Po jego śniadej skórze przemykały złote błyski — zaczynała w nim wrzeć krew wojownika. Zaciśnął dłoń w pięść, wystawił kciuk i pchnął nim w okolicę serca. Nie wolno mi wyłączyć go z tej sprawy. Stuknął w mój zegarek, wzruszył ramionami. „Po co czekać”? Pokręciłem głową, przyłożyłem do ucha wymaginowaną słuchawkę. Jeśli Wesley zamierzał się do mnie dobrać, nie zabawiałby się w ten sposób. Musiało chodzić o coś innego.

Max splótł ręce na piersi. Jeśli mam ochotę czekać, poczeka ze mną.

Powiedziałem Mamie, że wrócę, nim zadzwoni telefon, i spojrzałem Maxowi w oczy. „Bez wygłupów — wrócę”.

Cansy wciągnęła jak odkurzacz pół wiadra mięsa i warzyw od Mamy. Zamknąłem oczy i wyciągnąłem się na kanapie. Obserwowałem, jak dym z papierosa płynie pionową strużką do góry. Zastanawiałem się, ile potrwa, aż biuro wróci do zwykłego zasyfionego stanu. Było zapaskudzone przez lata, nim Belle rzuciła się na brud, jakby był jej osobistym wrogiem.

Wesley. Kiedyś modliliśmy się do tego samego Boga, jednak tylko Wesley dochował mu wierności.

Od tamtych czasów minęła wieczność.

Wróciłem do restauracji przed dziesiątą.

— Max jest w piwnicy — poinformowała mnie Mama.

Za stołami, tuż przy kuchni, wiszą trzy automaty. Jeden z nich jest mój. Jeśli ktoś dzwoni, Mama odbiera i mówi, że mnie nie ma, przyjmuje informacje do przekazania. Jest tak od wielu lat.

Telefon zadzwonił. Spojrzałem na zegarek. Wpół do jedenastej. Zbyt wcześnie — nie było to podobne do Wesleya. Podniosłem słuchawkę.

— Tak?

— Sam teraz odbierasz? — Candy.

— Co jest?

— Muszę się z tobą zobaczyć.

— Jestem zajęty.

— Wiem, czym... o to właśnie chodzi. Powiedzieć ci przez telefon?

— Zadzwonię, kiedy będę mógł przyjść.

— Zadzwoni niedługo. Nie masz dużo czasu.

Telefon zadzwonił ponownie punktualnie o jedenastej. Podniosłem słuchawkę, nie odzywałem się.

— To ty?

— Ja.

— Musimy porozmawiać.

— Mów.

— W cztery oczy.

— Wiesz, gdzie jestem.

— Nie tam.

— Gdzie?

— Wjedź na most do wariatkowa na wyspie. Zatrzymaj się, jak zobaczysz budkę strażnika.

Jutro o północy. Zgoda?

— Mam przyczepić sobie do pleców tarczę strzelniczą?

— Wszystko mi jedno, co sobie gdzie przyczepisz, ale zostaw Chińczyka w domu.

— O co chodzi?

— O biznes — powiedział Wesley i przerwał połączenie.

Świerbiło mnie, by zadzwonić po gliny, ale szybko mi przeszło.

Maxowi się to nie podobało. Zawsze w takich razach zachowuje się tak, jakby nie umiał odczytać moich gestów i wszystko trwa znacznie dłużej.

Nikt z naszej ekipy nie wtrącał się do tego, co robi Wesley. Nie obrabialiśmy tej samej strony ulicy. Max znał mit Wesleya, ja znałem go osobiście. Jedno niczym się nie różniło od drugiego. Po dłuższym czasie udało mi się przekonać Maxa: jeśli Wesley chciał mnie dostać, jego obecność zwiększy jedynie liczbę celów. Wyłożyłem swą kartę atutową — religię. Naszą religię: zemstę. Jeśli Wesley mnie wykończy, Max będzie musiał wyrównać rachunek. Max skłonił głowę, zgadzając się na ten warunek. Zawsze umiałem go przekonać.

Poza tym nie pójde na spotkanie sam.

Następnego dnia wyjechałem z garażu około jedenastej. Skierowałem się od razu ku East Side Drive. Jeśli zarzycją mnie gliniarze, zobaczą prawo jazdy i dowód rejestracyjny la nazwisko Juan Rodriguez. Mam też na to nazwisko kartę ubezpieczeniową. Juan regularnie płaci podatki i mandaty. Nie najdą w samochodzie narkotyków ani broni. Pansy, leżąca z tyłu v zagłębieniu w podłodze, skąd wyjąłem siedzenie, była jedynie liewyrażnym cieniem i pomrukiwała z zadowolenia, że jedzie na keję.

— Mrucz ciszej — powiedziałem do niej. — Masz być niespodzianką.

Dojechałem East Side Drive do zjazdu na most Triborough, apłaciłem za wjazd i przejechałem przez most. Randalls Island. Lierując się drogowskazami dojechałem do Ward Island, zbliżałem ię do Instytutu Psychiatrycznego Kirby'ego. Ojczyzny chorych sychicznie kryminalistów. Plymouth przetoczył się pod labiryntem ozłączanych ze sobą niezliczonych przęseł wiaduktu. Jakies pięćset letrów dalej widać było budkę strażnika. Tuż za nią zaczynał się ompleks budynków na terenie wielkości małego miasta. Z lewej trony pracowała olbrzymia oczyszczalnia ścieków. Było wszystko, zego potrzebował Wesley.

Zjechałem na bok, kilka metrów na pobocze. Zgasilem światła, rzytknąłem Pansy płasko rękę do pyska i kazałem leżeć. Ot-orzyłem szeroko drzwi i zapaliłem papierosa.

Wyszedł z ciemności jak cień — z pewnością tak właśnie przyszedł na świat. Miał na sobie ciemny mundur polowy w maskujące czarne plamy, matowe czarne buty do poruszania się po dżungli, miękki kapelusz w takim samym wzorze jak mundur, wciągnięty gęęboko na oczy. Pod oczami namalował sobie czarne paski, dłonie w czarnych rękawiczkach trzymał tak, bym je widział. Jego głos idealnie pasował do stroju.

— Jesteś sam?

— W samochodzie jest mój pies.

— Zawołaj go.

Strzeliłem palcami. Pansy wyskoczyła z wozu i wylądowała tuż obok mnie. Łeb trzymała lekko uniesiony, obserwowała krocze Wesleya. Atakując nie sięgałaby wyżej.

Przeniosłem wzrok na Wesleya. Na uzi, które trzymał obiema rękami, napinając zawieszony na szyi ramię.

— Niech się położy — powiedział kierując lufę między mnie a Pansy, gotów w każdej chwili posiekać nas na martwe mięso.

Zrobiłem ręką znak i Pansy padła na ziemię.

— Po co ci pies?

— A w czym ci przeszkadza? Przecież nie umie mówić.

— Wsadź go do samochodu i zamknij drzwi.

Wskazałem ręką na samochód i Pansy wskoczyła do środka. Zatrzasnąłem za nią drzwi. Włożyłem kluczyk i przekręciłem go na prawo i na lewo. Odsunąłem się i Wesley sprawdził wszystkie drzwi — przez cały czas Pansy nie spuszczała z niego wzroku, kręcąc swym monstrualnym łbem. Drugi obrót kluczyka otworzył klapę bagażnika — kiedy zawołam, suka będzie mogła wyjść tamtędy.

— Idź przodem — rzucił Wesley i wskazał lufą w kierunku krzaków między drzewami. Ruszyłem wąską ścieżką, cały czas czułem za sobą jego obecność. Doszliśmy do porzuconego, rdzewiejącego pikapa, wbitego przodem w podpierający wiadukt filar.

— Siadaj — rozkazał.

Usiadłem na pace pikapa, zwiesiłem nogi.

— Czy mogę...

Przyłożył palec do ust. Nim się odezwał, doliczyłem do pięćdziesięciu.

— Tak, możesz zapalić. Wiem, że nie masz broni.

Wyciągnąłem papierosa, mocno zagryzłem filtr, by przestały mi drgać usta. Osłoniłem dłonią zapalnik, przypaliłem sobie. Wesley tał naprzeciwko — rozstawił nogi, ręce splótł na plecach. Uzi niknęło.

Nie robił szczególnego wrażenia. Jeśli delikwent nie wiedział, kim ma do czynienia, Wesley pozostawał nie zauważony, aż było a późno. Jak nowotwór.

— Po co mnie ściągnąłeś?

— Sprzątnąłeś świra. Mortaya.

Nie odzywałem się. Wokół ust Wesleya pojawił się blady cień — łśmiech.

— Myślisz, że chcę, żebyś się przyznał do winy? Uważasz, że >racowałem dla niego?

— Znam cię, Wesley. Nie zadajesz pytań.

— Zadaję. Zawsze pytam: „Kto”? Nigdy: „Dlaczego”?

— Okay.

— Znamy się od dawna, Burkę.

— Jesteśmy na zjeździe absolwentów?

— Wiesz, co robię od cza su ostatniej odsiadki. Dostaję nazwisko robię swoje. Mortay wyskoczył z szyn i musiał zniknąć. Właśnie jylem na jego tropie, kiedy ci odbiło i wysadziłeś go w powietrze.

A więc Toby Ringer mówił prawdę. Belle zginęła na darmo. Feśli zlecono sprawę Mortaya Wesleyowi, wystarczyło poczekać. Wszystko na darmo...

— Nie wiedziałem o tym. — Musiałem naprawdę walczyć, by nie załamał mi się głos. Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej szczerze.

— Nie chcą zapłacić — powiedział, jakby informował, że Bóg nie żyje.

— No i?

— No i nie zamierzam dla nich pracować. — Poprawił pozycję, w jakiej stał. Pomyślałem o uzi, szybko jednak zrezygnowałem z pomysłu, nawet będąc w najlepszej formie nie byłem wystarczająco szybki. — Wszedłeś mi w paradę i spieprzyłeś sprawę. Trudno, bywa, ale teraz chodzi po ulicy wieść, że robisz w biznesie. W moim biznesie.

— Nie robię. — To nie w moim stylu.

— Wiem, że jesteś obrabiaczem. Artystą-oszustem. Że masz przyjaciół. — Trupi ton spowodował, iż ostatnie słowo zabrzmiało, jakby to była jakaś perwersja.

— Na czym więc polega problem?

— Chodzi o Traina. Znasz go.

— Yhm.

— Nadszedł na niego czas. Musi zniknąć. Węszyłeś — albo pracujesz dla niego, albo chcesz go wyłączyć z obiegu.

— Nie. Miałem zlecenie — zabierałem od niego dziewczynę.

— Widziałem.

— To wszystko.

— Wiesz, czym on się zajmuje?

— Nie.

— To nie próbuj się dowiadywać.

Zapaliłem następną fajkę, patrzyłem na oświetlane płomieniem zapalki własne dłonie. Nie drżały. Przy Wesleyu przekraczało się granice strachu.

— Wesley, wiesz przecież, że nic do ciebie nie mam. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, to pytaj i daj mi odejść.

— Wiesz, dlaczego chciałem, żebyś tu przyszedł? Bo twoje miejsce jest w tym wariatkowie, Burkę. Masz odbicie z dziećmiakami, wiem też o ośrodku terapeutycznym w Queensie. Dlaczego nie wykorzystasteś w sprawie Mortaya Chińczyka?

— Nie było go pod ręką.

— Chodziło o dziecko, prawda?

Spojrzałem na niego bez słowa.

— Naprawdę jesteś walnięty — powiedział Wesley. — Pamiętasz, jak byliśmy gówniarzami? Jak uczyliśmy się zasad? Nie wolno pracować z pijanymi, nie wolno pracować z ćpunami, nie wolno pracować ze zбочeńcami. Nie wolno pracować z nikim, kto wypadł z szyn. Teraz sam taki jesteś — wypadłeś z szyn.

Szyny. W głowie miałem obrazy z dawnych czasów. Byłem w tunelu metra. Naprzeciwko mnie leżał Rupert — tak samo jak ja z brodą na szynie. Reszta bandy stała obok. Słychać było stukot pociągu, czułem brodą drżenie metalu. Patrzyłem na Ruperta. Kto pierwszy poderwie głowę, przegrywa. Mieliśmy po szesnaście lat. Gwiżdż na śmierć. Wiedziałem, jaki będę miał napis na grobie: BURKĘ, KTÓRY MIAŁ ODWAGĘ. Lepsze to od kwiatów. Twarz Ruperta migotała metr od mojej. Wyzwał mnie do walki na noże, ale ja zaproponowałem tunel. Niezależnie od tego, co się stanie, będę miał nazwisko. Przekonywałem się, że nie będzie bolało. Pociąg zbliżał się z ogłuszającym dudnieniem, potężny, /siäctonowy bezduszny morderca. Reflektory rozświetliły tunel, Rupert skoczył do tyłu. Wygrałem! W tym momencie ciało odłowiło mi posłuszeństwa. Czyjeś dłonie złapały mnie za kostki, zarpnęły do tyłu rozbijając brodę o szynę. Pociąg przemknął tuż bok mojej twarzy.

Tej nocy, na dachu, Candy po raz pierwszy wzięła do ust lojego kutasa.

— Wytrzymałem dłużej na torze — przypomniałem Wesleyowi.

— Jasne. — Głos robota. Znał prawdę, znał ją od pierwszej chwili. Był tam, i to jego ręce złapały moje kostki. Gdyby nie ociągnął, leżałbym tam do dziś.

— Train jest trupem. Moim. Wejdiesz mi jeszcze raz w paradę, odejdiesz razem z nim.

— Nie wejdę ci w paradę.

Zbliżył swoją twarz do mojej, uważnie patrzył mi w oczy. V jego oczach nie wyczytałby nic nawet najlepszy psychiatra — nie a się zobaczyć czegoś, czego nie ma. Wytrzymałem jego wzrok, pozwoliłem mu wnikać w moje wnętrze. Patrz i ujrzyj prawdę, potworze. Przypatrz się dokładnie.

Cofnął się.

— Nie jesteś wystarczająco dobry. — Nie zamierzał mnie tym obrazić, jedynie stwierdzał fakt.

— Pamiętasz jeszcze tę sztuczkę? ak zapamiętać coś bez zapisywania?

— Yhm.

Powiedział numer.

— Zadzwoń pod ten numer. O każdej porze. Odczekaj trzy Izwonki. Odłóż, powtórz jeszcze raz. Potem czekaj pod numerem, który mam od ciebie.

— Nie mam po co do ciebie dzwonić.

— Ale zrobisz to. Wiem, jak świat funkcjonuje — ty też kiedyś o wiedziałeś.

Przytknął dłoń do dłoni, popatrzył na utworzoną w ten sposób piramidkę.

— Dzieciaki... co, kurwa, za różnica, co się z nimi dzieje?

Kiedyś zdawało mi się, że jest różnica. W sierocińcach, rodzinach następczych, w poprawczaku modliłem się do Pana Boga. Wierzy-em, że spotkam kogoś, kto przyjmie mnie do swej rodziny, ale nastąpiło to dopiero w więzieniu. Tam zacząłem się modlić do innego Boga. Przyszła mi na myśl Belle. „Wybaw mnie”. Jasne. Pierwszy Bóg mnie zignorował, drugi dopuścił na tyle blisko do siebie, bym mógł spróbować rzucić na niego okiem.

— Żadna — odpowiedziałem.

— Jesteś wypalony — oznajmił mi potwór Wesley. — Jesteś skończony.

— Świetnie. — Nie miałem na to nic do powiedzenia.

— Train jest jeszcze przez chwilę bezpieczny, ale znajdę go, kiedy nadejdzie czas. Na razie muszę jednak załatwić kupę Włochów.

— Rób to, co musisz — nie mam z tym nic wspólnego. Oczy Wesley a były jak dwa nagrobki. Bez epitafium, bez dat narodzin i śmierci.

— Wiem, jak się to odbędzie — powiedział Wesley. — Ktoś do ciebie zadzwoni, jako do płatnego zabójcy, a wtedy ty zadzwonisz do mnie. Rozumiemy się? — Znów miał w ręku uzi. — Nie ruszaj się przez kilka minut z miejsca.

Kiedy zniknął za pikapem, nie rozległ się najłabszy szelest. Siedziałem wpatrując się w ciemność. Liczyłem mijające lata. Zapaliłem papierosa, został mi jednak wyrwany z dłoni. Przytykał go sobie do ust Cichy Max.

W drodze powrotnej do domu widać było, że Max aż się gotuje do walki. Cały Max. Chwycił mnie za nadgarstek, postukał w zagarek, wzruszył ramionami. Uśmiechnął się. „W każdej chwili”. Jest gotów, kiedy tylko zechcę. Sprzeda aniołowi śmierci bilet na cmentarz.

Wszystko się poplątało. Byliśmy w pudełkach, będących w innych pudełkach, które były w następnych pudełkach, które... Jeśli Max był w stanie podejść nie zauważony do Wesleya, nie byłem edynym, kto się skończył.

Wysadziłem Maxa i pojechałem na górny Manhattan.

Znalazłem Prora w jednym z nielegalnych barów nad rzeką. Zauważył, że kiwam na niego głową, i po chwili wyszedł na zewnątrz. Wskoczył na siedzenie i rzucił kulę za siebie. Usłyszawszy warknięcie Pansy gwałtownie odwrócił głowę.

— Siad, kundlu. Połamiesz sobie na mnie zęby.

Jeszcze nigdy nie słyszałem dźwięku, jaki wydała z siebie teraz Pansy. Może się śmiała?

Nie wyłączając silnika stanąłem przed całodobowym barem szybkiej obsługi i zamówiłem trzy kanapki — żytni chleb z piersią indyka. Wróciwszy do samochodu wyrzuciłem chleb przez okno, a mięso zbiłem w kulę wielkości melona. Rzuciłem ją na tył. Połykając mięso, Pansy wydawała z siebie obrzydliwe odgłosy. Po chwili spróbowała, czy skowyt nie przyniesie dokładki, natychmiast jednak stwierdziła, że sztuczka nie robi na audytorium wrażenia, zwała się więc na podłogę i zapadła w drzemkę.

Skierowałem plymoutha ku rzece, znalazłem spokojne miejsce i zaparkowałem. Pror zapalił, czekał, co mam do powiedzenia.

— Widziałem się z Wesleyem.

— Niech to! Z bliska?

— Tak jak teraz z tobą.

— Żyjesz, więc mu się nie naraziłeś.

— Taa.

— Czego chciał?

— Świra. Tego, który chciał walczyć z Maxem. Wesley pracował nad nim na długo przedtem,

zanim myśmy zaczęli.

— W takim razie...

— Tak. Gdybyśmy się nie wychylali, schowali, raz-dwa byłoby o sprawie.

— Nie mogłeś tego wiedzieć, bracie. Nikt nie zna planów i Wesleya.

— Wiem.

— Wie, że świr nie żyje. Musi wiedzieć. Niech to cholera, nawet »liny wiedzą. Czego więc chce?

— Wyjaśnić parę spraw. Mówił, że świr był na jego liście. Na decenie. Teraz ci, którzy go zatrudnili, nie chcą płacić.

— Ich upór może przynieść kilka trupów.

— Właśnie. Wesley twierdzi, że zamierza załatwić masę Włochów.

— Kogo to obchodzi? Jak chce, może załatwić paru w moim mieniu. Oni to nie my.

Zapaliłem fajkę.

— Powiedział nazwisko jeszcze jednego faceta, którego chce iostać. Tego samego, od którego kilka dni temu zabierałem Iziewczynę.

— No i?

— Kazał nie wchodzić sobie w drogę. Uważa, że robię w jego biznesie. Zabijam za gotówkę.

— O!

— Chyba wyjaśniłem, co trzeba.

— Musiałeś, bracie. Z Wesleyem jak robisz zabawę, natychmiast lądujesz pod trawę.

— Uważasz, że to wariat?

— Nie taki, jak przeciętny świr, bracie. Wesley nie... on działa aa naciśnięcie jednego jedyne go guzika i sam go naciska.

Popatrzyłem na rzekę, w kierunku Jersey.

— Mówił, że jestem wypalony. Ty też tak uważasz?

Wesley to najzimniejszy skurwiel, jakiego spotkałem w życiu, ale nie jest dzięki temu najsprytniejszy.

— Nie rozumiem.

— To, co mówi Michelle. Nie jesteś sobą, bracie. Od czasu...

— Wyprostuję się.

— Kto mówi, że nie, bracie?

— Wesley...

— Wesley, Wesley. Nieważne, co się z nim dzieje, nie ma na to lekarstwa. To tak, jakby brakowało w nim paru części. Wygląda jak człowiek, ale nim nie jest.

— Nie jest...

— ...człowiekiem. Jak na tę chwilę, to tylko tyle.

— Przecież ludzie tacy się nie rodzą.

— Nie przesadzaj, Burkę. Nie wiadomo, jaki był w dzieciństwie.

— Ja wiem.

— Burkę, jeśli naprawdę nie zwariowałeś, robisz straszne przedstawienie. — Pror zapalił papierosa. Pociągnął powoli, spokojnie. Tak się pali, kiedy ma się dużo papierosów.

— Nie ma tu wiele do powiedzenia, bracie. Wesley to duch, coś jak pociąg-widmo. Nikt nie wie, dokąd pojedzie, ale każdy zauważa, którędy właśnie przejechał.

— Kiedy się z nim...

— Nie masz czego, kolego. Jeszcze nie spotkałem nikogo, kto odszedłby cały ze spotkania z Wesleyem. Musiał ci coś powiedzieć, coś przeznaczonego tylko dla ciebie. Wsłuchaj się w tekst, bracie.

Wyrzuciłem peta przez okno.

Czas mijał. Wesley powiedział, że wyleciałem z szyn, a Pror próbował mi właśnie powiedzieć, że tak powinno być. Że powinienem usunąć się z drogi.

— Poradzisz sobie? — zapytał.

Skinąłem głową, myślałem o dzieciakach.

Nie liczyłem na to, by wkrótce cokolwiek się wydarzyło. Wesley działał w tempie więziennym. Przeżyć. Nic innego nie robię. Większość czasu spędza się przy tym na czekaniu. Trzeba wiedzieć, jak czekać. Nim zjawiła się Belle, byłem mistrzem świata w czekaniu. Umiałem płynąć tuż poza głównym nurtem, unikać działania schematami. Włączać się w każdą lukę, nie zostawać zbyt długo w jednym miejscu. Zjawiać się i zniknąć.

Siedzenie w celi jest schematem.

Kiedy przyjechałem do magazynu, M axa nie było. W mieszkaniu, które urządzili sobie nad świątynią, siedziała Immaculata. Miała dla mnie stertę listów. Jeden z kierowców Mamy przywozi je raz na parę tygodni ze skrytki w Jersey. Mac bujała na kolanach małą, ja paliłem papierosa i przeglądałem listy.

Amerykańskiego systemu pocztowego można używać, do czego tylko dusza zapagnie. W listach i paczkach krąży więcej kokainy, niż przez komorę celną w Miami przenoszą tragarze.

W końcu nie na darmo ukuto pojęcie „amerykański kilogram”. Prawdziwy kilogram, europejski, to 2,2 amerykańskiego funta, a „amerykański kilogram” równe dwa, ponieważ cięższej przesyłki nie można nadać ekspresem.

Ja pracuję z innymi narkotykami. Niektóre listy pochodziły od kandydatów na najemników, proszących — dołączając przekaz — o „informacje wstępne”. Inne od pedofli, przysyłających gotówkę z prośbą o „kontakty”, które obiecałem w reklamie prasowej. Pojebys seksualne mogą zamówić u mnie porno z dziećmi, którego nigdy nie dostaną. Niech napiszą skargę do Federacji Konsumentów. Niezwykle rzadko zgłaszał się ktoś na anons: „Potrzebny weteran z Wietnamu, doświadczony w tajnych zadaniach. Zlecenia wyłącznie indywidualne. Wyłącznie na terenie USA. Satysfakcja z pracy gwarantowana”. Jeśli werbuje się mordercę listownie, człowiek szybko się dowiaduje, kto wymyślił hasło: „Milczenie jest złotem”. Szantażyści.

Skrytka jest przeznaczona nie tylko na listy od dupków. Każdy, kto wie, w co pogrywam, może w niej zostawić informację. W jednej i kopert była wyrwana z receptariusza kartka. Było na niej napisane tylko jedno słowo. SHELA. To od pierwszorzędnej przewalaczki, lienawidzącej zboczeńców jeszcze bardziej niż ja. Nigdy nie pytałem Ilaczego. Za każdym razem, kiedy trafiła na bogatego świntucha, jodawała jego nazwisko dalej.

Przekazy pocztowe zostawiłem Maxowi ułożone w zgrabny stosik, by zaniósł je do „pralni” Mamy, wstałem, założyłem płaszcz i ukloniłem się Mac i dziecku.

— Burkę...

— Tak?

— Max może się tym zająć.

— Czym?

— Spotkać się z człowiekiem... z którym rozmawiałeś... tym z pistoletem maszynowym...

— Opowiadał ci o tym?

Oczy Mac błyskały pod długimi rzęsami jak skrzydła motyla.

— Uważasz, że nie powinien?

— Cieszę się, że ma kogoś, z kim może rozmawiać.

— Ty też masz. Masz nas, Burkę. Dobrze o tym wiesz.

— Nie ma tu nic do gadania. Wesley nie stanowi problemu.

— Coś się zmieniło?

— Daj spokój, Mac.

— To ty powinienes dać spokój.

Można o mnie powiedzieć „dobry złodziej”. Dwa słowa opisujące dwie różne rzeczy. Dopóki miałem taką opinię, wszystko było w porządku. Byłem bezpieczny. Stare zasady są najlepsze — tańczy się z tym, z kim się przyszło na zabawę. Zadzwoiłem w kilka miejsc, zwołałem ekipę.

To działa? — spytałem Kreta. Nachylał się nad stołem laboratoryjnym w swej pracowni, na blacie rozrzucił garść krugerrandów.

Nie odpowiedział. Obok niego stał Terry, drżący ze skupienia, a os miał pięć centymetrów od dłoni Kreta.

Michelle siedziała rozparta na zwykłym stolku jak królowa, założyła jedną przepiękną nogę na drugą i paliła jednego ze swych długich czarnych papierosów. Jej twarz o wyrazistych rysach promieniowała spokojem. Ot, szacowna pani domu, przyglądająca się, jak mąż pomaga synowi złożyć z zestawu do majsterkowania radio.

Na pełnym wraków placu krążyły psy. Złomowisko było otoczone drutem kolczastym i poprzecinane zaminowanymi dołami. Jest to najbezpieczniejsze miejsce na świecie, jakie znam.

Mijał czas. Kret grubymi jak kiełbaski paluchami montował mikroskopijne elementy, oglądając je przez monstrualną lupę, którą zawiesił nad stołem. Słyszałem pobrzękiwanie monet, z ciemnej skrzynki wystrzelił czerwony promień lasera. Wziąłem do ręki jedną z monet, zacząłem się jej przyglądać. Wyglądała, jakby wybito ją wczoraj.

— Zdawało mi się, że są w Stanach zabronione. Ze względu na zakaz handlu z Afryką Południową.

Kret podniósł głowę. Za grubymi szklami okularów błysnęła nienawiść.

— To dotyczy nowych krugerrandów. Są nielegalne od 1984 roku, wolno handlować monetami wybitymi wcześniej.

Przyjrzałem się monecie w dłoni. Pobłyskiwała jak nowa.

— Na tej jest rok 1984.

— Wybito ją miesiąc temu — wyjaśnił Kret. — Ten kraj zawsze zostawi furtkę dla swych przyjaciół nazistów.

Michelle rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. „Nie prowokuj go”. Kiedy chodziło o to, co stanowiło treść jego życia, Kretowi niewiele było potrzeba, by przekroczyć masę krytyczną.

Zapaliłem fajkę, poklepałem swego brata po ramieniu, chciałem, by się nie denerwował i pracował dalej.

Niedługo potem Kret pchnął do tyłu krzesło, wskazał na stosik monet i zapytał:

— Która?

Brałem monety po kolei do ręki. Ważyłem je w dłoni, przysuwałem do światła. Próbowałem je zginać. Były identyczne. Wziąłem do pomocy szkło powiększające. Nic. Oddałem monety Kretowi.

Wybrał tę spreparowaną, podał mi lupę jubilerską.

— Obejrzyj zewnętrzny karbowany brzeg.

Nawet wiedząc, na co mam zwracać uwagę, szukanie zajęło mi pełną minutę. Między dwoma ząbkami był mikroskopijny ciemny punkt. Oddałem monetę Kretowi.

— Wyjdź — kazał Kret Terry'emu i podał mi monetę. — Schowaj ją.

— Włóż ją do torby — poprosiłem Michelle.

Terry wrócił do pokoju z urządzeniem wielkości pudełka od papierosów.

— Znajdź ją — powiedział Kret.

Małolat wyciągnął z urządzenia krótką antenkę. Nacisnął jakiś przycisk. Zaczęły się rozlegać ciche, następujące co pół sekundy piski. Terry podszedł do ściany i odstęp między piskami wydłużyły się do mniej więcej sekundy. Kiedy zaczął się zbliżać do nas, piski stały się częstsze. Małolat był cierpliwy, sprawdzał systematycznie pokój. Kiedy stanął obok Michelle, urządzenie zwariowało. Terry obchodził Michelle coraz ciasniejszymi kręgami. Po przytknięciu do torby, z przekaźnika zaczął się wydobywać ciągły pisk.

— W torbie — powiedział małolat i na jego twarz wypłynął promienny uśmiech.

Michelle pocałowała go.

— Zdobędziesz Harvard z marszu, przystojniaku.

— Czy to działa przez metal? — spytałem.

— Nawet przez ołów — uroczyście zapewnił Terry. Zadowolony, zapaliłem papierosa.

— My też powinniśmy tak działać — stwierdziła Michelle. — Znakomicie to do nas pasuje.



Pójdę jutro do tego doktora.

Doktor nie mrugnąłby okiem, nawet gdyby Michelle się przed nim rozebrała. On nie oceniał klienta, wypisywał jedynie to, czego ten sobie zażyczył. Sprzedawał wszystko, o co proszono, i nie brał czeków. Uspokajacze, sterydy, amfetaminy, barbiturany. Na czymś takim nie sposób się dorobić, ale wierzchnia kopia recepty powiedziała mi prawdę. Doktor sprzedawał androlan, malogex... wszystkie nadające się do wstrzykiwania postacie testosteronu. Dokładał za darmo igły. Psychiatrzy wymyślają raz za razem nowe metody leczenia zбочeńców wykorzystujących seksualnie dzieci, do dziś jednak do nich nie dotarło, że tego typu świry wcale nie chcą zostać wyleczone. Istnieje pewien nowy program, wymyślony dla szczególnie niebezpiecznych zбочeńców. W dodatku bogatych. Polega na prowadzeniu poradnictwa, psychoterapii i wstrzykiwaniu Depo-Provera. Mówi się na to „kastacja chemiczna”. Obniża popęd seksualny prawie do zera, nawet jeżeli w pobliżu są nieletni. Uważa się, że dla dzieciobjebów to coś takiego, jak dla ćpuna metadon. Niektórzy sędziowie uwielbiają to ordynować, a świrusy są napalone na uczestnictwo w programie jak cholera — daje im to natychmiastowy wyjazd z więzienia. Z tym, że przegniłe mózgi myślą szybciej od panów docentów na państwowych stypendiach... Błyskawicznie odkryli, że regularne podawanie testosteronu likwiduje działanie Depo-Provera. Przywraca ich do stanu, który w ich mniemaniu jest normalny.

Testosteron nie jest narkotykiem. Federalni nie sprawdzają, ile i kto go przepisuje. Doktor miał się świetnie. Medycyna idzie z duchem czasu. Kiedy byłem gnojem, pracujący w podziemiu hirurzy robili człowiekowi, który był na ucieczce, nową twarz. Dziś niektórzy lekarze też modelują dzieciom nowe twarze — tym, których poszukuje się jako zaginionych. Będą mogli z tego żyć, póki nie zdelegalizuje się przerywania ciąży.

Michelle kupiła tyle towaru, że doktor musiał być przekonany, że to na handel. Dotarło do mnie, że jeśli zaproponuje mu się dobrą cenę, prowadzi hurt. Michelle zapłaciła krugerrandami. Dwanaście nonet, prawie sześć tysięcy.

Doktor mieszkał na północy, w Westchester County. Miał Iwoje dzieci — chłopaka w college'u i piętnastoletnią córkę, 'atrzyliśmy, jak wyjeżdża mercedesem z podjazdu, uśmiecha się do iedzącej obok żony. Córka wyszła do przyjaciół. Liczyliśmy na dlka godzin swobody.

Tył domu osłaniał szereg gęstych krzewów. Max odkręcił pokrywkę tekturowej rury, w jakich przechowuje się wędki. Wyjął ze środka dwa aluminiowe pręty, rozsuwane jak anteny. Połączył je dlkoma poprzeczkami. Mieliśmy drabinkę. Zaczął wchodzić pierwszy. Wspinał się tak swobodnie, jakby szedł po schodach. Po nim vszedł Kret z przewieszonym przez ramię plecakiem. Ja byłem trzeci. Kret nie należy do wysportowanych.

Małeńki skok i byliśmy na ziemi. W oknach nie było urządzeń darmowych. Prawdopodobnie pani doktorowej nie konweniował ch widok. Kret pomachał ręką — detektory ruchu.

— Solidnie umocowane — szepnął. — Drogie.

— Możesz wyłączyć? — spytałem.

Kret nie odpowiedział. Patrzył przez okno trzymając przed >kiem jakiś przyrząd.

— Tam — powiedział wskazując do środka pokoju.

W kącie pokoju stała drewniana skrzynka. Była zrobiona ; ciemnego drewna, postawiono na niej wazon z kwiatami. Tuż przy podłodze świeciło czerwone światełko.

Kret pogmerał w plecaku. Wyjął mikroskopijną wiertarkę poprosił Maxa, by przyłożył dłonie do szyby. Rysikiem zrobił na szkle krzyżyk i przyłożył wiertło w miejscu przecięcia kresek. Nacisnął włącznik. Wycie trwało nie dłużej niż sekundę. Zmienił derunek obrotu wiertła i wyjął go z szyby. Przez dziurę wsunął do rodka drut, przymocował jego koniec do jakiegoś urządzenia w plecaku. Nacisnął przycisk i światełko na skrzynce w pokoju zgasło. Drzwi można było otworzyć kartą kredytową.

Na wypadek gdyby ktoś przyszedł, Max został na parterze. Kret zajął się piętrem, ja piwnicą.

Doktor urządził sobie na dole ładne biuro, urząd finansowy nie miałby się do czego przyczepić. Wyjąłem antenę z urządzenia, które prezentował mamie Terry, i zabrałem się do roboty. Zajął to tylko kilka minut. Sejf znajdował się za lichym obrazem, na którym kupa palantów na koniach

goniła lisa. Zabawka dla początkujących. Mógłbym urwać pokrętko do nastawiania szyfru i w dwadzieścia minut wywalić drzwi łomem.

Kretowi otwarcie sejfu zabrało nie więcej niż pięć. Masa, którą rozsmarował wokół jego drzwi, wyglądała jak szara plastelina. Po wetknięciu w nią lontu było jednak od razu wiadomo, że to nic dla dzieci. Kiedy go zapalił, cofnęliśmy się pod ścianę — rozległo się ciche klap i było po drzwiach.

Nasze krugerrandy leżały w środku. Doktor najwyraźniej lubił złoto. Kanadyjskie klonowe liście, chińskie pandy, australijskie misie koala. Amerykańskie banknoty w porządnym stosach. Mały, oprawiony w skórę notes. Kanadyjski paszport. Doktor był przygotowany, ale nie na naszą wizytę. Zabraliśmy wszystko.

Amator idzie kraść, kiedy jest splukany. Ja jestem zawodowcem i wykonuję rzemiosło.

Robota u pana doktora nie usunęła bólu, jedynie na chwilę go przytłumiła.

Odkąd pamiętam, miewałem złe sny, ale teraz zacząłem miewać sny smutne... czuć w kościach ból, jakby ktoś je miażdżył. Belle. Nigdy bym jej nie zostawił. Teraz ona nie chciała mnie zostawić w spokoju.

Powiedziałem Michelle, że odbiorę Terry'ego od Lily. Przyjechałem do ośrodka dość wcześnie i zacząłem się rozglądać. Czeka-em. Nagle na korytarzu pojawiła się Lily — leciała jak oparzona, czarne włosy powiewały za nią jak flaga. W biegu ściągała płaszcz.

— Powiedz jej, że zadzwonię! — krzyknęła za siebie. Kiedy mnie zobaczyła, gwałtownie się zatrzymała: promieniejąca życiem kobieta z pięknym biustem i blizną nad dużymi, ciemnymi oczami, ily ma tyle lat, że zdążyła się już dorobić nastoletniej córki, licznej łamaczki serc o imieniu Noelle, ale wygląda, jakby jeszcze chodziła do college'u. Noelle jest w wieku, kiedy się ciągle narzeka, że matka nie jest wystarczająco odstawiona. Pewnego razu próbowała przeciągnąć mnie na swoją stronę.

— Nie wydaje ci się, że mama wyglądałaby szalowo, gdyby ściągnęła włosy na czubku głowy?

— Twoja mama jest śliczna, dzieciaku. Wygląda jak madonna.

— Burkę! — zawyła Noelle. — Przecież Madonna jest blondynką!

To już nie różnica pokoleń, ale pętla czasu... Zaczekałem, aż Lily podejdzie.

— Cześć, Lily.

Patrzyła z rezerwą, twarz miała ściągniętą.

— Jakież problemy?

— Przyjechałem po Terry'ego.

— Nie ma sprawy. — W jej głosie dało się wyczuć wahanie. Zapaliłem papierosa, zignorowałem to, że zmarszczyła czoło

i odsunąłem się na bok, by mogła przejść. Nie ruszyła się z miejsca.

— Nie przyprowadza Scotty'ego sama.

— Scotty'ego?

Wpatrywała mi się intensywnie w oczy, szukała w nich prawdy. Wychowany przez państwo złodziej przeciwko doświadczonej terapeutce — żadna przeciwniczka. Doskonale jednak wiedziałem, o kim mówi. Scotty został wykorzystany seksualnie przez zbrodnicę, który woził dzieci do przedszkola. Pojeb zabawił się chłopcem i zrobił mu przy tym zdjęcie — zabrał mu duszę i włożył ją do szuflady jak pamiątkę z urlopu. Malec nikomu nic nie powiedział, wysypał się dopiero przed matką dziewczynki, z którą się bawił. Diabeł ukradł mu duszę, poprosił więc czarownicę, by ją odzyskała. Strega — kobieta z burzą włosów koloru dogasającego ognia i sercem ze stali. Kiedy się żegnaliśmy, coś jej obiecałem: że nigdy nie wrócę. Gdyby połączyła się z Wesleyem, ich dziecko byłoby w stanie przejść przez piekło w nasączonym benzyną ubraniu.

Na korytarzu pojawiła się Immaculata, obejmowała za ramiona dwóch może dziesięcioletnich

chłopców. Jeden był czarny, drugi biały. Coś im tłumaczyła, starannie dobierając słowa. Jej długie paznokcie migotały jak miniaturowe błyskawice. Jej angielski jest perfekcyjny, ale w katolickiej szkole w Wietnamie, gdzie się go uczyła, nie powiedziano jej o kilku drobiazgach.

— Benny, model samolotu jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujesz. To byłoby jak... wożenie drzewa do lasu.

Zobaczywszy nas, stanęła. Uniosła pytająco brwi. Pokręciłem głową.

— Burkę, to moi przyjaciele. Benny i Douglas.

Podaliśmy sobie ręce. Benny zaczął ciągnąć Immaculatę za sukienkę.

— Co to znaczy wożenie drzewa do lasu? — spytał.

— Kokaina do Kolumbii — wyjaśniłem.

Natychmiast się rozpromienił. Wystawił otwartą dłoń i klep-łamię w nią. Jego kumpel zaczął chichotać. — Może minąłeś się ; powołaniem — stwierdziła Immaculata na odchodne. Lily nie zamierzała popuścić.

— Przyszedł pan... poprowadzić na ochotnika leq'ę samoobrony? Zaciągnąłem się. Lily nigdy nie siedziała w więzieniu, ale jej cierpliwością można by obdzielić dziesięciu więźniów.

— Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? — spytałem.

— Chodźmy — odparła ruszając w kierunku swojego biura. Weszła do środka, rzuciła płaszcz na zarzuconą dokumentami canapę i opadła na zdezelowany fotel, stojący obok komputera, którego jedyne oprogramowanie stanowią rozmaite gry. Nie czekała, iż zacznę.

— Co się stało? — zaczęła natychmiast.

— Straciłem dziewczynę. Bardzo mi na niej zależało.

— Jak?

— Została zamordowana.

— Och. Wie pan, kto to zrobił?

— Tak.

— Czy... sprawca... został aresztowany?

— Nie. I nie zostanie.

— Dlaczego?

Patrzyłem jej w oczy, aż zrozumiała.

— Dla pana na tym sprawa się nie skończyła, prawda?

— Nie.

Przeciągnęła dłońmi przez gęste włosy, odsunęła grzywkę z czoła.

— Nie wie pan, co to żaloba, prawda? Spłaca pan długi i na tym sprawa ma się zakończyć, prawda?

Skinąłem głową.

— Pańska dziewczyna... kochał ją pan?

— Kocham ją do dziś. Uważnie mi się przyjrzała.

— Wiedziała o tym? Powiedział jej pan?

— Tuż przed...

— To nie za późno.

Zapaliłem kolejnego papierosa, zagryzłem filtr, wpatrywałem się w dłonie, by mój wzrok odpoczął od widoku Lily.

— Nie musiała umrzeć...

— Uważa pan, że to pańska wina?

— Tak.

— Była z panem? Uczestniczyła w pańskim życiu?

Skinąłem głową.

— A więc wiedziała...

Znów skinąłem głową.

— Burkę, proszę mnie posłuchać. Istnieją rodzaje bólu, którym nie wolno zniknąć, ponieważ są ceną. Musi pan zapłacić, by pamiętać o tej kobiecie. — Lily mówi łagodnie i cicho, ale bez trudności przychodzi jej zmuszenie kogoś do słuchania. Jest jak lukrowany granit. — Każdy z nas

wie, że jest pan twardy, Burkę. Jeśli jest pan taki twardy, to dlaczego przyszedł pan do mnie?

— Nic nie jest wieczne.

— Nie rozumiem.

— Nie mam już ani jednej karty, by zagrać, Lily.

— W takim razie niech pan robi to, co pan umie najlepiej.

Patrzyłem na nią, zastanawiając się, co ma na myśli.

— Niech pan jeszcze coś ukradnie — wyjaśniła z uśmiechem, ale tak przelotnym, że nie byłem pewien, czy mi się nie wydawało.

Samolot z automatycznym pilotem może lecieć sam, ale bez paliwa musi spaść na ziemię. Mnie nic już nie napędzało. W jakiś sposób musiałem wrócić do tego, co było przedtem. Przed pojawieniem się Belle. Wiatr zawiewał jednak piasek i nie byłem w stanie odnaleźć własnych śladów. Robiłem różne rzeczy, ale było to jedynie jak rozlewanie oleju na wzburzoną ripiel, by się na chwilę uspokoiła. Kradzieże i obrabianie nie posuwały mnie naprzód. Funkcjonowałem, ale jak automat. Forsa wpływała, ale nie było rozliczenia.

Mojego akumulatora nie był w stanie naładować nawet strach, jaki wzbudzał we mnie Wesley.

Martwy i pogrzebany. Martwy i pogrzebany.

Zadzwoiłem do Candy.

Otworzyła drzwi, cofnęła się do pokoju nawet nie prosząc, bym wszedł. Tym razem, mimo blond peruki, fioletowych szkieł kontaktowych i co najmniej dziesięciocentymetrowych szpilek widziałem dawną Candy. Miała na sobie ciemne jedwabne pończochy ze szwem, króciutką spódniczkę z dzianiny w nieokreślonym zielonkawym kolorze, talię okręciła grubym łańcuchem. Wzięła jego koniec do ręki i zaczęła nim kręcić — wywijający ogonem lampart. Wyczekiwała.

Podszedłem do kanapy, pstryknąłem popiół mniej więcej w kierunku popielniczki na stoliku. Odwróciła się jednym szybkim ruchem, dłonie wsparła na biodrach.

— Usiądź.

Nie podobał mi się ton, jakim się odezwała.

— Nie zrób błędu — ostrzegłem. — Nie jestem klientem, który zaraz wyjdzie.

Rozpromieniła się w uśmiechu. Miała idealne zęby — tak samo prawdziwe jak fioletowe oczy. Uśmiech socjopaty. Kiedy kobieta uśmiecha się do mężczyzny... dla niego, musi minąć chwila, aż uśmiech w pełni rozkwitnie, trafi faceta pełną siłą. Prawdziwy uśmiech rośnie jak napięcie płynącego przez opornik prądu — małymi skokami, które w dodatku nie muszą być takie same. Uśmiech Candy był sztuczny jak światło żarówki. Klik — był, klik — zniknął. Podeszła do mnie, zbliżyła idealnie wymodelowaną twarz do mojej, próbowała wlać nieco uczucia do swych przypominających kasetki na pieniądze oczu. Zwilżyła językiem usta.

— Przepraszam, mały, chciałam się z tobą trochę podroczyć. Niektórzy mężczyźni to lubią. Chciałam rozmawiać z tobą twoim językiem, nieważne, jaki jest...

— Dónde está el dinero? — spytałem. Pomyślałem o Wolfe. Zobaczyłem oczami wyobraźni piękną panią prokurator w jej biurze, z leżącym u stóp rotweilerem zabójcą i rozłożonymi na biurku moimi aktami. „John Burkę, Robert Burkę, Juan Burkę... Juan? Proszę powiedzieć coś po hiszpańsku, panie Burkę”. Zaśpiewałem jej moją melodyjkę rozpoznawczą.

Wolfe zrozumiała. Candy kiedyś tym żyła.

— Obiecałam ci parę rzeczy. Jesteś pewien, że chcesz tylko pieniędzy?

— Yhm.

Rozparła się wygodnie na kanapie, nogi podłożyła pod siebie. Usiadłem obok, ale niezbyt blisko. Bawiła się guzikami na przodzie sukienki. Rozpięła pierwszy. Potem drugi. Czarny koronkowy biustonosz kończył się tuż nad sutkami.

— Są słodsze, niż kiedy je widziałeś za pierwszym razem, co? Kiedy byliśmy dziećmiakami. Pamiętasz?

Co jest prawdziwe? Nim wzięli się za nią chirurdzy, Candy nie była kobietą. Michelle jest najbardziej kobiecą istotą, jaką znam, mimo dodatkowych części, które ktoś jej dodał jako paskudny dowcip.

— Kiedy byliśmy dziećmiakami, nie oglądałem ich ani razu — wtrąciłem.

To była prawda. Gra wstępna była czymś dla tych, którzy mieli pieniądze. Dla ludzi, posiadających drzwi, które dałoby się zamknąć. Ślonie kopulują inaczej niż króliki. Wszystko zależy od stopnia zagrożenia przez drapieżniki.

— Chciałbyś je teraz zobaczyć?

— Nie.

Pokręciła tyłkiem, przysunęła się do mnie, przytuliła mi twarz do piersi.

— Udawaj, że właśnie wyszedłeś z więzienia — szepnęła. — I nareszcie możesz zrobić wszystko, o czym marzyłeś co noc.

Jej perfumy pachniały ciężko, w głębi miały w sobie coś ostrego, jakby zapach wypływał spod skóry. Kiedy wychodziłem z więzienia ostatnimi razem, wiedziałem, dokąd mam iść. Co muszę zrobić. Ale za pierwszym razem... było tak, jak mówiła.

Rzuciłem worek żeglarski na łóżko w tanim hotelu i wypadłem na ulicę. Potrzebna mi była spluwa. Oprócz tego taksówka, jednak wszystko po kolei. W bramie tuż za hotelem stała chuda dziwka w jaskrawoczerwonej sukience. Jasne tlenione włosy, twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, poźółkłe zęby, dłonie z wystającymi żyłami, na chudym nadgarstku dwa cienkie łańcuszki, oczy ćpuna. Kiedy wysiadała z autobusu z Zachodniej Wirginii, była na pewno młoda, pulchna, głupia i kokieteryjna.

— Chcesz się zabawić, skarbie?

Popatrzyłem jej w oczy.

— Dziesięć plus dwa, mały. Robię po francusku, robię wszystko. Chodź.

Czułem atmosferę ulicy. W każdej bramie stała taka sama jak ona. Dziewczyna też o tym wiedziała.

— Jestem równie dobra jak każda inna — zachęcała.

Kolejny hotel. Dwa dolary dla portiera, bez meldowania.

Wszedłem za nią na pierwsze piętro. Kiedy weszliśmy do pokoju, włożyła klucz do torebki, nie zamykała jej, czekała. Podałem jej dychę. Ze ścian złaziły tapety, w rogu stało zajeżdżone, zapadnięte łóżko z gołym materacem. Ze sterty na krześle z wysokim oparciem wzięła poźółkłe prześcieradło, rozłożyła je na łóżku. Nie zapalała światła. Przez brudne okno wpadał do środka blask neonów. Opuściła papierową roletę. Schyliła się, ściągnęła przez głowę tanią sukienkę. W ciemnym pokoju mignęły czarne podwiązki i małe, brzydkie piersi.

— Chcesz coś ekstra, słonko? Trochę pół na pół?

Nie miałem zapotrzebowania.

— Daj się najpierw obejrzyć, mały. Najpierw cię trochę podoję, co? Nie bój się, w razie czego znów ci go postawię. — Wyciągnęła dłoń, kciukiem mocno nacisnęła prącie od spodu. — Już jesteś gotów, co, mały? Lubię mężczyzn gotowych do działania.

Nie wypuszczając mnie z dłoni opadła plecami na łóżko, połączyła nas, poruszyła biodrami, chwyciła się za kolana.

— Dawaj, mały. Leką ujeżdżania.

Nie zajęło to wiele czasu.

Cóż. Za. Cholerna. Pustka.

— Nie wyszedłem właśnie z więzienia — stwierdziłem.

— Tylko pieniądze?

— Tylko pieniądze.

— Znam cię, Burkę. Znam cię całą wieczność. — Zabrzmiało to jak groźba.

— Już to raz przerabialiśmy.

— Nie jesteś tu jedynie dla pieniędzy.

— W ogóle mnie tu nie będzie, jeśli nie powiesz, o co chodzi.

Wciągnęła głęboko powietrze. Jej piersi urosły.

— Train — powiedziała.

— Co to znaczy?

— Nie to, co myślisz.

— Nie mam czasu. — Zacząłem wstawać. Rzuciła mi się na kolana. Sięgnąłem od tyłu pod perukę, ścisnąłem. Mocno. Przysunąłem jej twarz do mojej. Patrzyła pogardliwie, kalkulująco.

— Lubisz to? Chcesz mi sprawić ból?

Moja dłoń automatycznie się rozwarła.

Candy jeszcze przez chwilę wpatrywała mi się w oczy. Zobaczyła prawdę.

— Nie, te numery to nie z tobą — szepnęła. — Twardy facet z miękkim wnętrzem. Znam cię. Pamiętasz kotkę? Byłam przy tym, jak ją znalazłeś. W piwnicy, pamiętasz?

Simon. Był w naszym gangu. Kompletny świr — lubił sprawiać żywym istotom ból. Zwłaszcza małym. Lubiał podpalać. Nikt mu nigdy nic nie powiedział. W bójkach był dobry, szybko machał nożem, a my nie byliśmy grupą terapeutyczną. Kot wisiał w pętli zrobionej z drucianego wieszaka do ubrań, rozpruty od szyi do ogona, z wnętrzościami zwisającymi prawie do podłogi. Wydawał z siebie dźwięki, jakich nie powinna wydawać z siebie żadna żywa istota. Byłem z Candy, kiedy usłyszeliśmy piski, właśnie zamierzaliśmy gnać w ciemność i seks.

Pamiętałem dobrze. Uwolniłem kociaka, położyłem go na ziemi, wziąłem do ręki cegłę. Rozwaliłem kotu łeb na papkę. Nie wiedziałem, jak przerwać jego ból, skończyłem więc ze wszystkim.

W nocy znalazłem Simona na łąkach. Piekł nad ogniskiem coś nabitego na patyk. Nie chciałem wiedzieć, co. Zostawiłem go tam, gdzie upadł. Kiedy wyrzuciłem łyżkę do opon na ulicę, poleciała kilkadziesiąt metrów po granitowej kostce. Taka była śliska od miazgi.

— Zapłaciłem za to.

— Jasne. Utrzymałeś swoją opinię, ale ja pamiętam, co się wtedy działo. Przez godzinę ryczałeś z powodu kota. Jak dzieciak. Tak się trząsałeś, że nie wiedziałam, jak cię podnieść. Zamierzałeś zrobić z Simonem to samo, co on z kotem. Pamiętasz, jak to obiecywałeś? I to, jak wmawiałeś wszystkim, że to był twój kot? Kłamca! Nigdy nie miałeś kota, wcale ich nie lubisz.

Mówiła jak sędzia, który tłumaczy, że stanowią zagrożenie dla społeczeństwa.

— Coś takiego nigdy nie miało miejsca — stwierdziłem, zapalając papierosa. — Zupełnie ci się poprzewracało we łbie.

— Nie zdradziłam nikomu twojej tajemnicy. Mogłabym...

— Kto by uwierzył takiej cipie jak ty?

— Każdy, kto chciał ją dostać. Czyli wszyscy.

— A dostawali, jak zapłacili?

— Ty tak twierdzisz.

— Ty tak żyjesz. To jedyne, co wiesz o życiu.

— Wiem jeszcze, że istniejesz ty — powiedziała zsuwając z ramion sukienkę.

Wstałem, by wyjść. Stała przede mną, zagroziła mi drogę. Przypomniałem sobie, co się działo wtedy w piwnicy. Jak mnie obserwowała, kiedy ryczałem. Że mnie nie dotknęła, czekała, kto zwycięży. Nie sprawiało mi trudności trzymanie rąk z daleka od niej. Wyciągały się jedynie do jej gardła.

Gwałtownie się odwróciłem, zderzyłem się barkiem z jej brodą.

— Nigdy nie wiedziałeś, jak się obchodzić z kobietami.

— Wiem, jak obchodzić się z tym, co ważne.

— Ze spluwą? — spytała szyderczo.

— Z zawiścią — odparłem i wyszedłem z jej skurwiałego mieszkania.

Czułem w środku lodowaty płomień. Byłem wypełniony aż po oczy obrzydliwym kwasem, wypalającym dziurę w otaczającej mnie mgłę. Idąc do samochodu czułem, jak przecinam ciemność niczym sztylet. Widziałem najmniejszy szczegół otaczającego świata, ale w wersji czarno-białej.

Chciałem rozmawiać z tym, kto zabrał mi Belle i zaoferował w zamian tę socjopatyczną dziwkę. Długo byśmy nie dyskutowali.

Kilka metrów od prawych drzwi plymoutha na ścianę padła plama cienia. Wysunąłem lewą nogę, jakbym chciał skoczyć do przodu, zamiast tego zaparłem się w ziemię, zawirowałem, skacząc za samochód i wciągnąłem głowę w ramiona, jakbym chronił ją przed lecącą kulą. Usłyszałem charkot, o karoserię zadudniło ludzkie ciało. Zapadła cisza. Raz, drugi klasnęły stalowe dłonie. Max.

Stał na chodniku, u jego stóp ktoś leżał. Max trzymał dłonie poziomo, wnętrzem do dołu, dwa razy poruszył nimi w górę i w dół. Człowiek żył. Ukłęknałem, by sprawdzić, kto to jest, Max osłaniał mi plecy.

Ciało było drobne, ubrane w wojskową kurtkę, głowę ukrywała bluza z kapturem. Ciemne rękawiczki. Dżinsy i sportowe buty. Ściągnąłem z twarzy kaptur. Elwira — wilcze dziecko. Miała zamknięte oczy, twarz wyglądała w świetle latarni niebieskawo. Ścisnąłem ją za dolną szczękę — na zewnątrz wysunął się język. Spojrzałem na Maxa. Stuknął się dwoma wyprostowanymi palcami w okolicę przepony — tylko straciła oddech. Dotknąłem zegarka i Max zatoczył palcem koło, zamknął dłoń i otworzył ją. A więc czekała godzinę — od momentu, kiedy zaparkowałem.

Otworzyłem drzwi od strony pasażera i położyliśmy ją na przednim siedzeniu. Machnąłem na Maxa, żeby usiadł z tyłu. Złożył dłonie, ukłonił się i zniknął. Miał do zrobienia swoją robotę, nie moją.

W drodze nad rzekę oddychała słabo przez usta. Nacisnąłem przycisk elektrycznego opuszczania szyb, by złapała trochę świeżego powietrza.

— Oddychaj przez nos. Płytko. Wdychaj i wydychaj. Nic ci nie będzie.

— Niedobrze mi...

Podjechałem do krawężnika. Obszedłem samochód i pomogłem jej wyjść. Dotarła do wody o własnych siłach. Zapaliłem papierosa, Elwira zostawiła na parkingu kolację.

Michelle zdeponowała kiedyś w plym aucie jeden ze swych zestawów. Dałem Elwirze zwilżoną chusteczkę, by wytarła sobie twarz. Podałem jej buteleczkę koniaku.

— Wypłucz usta.

Wjechałem tyłem na opuszczone nabrzeże w głębszą ciemność. Opuściłem szybę od swojej strony i zacząłem się wsłuchiwać, czy nie ma jakichś odgłosów ludzkiej bytności. Nie było niczego. Zapaliłem kolejnego papierosa. Elwira miała jeszcze łyk koniaku, popijała powolutku, obserwowała mnie. Jej twarz powoli nabierała kolorów.

— Co to było?

— Co było co?

— To, co się ze mną stało.

— Włączyłaś alarm.

— Myślałam, że umieram.

— Mało brakowało. Igrasz z wieloma niebezpieczeństwami.

— Muszę z panem porozmawiać.

Pstryknąłem peta przez okno, patrzyłem na odlatujący żarzący się punkcik. W dalszym ciągu moje oczy rejestrowały wszystko w czerni i bieli.

— Mów.

— Muszę tam wrócić.

— Do Traina?

— Tak.

— To idź.

— To nie takie proste. Znowu pana na mnie napuści.

— Skąd wiesz?

— Tak powiedziała. Pracuje pan dla niej, prawda?

— Nie.

— O!

Czekałem, ona dalej małymi łydkami pociągała z buteleczki.

— Masz pieniądze? — zapytałem.

— Mogę zdobyć. Ile...

— Nie dla mnie. Na taksówkę. Wysadzę cię na w miarę bezpiecznym rogu. Idź, dokąd masz ochotę. Nie będę cię śledzić.

Znow zamilkła. Zapaliłem następnego papierosa.

— Coś jeszcze, Elwiro?

— Nie wierzę panu — powiedziała cichym, smętnym głosem. — Ona nigdy nie mówi prawdy.

— Ja to nie ona.

— Ale wiem o panu, co trzeba, panie Burkę.

— No to powiedz, co wiesz, mała. Muszę coś załatwić, a nie jesteś moją dziewczyną, żebym cię woził.

— Mogę dostać papierosa? — Uparta jak gówniarz, który nie chce się przyznać, że zrobił coś złego.

Dałem jej fajkę. Nim zdążyła wpaść na pomysł skorzystania z zapalniczki na desce rozdzielczej, zapaliłem zapalkę. Mocno się zaciągnęła.

— Wiem, co pan robi.

— Naprawdę?

— Tak. Danielle mi powiedziała.

— Nie znam żadnej Danielle.

— Nie wiem, jak się nazywała na ulicy. W rodzinie nie wolno nam używać imion z zewnątrz.

Kurwiła się i zabrał ją pan. Dawno temu.

Pstryknąłem peta przez okno, patrzyłem na odlatujący żarzący się punkcik. W dalszym ciągu moje oczy rejestrowały wszystko w czerni i bieli.

— Mów.

— Muszę tam wrócić.

— Do Traina?

— Tak.

— To idź.

— To nie takie proste. Znowu pana na mnie napuści.

— Skąd wiesz?

— Tak powiedziała. Pracuje pan dla niej, prawda?

— Nie.

— O!

Czekałem, ona dalej małymi łydkami pociągała z buteleczki.

— Masz pieniądze? — zapytałem.

— Mogę zdobyć. Ile...

— Nie dla mnie. Na taksówkę. Wysadzę cię na w miarę bezpiecznym rogu. Idź, dokąd masz ochotę. Nie będę cię śledzić.

Znow zamilkła. Zapaliłem następnego papierosa.

— Coś jeszcze, Elwiro?

— Nie wierzę panu — powiedziała cichym, smętnym głosem. — Ona nigdy nie mówi prawdy.

— Ja to nie ona.

— Ale wiem o panu, co trzeba, panie Burkę.

— No to powiedz, co wiesz, mała. Muszę coś załatwić, a nie jesteś moją dziewczyną, żebym cię woził.

— Mogę dostać papierosa? — Uparta jak gówniarz, który nie chce się przyznać, że zrobił coś złego.

Dałem jej fajkę. Nim zdążyła wpaść na pomysł skorzystania z zapalniczki na desce rozdzielczej, zapaliłem zapalkę. Mocno się zaciągnęła.

— Wiem, co pan robi.



— Naprawdę?

— Tak. Danielle mi powiedziała.

— Nie znam żadnej Danielle.

— Nie wiem, jak się nazywała na ulicy. W rodzinie nie wolno nam używać imion z zewnątrz.

Kurwiła się i zabrał ją pan. Dawno temu.

— Zabrałem od czego?

— Od jej alfonsa. Zaprowadził ją pan do domu, wielkiego domu na Long Island. Jej ojciec zapłacił za to.

Wzruszyłem ramionami.

— Wiem o panu wszystko. Wiem o rzeczach, o których pan wie, i o rzeczach, o których pan nie wie.

Ta sama śpiewka co u jej matki parę lat temu.

— Jeszcze nic nie powiedziałaś.

Zaciągnęła się, aż żar oświecił na chwilę jej twarz. Uspokoila się już. Patrzyła na mnie bez ruchu.

— Jej facet nazywał się Dice. Był dobry, nigdy nie kazał swoim dziewczynom robić ostrych numerów. Pozwalał im chodzić na zakupy, kiedy tylko zechciały. Czekał pan na nich, kiedy wrócili, musiał pan mieć dobry wytrych. Przystawił pan Dice'owi do nosa wielki pistolet, powiedział, że zabiera dziewczynę. Był z panem jeszcze ktoś — wielki, który nic nie mówił. Dice próbował z panem rozmawiać, ale huknął go pan spluwą. Danielle mówiła, że słyszała, jak pękły mu kości na twarzy. Nie może tego zapomnieć. Zabrał pan wszystkie pieniądze i biżuterię jej faceta. Potem wsadził ją pan do samochodu i zawiózł na Long Island.

Znów wzruszyłem ramionami.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Uważasz, że pieprzenie czternastolatek jest w porządku?

— Jej ojciec zaczął z nią wcześniej. Ten, który zapłacił, żeby przyprowadził ją pan z powrotem. Uwielbiał to. W piwnicy. Danielle opowiadała mi, że miał do tego specjalny pokój. Ma tylko jedną sutkę — drugą ojciec spalił jej papierosem. Aby pamiętała, że ma nie uciekać.

Nie odzywałem się. Zacząłem przerzucać kartotekę, którą noszę w głowie. Doszedłem do Dice'a i zasyfionego pokoju w nędznym hotelu. Próbowałem przypomnieć sobie adres na Long Island. Świat dalej był czarno-biały, ale zaczęło brakować niektórych elementów.

— I Train ją uratował? — spytałem.

— Train wszystkich nas uratował. Tacy jak ojciec Danielle, ludzie posiadający władzę, są ciągle na jego tropie. Nie to, że go nie rozumieją, oni wiedzą, co robi, i nienawidzą go za to. Tak samo naszą rodzinę. Wszystkich nas nienawidzą. Wykorzystują takich jak pan, by odwalali za nich brudną robotę.

— W jaki sposób uratował ciebie?

— Myśli pan, że jest pan sprytny, co? Wydaje się panu, że wie wszystko, ale nie wie pan wielu rzeczy. Oszczędzamy na dom. Własny dom. Ale nie w tym nędznym kraju. Tam gdzie będziemy mogli być wolni. Prowadzimy wojnę, a na wojnie ponosi się ofiary. Nie każdemu uda się dotrzeć do celu, ale to nie szkodzi.

— I wszyscy mieszkacie w tym budynku w Brooklynie? Zbieracie na nowy dom? Jak? Sprzedajecie na ulicach kwiaty? Lewe prenumeraty czasopism? Obciągacie lachy w samochodach? Co robicie?

— Nieważne, co robimy, liczy się cel. Nie może nam się zdarzyć nic gorszego od tego, co już zrobiono każdemu z nas.

— No pewnie.

— To nie żart. Nic pan nie wie. Jest pan najemnikiem — tak mówi o panu Train. Służy pan wyłącznie sobie, nie ma pan honoru. Pańskim Bogiem jest pieniądz.

— Biorąc pod uwagę, że Train naprawi świat i tak dalej, musi być u was dość ciasno.

— Nie mieszkamy wszyscy w jednym domu. Paru najstarszych, najlepszych... sprawdzonych... pracuje gdzie indziej. Na rzecz naszej rodziny. Najwybitniejsi. Pewnego dnia też będą należeć do

wybranych.

— Czy Danielle do nich należy?

— Nie. Mieszka z nami. Ci w służbie zewnętrznej są szczególnie. Znam na razie tylko jedną z nich. Dla rodziny poszła na siedem lat do więzienia i nie pisnęła ani słowa. To było jej zadanie i się sprawdziła.

— Jak więc to możliwe, że rodzina pozwoliła ci odejść?

— To był egzamin. Wiem, że to był egzamin. Każdy z nas odpowiada za siebie. Train nie prowadzi przytułku dla uciekinierów z domu. Dom jest tylko dla tych, którzy na to zasłużyli. Sama muszę odnaleźć w sobie chęć powrotu.

— I dlatego bawisz się ze mną w kotka i myszkę?

— To nie zabawa. Pomyślałam, że jak się pan dowie, co naprawdę robimy, nie będzie mnie pan ponownie wyciągać.

— Nie znam żadnej Danielle.

— Zna pan mnie. Być może jest pan w głębi duszy porządny. Nie chciał mnie pan rznąć, kiedy to panu proponowałam. Może uważał pan ojca Danielle za uczciwego.

— Nikogo nie uważam za uczciwego.

— Uważa pan. Mojej matce się wydaje, że pana zna, może jednak ja znam pana lepiej. Pan na pewno jej nie zna.

— Ty za to... wiesz masę rzeczy...

— Niech pan ze mnie nie żartuje. Wie pan, dlaczego matka chciała, żebym wróciła?

— Żeby pieprzyć się z tobą w piwnicy?

— Ale z pana świnia! Wie pan, kim jest moja matka?

— Twoja matka jest kurwą. Była nią już na długo przedtem, zanim się urodziłaś.

— Nie. Danielle była kurwą. Moja matka... kiedy Train mnie znalazł, zarabiałam na ulicy.

Robiłam numery w samochodach. Dokładnie tak, jak pan mówił. W takich samochodach, jak ten, mojej matce było to obojętne. Bo byłam już za duża... miałam czternaście lat. Kiedy byłam młodsza, matka ze mną ćwiczyła. Zawsze mi się zdawało, że to, co wypływa u mężczyzn z przodu, to lody. Matka trzymała moją głowę między kolanami, a klient rznął mnie od tyłu. Krzyczałam z bólu prosto w jej cipę. Do tego jeszcze robili zdjęcia. Do dziś się trzęsę, kiedy blisko mnie błyska flesz. Miałam tylu tatusiów... Wiedziałam od dziecka, jak zrobić, by mnie lubili. Matka mnie tego nauczyła. Kiedy jednak urosły — Elwira klepnęła się dłonią w piersi — byłam za stara do zabawy. A moja matka... sama umie udawać czternastolatkę. Umie być wszystkim, czego chce mężczyzna.

— Nie umie.

— Umie, umie. Nie zna jej pan. Umie się zmieniać jak demon. Wie pan, dlaczego chciała mnie z powrotem? Żeby mnie sprzedać. Twierdzi, że należę do niej, nie do Traina. Prędzej jednak umrę, niż mnie dostanie.

— A dla Traina nie robisz nic?

— Nawet gdyby, byłoby to zupełnie coś innego. Nic nie jest tylko dla Traina, jest dla nas wszystkich. To moje życie, nie jestem jej własnością.

— Ile masz lat?

— Siedemnaście.

— Ile, Elwiro?

— Okay, piętnaście, ale niedługo będę miała szesnaście. Urodziłam się w Boże Narodzenie. Zapaliłem następną fajkę.

— Odwiozę cię na postój — powiedziałem.

— I nie odwiezie mnie pan do niej?

— Nie, ale pod warunkiem, że coś dla mnie zrobisz. Na jej twarz wypłynął uśmiech mądrości.

— Co tylko pan sobie zażyczy. — Głos matki.

— Dam ci numer telefonu i zadzwonisz. Za tydzień. Spotkasz się ze mną tam, gdzie powiem.

Nikomui nie piśniesz o tym ani słowa.

— I co wtedy?

— Odpowiesz na parę pytań.

— To wszystko?

— Tak.

Wciągnęła głęboko powietrze.

— Zgoda. Dotrzymam słowa. Przekona się pan. Może mnie pan zawieźć do domu?

— Mam coś do załatwienia.

Danielle nigdy nie opowiadała mi o piwnicy, ale mówiła, że ma młodszą siostrę. Byłem ciekaw prawdy.

Nie miałem kogo zapytać. Elwira miała po części rację. Candy nie była kurwą, nie była zwyczajną wyrobnicą typu „ruszaj dupą i płac”.

Kiedyś znałem jedną taką. Nie wiedziałem nawet, jak ma naprawdę na imię, każdy wołał na nią Mercy-Litość, ponieważ twierdziła, że weszła do zawodu, kiedy z litości przespała się z facetem, a on kupił jej sznur pereł. Miała ze czterdzieści lat, a wtedy był to dla mnie wiek starczy.

— To jedno wielkie przedstawienie — powiedziała mi kiedyś. — Cyrk w głowie. Iluzja. Nie ma starych kurew, kochany. Ciało wiecznie, ale pieniądze przynoszą odsetki.

Siedziałem u niej w kuchni, pokój rozświetlały promienie słońca. Patrzyłem, jak pije kawę, słuchałem, jak opowiada. Już wtedy umiałem słuchać.

— Chciałabym tylko, żeby ktoś z nim porozmawiał — wydusiła z siebie cichym, schrypniętym głosem. Gęste, szesane do tyłu włosy miała spięte gumką. W długich palcach trzymała papierosa. Pani domu o poranku.

— Co mu powiedzieć?

— Coś, co poskutkuje. To stary klient, spotykam się z nim od lat. Różnica między dobrą kurwą a doświadczoną kurwą polega na stałej klienteli. Teraz chce mnie mieć na wyłączność, rozumiesz? Chce, bym zamieszkała w domu, który kupił. Czekala, aż przyjdzie, gotowała mu.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie wygląda to najgorzej. Jeden klient zamiast wielu. Zamierza zapłacić tyle, ile masz od wszystkich?

— Oczywiście. Jeśli jednak zmieni zdanie, będzie po mnie. Nie mam przecież nawet alfonsa, bo nie chcę należeć do nikogo. — Kiwając biodrami pod sfatygowanym szlafrokiem, podeszła do zlewu. Umyła filiżankę, mówiła dalej przez ramię. Pomacała się po tyłku. — To moje. Wynajmuje ją, ale nie jest do kupienia. Pieniądze to smar do mojego silnika, ale nie jestem niewolnicą pieniądza.

— Powiedziałaś mu to?

— Jestem jego zabawką. Robię wszystko, co chce. Nie mieści mu się w głowie, że zabawka może mieć własne zdanie. Wydaje mu się, że jego propozycja to spełnienie moich marzeń.

— Załatwię to — obiecałem.

Kiedy przyszedłem do niej następnym razem, dała mi pieniądze.

— Dzwonił — powiedziała. — Nigdy więcej nie przyjdzie.

— Tego chciałaś, nie?

— Jeden z moich klientów jest mistrzem w brydżu. Umiesz grać w brydża?

Skinąłem głową. Umieję też grać w szachy. W domino też. Więzienie.

— Powiedział mi kiedyś, że w każdej grze istnieje różnica między możliwym najlepszym wynikiem a najlepszym możliwym wynikiem. Rozumiesz to?

— To, co zrobiłem, było najlepszym możliwym wyjściem, prawda?

— Tak... — Pocałowała mnie w policzek. — Jesteś w porządku. Solidny, dotrzymujesz słowa. Myślałam, że już nie ma takich. Za parę lat, jak przyjedziesz do Phoenix, musisz mnie odwiedzić.

— Phoenix?

— Kupuję tam motel. To moja emerytura. Zbieram pieniądze od lat. Jak człowiek robi się zbyt stary, iluzje bledną... przedstawienie robi się zbyt trudne.

— Nigdy nie będziesz stara, Mercy.

Uśmiechnęła się na to kłamstwo. Pocałowała mnie jeszcze raz. Żegnaj.

Candy należała do zupełnie innego gatunku. Nie znaczy to wcale, że jej córka nie mogła kłamać.

Zasnąłem wieczorem. Na kanapie w biurze. Obrazy z małego telewizor-ka migotały na skraju mej świadomości, Pansy chrapała na podłodze. Kiedy się obudziłem, było jeszcze ciemno. Odbity od czegoś za oknem promień światła tworzył w kącie plamę — jak płomień świecy. Nie ruszałem się, obserwowałem jasne miejsce, koncentrowałem się na nim. Myśli wyzwoliły się z panującego w moim wnętrzu chaosu i uciekły poza ciało. Czasami to działa — popuści się wodze umysłowi, a nadchodzi rozwiązanie. Jest tak jednak tylko wtedy, kiedy to rozwiązanie istnieje.

Stawianie pytań nie ma sensu, jeśli pytającego nie interesuje odpowiedź.

Gliny nie zostawią tej sprawy w spokoju, ale wkrótce będą mieli co innego do roboty.

Wydmuchałem dym pionowo w górę, zadawałem sobie pytanie, I czy ze mną będzie tak samo.

Następnego dnia wziąłem ze stojaka w kiosku z gazetami kupon do gry na wyścigach i wróciłem do biura. Żaden z koni mi nie odpowiadał. Nie marzyłem już, jak dotąd przez całe życie, że pewnego dnia zostanę właścicielem jednego z nich. Spędziłem mnóstwo czasu na zastanawianiu się, kogo okraść.

Pojechałem do Mamy. W oknie był biały smok. Kiedy wchodziłem, właś-X nie coś mówiła do kelnera. Przyniósł mi talerz zapiekanego ryżu i wołowinę w sosie ostrygowym. Nie dostałem zupy.

— Wszystko okay? — spytała Mama, obserwując mnie uważnie.

— Jasne.

— Czekasz na coś?

— Tutaj?

— Nie. Na c o ś w ogóle?

— Chyba nie.

— Chyba tak.

Nic na to nie odpowiedziałem. Po chwili wróciła do kasy przy wejściu.

Właśnie wychodziłem, kiedy zadzwonił telefon. Mama poszła go odebrać, czekałem, aż wróci.

— Mówi, kup jutro gazetę. Sutton Place.

— Tylko tyle?

— Tak.

— Przedstawił się?

— Ten sam, co wtedy. Głos ma jak trup.

Następnego dnia byłem przed restauracją jeszcze przed otwarciem. Mama przyniosła mi poranne wydanie „Daily News”. W Chinatown zaczyna się je sprzedawać na ulicy o szóstej rano. Nie musiałem nawet szukać. Tytuł na pierwszej stronie krzyczał wielkimi literami: MAKABRYCZNE MORDERSTWO PRZY SUT-TON PLACE. Pewna bogata laska z dobrym nazwiskiem została wczoraj około dziewiątej wieczorem znaleziona martwa przez męża, który wrócił z pracy w jednym z biur przy Wall Street. Nazwisko nic mi nie mówiło. Artykuł był bardzo ubogi w fakty, za to przebogaty w przymiotniki. „Okropne”, „rytualne”, „sataniczne”. Sugerował rzeczy, jakie zapełniają jedynie koszmary senne.

Było jeszcze za wcześnie na telefon do mojego znajomego dziennikarza, miałem jednak jeszcze inny dobry kontakt: pewnego Haitańczyka, który krąży po ulicach dla któregoś z brukowców. Intensywnie krąży. Gdzieś między Newark i szkołą dziennikarską stracił karaibski akcent, pozostał jednak szczerwanym ryzykantem. Mógł coś wiedzieć.

Znalazłem automat przy West Side. Zadzwoniłem. Odezwała się automatyczna sekretarka.

„Wiesz, gdzie dzwoniisz, a więc wiesz też, co powiedzieć. Zrób to jak piśnie, niedługo oddzwonię”. Potem piśnieło.

— Zostaw mi wiadomość — powiedziałem do magnetofonu.

Zniknąłem z ulicy, nim obywatele przejęli miasto. Wypuściłem Pansy na dach. Dałem jej trochę jedzenia, które przyniosłem od Mamy. Czuję radość suki, kiedy się na nie rzuciła, i smutek, kiedy zniknęło. Nie minęło kilka minut, a zapomniała i radość, i smutek, znów była sobą. Szczęśliwa istota.

Może powinienem na jakiś czas wyjechać? Do Indiany, odwiedzić starego kumpla z celi, Virgila. Jego córka miała prawie dziesięć lat, a jeszcze jej nie widziałem.

Zawsze mogłem zobaczyć córkę Yirgila.

~ Było coś? — spytałem Mamę, dzwoniąc następnego dnia z ulicznego automatu.

— Przyjedź, okay.

Kiedy wchodziłem od zaplecza, ujrzałem w kuchni Maxa. Poszedł za mną do mojego stolika. Mama usiadła obok niego, patrzyła na mnie uważnie.

— Dzwonił mężczyzna. Czarny, słońce w głosie. Zadzwoń dziś do niego o siódmej.

— To wszystko?

Wyraz twarzy Mamy w niczym się nie zmienił.

— Dzwonił ten podobny do trupa. Masz zadzwonić. Czekałem, co dalej.

— Dzwonił trzeci, Julio. Znajomy. Dzwon do klubu. Julio. Cholera jasna!

— Dziewczyna. Ta sama. Też zadzwoń. Bardzo ważne.

— Dobrze.

— Niedobrze. Weź Maxa.

— Do telefonu?

— Nie, na spotkania. Wszystkie.

— Może wezmę, a może nie.

— Weź Maxa.

W piwnicy pod magazynem Maxa przebiliśmy kiedyś tunel do sąsiedniego ..... budynku, w którym jest biuro projektów. Wszedłem do ich piwnicy, świecąc sobie pod nogi cienką latarką. Jak zwykle było tu pusto. Podłączyłem przenośny telefon do ich linii. Najpierw Julio.

Półmózg, który podniósł słuchawkę, potrzebował sporo czasu, nim pojął, że nie zamierzam z nim rozmawiać. Julio podszedł do telefonu, swój głos starego aligatora ściszył do szeptu.

— Chcę się z tobą spotkać.

— Pojedź Marcy Avenue, aż dojedziesz do wiaduktu nad Brooklyn-Queens Expressway.

Siedem piętnaście, okay?

— Dlaczego nie przyjedziesz tutaj?

— Nie mam czasu.

— Powinieneś mieć.

— Bierz albo rezygnuj — rzuciłem i przerwałem połączenie.

Dzwoniąc do Wesleya użyłem kodu, jakiego zażądał. Trzy dzwonki. Jeszcze raz. Teraz Candy. Podniosła po pierwszym sygnale.

— Czego chcesz?

— Spotkać się z tobą.

— Mów.

— Mogę powiedzieć, co tylko zechcesz. Wiesz o tym. Szykują ci się kłopoty. Mogę ci pomóc.

Wierzysz?

— Nie.

— Mimo to przyjdź. Na parę minut, wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

— Przyjdę jutro. Nie bądź za cwana. Nie zrób żadnego głupstwa.

— Zrobię tylko jedno: będę czekać.

Po przejechaniu mostu Brooklyńskie-go zjechaliśmy do Tillary Street, na lewo od Flushing

Avenue. Jechaliśmy przez Williamsburg równolegle do autostrady. Zatrzymałem wóz i wysiedliśmy. Chodniki były pełne śniadych dziewcząt. Młodych żydowskich piękności z hebrajskiej szkoły w Williamsburgu. Szły w zbitych ciasno grupkach i świergotały jak wróble. Cały ich urok był w głosach. Mimo wdzięku, z jakim odrzucały do tyłu włosy, i błyszczących od chęci życia oczu, były ubrane jak stare baby. Matki wiozły dzieci w wózkach na spacer. Statecznym krokiem stąpali chasydzi w tradycyjnych kapeluszach. Śmiech był jedynie czymś dla dzieci. Na ścianach były namalowane hebrajskie napisy, w oknach zamontowane kraty. Skolonizowany teren, wydarty z otaczającego go getta. Nie zdążyliśmy przejść jednej przecznicy, kiedy złapaliśmy cienia. Pięciu mężczyzn w skromnych białych koszulach i spodniach na ciemnych szelkach. Każdy miał na głowie jarmułkę. Ręce trzymali w kieszeniach, jeden niósł na rękę płaszcz. Izraelscy żołnierze, tyle że w innych mundurach. Minęła nas grupa dziewcząt. Cicho, ale bez strachu — tutejsi ludzie są przyzwyczajeni do obcych.

Kiedy nie kryjąc się z tym, co robię, zacząłem wykręcać w automacie numer, mężczyźni spokojnie stanęli niedaleko. Dziennikarz czekał na telefon.

— Morehouse.

— Wie pan, kto mówi?

— Oczywiście.

— Pracuje pan nad czymś?

— Nad masą rzeczy. Dzwoni pan towarzysko?

— Może ubijemy interes. Wie pan, gdzie jest barak na targu mięsnym?

— Jasne.

— Dziś o drugiej. Przy rogu w głębi?

— Będę tam.

Cadillac zatrzymał się po wschodniej stronie mostu. Kiedy stary wysiadał, kierowca trzymał mu drzwi, uważnie się rozglądał. Stojący w pobliżu Żydzi uważnie nas obserwowali. Stałem oparty o mur, Max był między mną a wjazdem na most. W dole dudniły samochody — końcówka szczytu. Poczekalem, aż Julio podejdzie.

— Kto to? — warknął wskazując głową na Maxa.

— Czego chcesz, Julio?

— Wiedzieć, kto to jest.

— Pierdol się.

— Burkę, nie igraj ze mną. Dostałeś żelazny list. Raz. Wiesz dlaczego. Nikt nie dostaje dwóch.

— Oszczędź sobie tego na filmy o ojcu chrzestnym. Nie musisz wiedzieć, kto to. Gdybyś miał trochę oleju w głowie, już byś wiedział.

— Po co przyszedł?

— Żeby zapamiętać sobie twoją twarz. Nie groź mi więcej. Max stał za moimi plecami nieruchomo jak ściana, oczy zmrużył

w wąskie szparki, skierował je na Julia. Obiektywy. Kierowca starego nerwowo wsadził rękę do kieszeni.

— Powiedz mu, żeby się nie ruszał, Julio. Mój brat bardzo chciałby zrobić komuś krzywdę, a ty byś mu wystarczył. Jeśli twój stronzo wyciągnie żelastwo, Żydzi zrobią z niego mielonkę. Uważaj na siebie.

Julio machnął ręką, jakby właśnie spotkał starego znajomego. Kierowca wyjął z kieszeni papierosa, od tej chwili trzymał ręce na widoku. Ulica była pusta, jakby była czwarta rano. Pomijając sforę za naszymi plecami. Jeden z Żydów podszedł do telefonu, z którego dzwoniłem, podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

— Nie możemy tu długo stać — powiedziałem do Julia.

Wciągnął nerwowo powietrze.

— Zeszłej nocy zabił córkę Torenellogo.

— Co?

— Przy Sutton Place. To była córka Dona. Zerwała z rodziną przed laty. Wyszła za mąż za obywatela. Wydawała przyjęcia, by zbierać pieniądze na bezdomnych, choć mieszkała w

apartamencie za dwa miliony dolarów. Rozumiesz?

— No i?

Podszedł do mnie bardzo blisko, mówił szeptem rodem z więziennego dziedzińca.

— Gdy mąż wrócił do domu, znalazł ją na łóżku. Zaszlach-towaną jak krowę, z rękami i nogami rozciągniętymi na boki, przywiązanymi do słupków na rogach łóżka. Bez głowy. Obciął ją! Obciął głowę i wepchnął jej między nogi, rozumiesz? Żeby facet, gdy wejdzie do pokoju, mógł spojrzeć żonie w oczy.

— Kto?

— Wesley, a któż by inny? Kto inny mógłby zrobić coś podobnego?

— Jakiś świr.

— Jasne. Świr, który by wszedł tam nie zauważony przez ochronę. Świr, który nie zostawił nawet kawałka odcisku palca. Niczego. To profesjonalna robota. Pieprzeni gliniarze rzygali na sam widok. Mąż siedzi w pokoju bez klamek.

— Jaki ma to związek ze mną?

— To robota Wesleya. Pierdolona wiadomość. Don powiedział, że nie zamierza temu pomyślnicowi zapłacić. Nie zrobił roboty — nie dostanie pieniędzy. Wesley zaś na to, że jak nie dostanie pieniędzy, wykończy nas po kolei. Popieprzony skurwiel. To zabójca. Morderca na zamówienie. To nie on nam mówi, co mamy robić, to my mówimy, co on ma robić. Musi zniknąć. Nie powstrzymamy dłużej dziennikarzy.

Stary człowiek spróbował zapalić jedno ze swych czarnych ręcznie zwijanych cygar. Nie udawało mu się — nie z winy wiatru. Zapaliłem zapałkę, osłoniłem płomień dłonią i podałem mu ognia.

Julio skłonił się do przodu, by dotknąć płomienia. Bił od niego kwaśny odór.

— To nie pierwsza sprawa. Stuknął już jednego z chłopców Dona. Jednym strzałem, prosto w kark. Zadzwoił, powiedział: „Jednego mniej”. Jakby zamierzał brać się za nas po kolei.

— Rób, co chcesz.

— Nic z tego. Ty nababrałeś, ty posprzątasz, capisce!

— Ja nababrałem? Ciekawe, jak na to wpadłeś. Coś ci się chyba pomyliło. Wesley chce po prostu dostać swoje pieniądze, nie?

— Gdyby zrobił, co należy, dostałby swoje. Wiemy, że Wesley nie załatwił Mortaya. Jeden z chłopaków Sally'ego Lou był naszą wtyką. Do pilnowania Mortaya. Wszystko okablowaliśmy. Wiemy więc, że spotkałeś się z Mortayem na placu zabaw w Chelsea. — Julio podniósł głowę i spojrzał na mnie swymi zapadniętymi oczami. Poczekał sekundę, potem mówił dalej: — Nasz człowiek poszedł tam zająć się ochroną i akurat on został załatwiony. Z dachu. Przez snajpera. Ktoś użył tłumika i noktowizora. Z tego powodu gliniarze chcą ci się dobrać do dupy... dlatego cię zapudłowali, prawda?

Nie zapudłował mnie ani McGowan, ani Morales, a obaj na pewno nic by nie powiedzieli kolegom. Czuję, jak tryby zaskakują. To miasto miało zamiast serca kupę kompostu — dlatego gangsterzy mieliby nie zainwestować ćwierć dolara w rozmowę telefoniczną? Jeśli mogło to dać parę dolarów...

— Nie było mnie tam — odparłem spokojnie — a sędzia mnie puścił.

— Oczywiście, że cię tam nie było. Dobrze, nie upieram się. Ale na dachu siedział Wesley. Nikt nie pracuje w ten sposób. Jak pierdolony chłopak ze wsi. Łączy cię to z tym wariatem.

Uważnie patrzyłem na Julia, czekałem, co jeszcze powie.

— Donowi to wystarczy — stwierdził Julio.

— Dlaczego po prostu nie dacie Wesleyowi tego, co mu się należy?

— Nareszcie pojąłeś. Właśnie taki mamy zamiar, kolego. W dodatku ty mu to przekażesz.

— Dziękuję bardzo. Nie chadzam w krzyżowy ogień.

— W ten pójdziesz. Jeśli nie pójdziesz, Don każe ci przekazać, że znalazłeś się na jego liście.

— Dlaczego? Co to zmienia?

— Uważasz... po tym, co nawyprawiał ten śmieć... uważasz, że Dona zadowoli tylko zabicie go? Kiedy Don dostanie Wesleya w ręce, animale będzie potrzebował tygodnia, by umrzeć.

— Nie spotkam się z Wesleyem i nie przekażę mu pieniędzy. Dobrze wiesz, że zabije posłańca. Na usta Julia wypłynął uśmiech krokodyla.

— Powiedziałem im... Burkę jest za bystry, by robić za palanta. Nam jest wszystko jedno, jak to zostanie załatwione, chcemy tylko Wesleya. Zrób to, co musisz, ale szybko.

— Niedługo się zamelduję.

— Tylko nie myśl, żeby się ukryć. W tym mieście nie masz dokąd pójść. Jeden telefon i znów będziesz siedział. Zdajesz sobie sprawę, ile dziś kosztuje zabicie kogoś w więzieniu?

— Chciałeś chyba powiedzieć „jeszcze jeden telefon”. — Przysunąłem nos tak blisko twarzy Julia, że widziałem pojedyncze pory na skórze. — Do zobaczenia, staruszk.

Sfory Żydów obserwowała, jak Julio wraca do samochodu. Obserwowała, jak odjeżdża. Obserwowała, kiedy znowu skorzystałem z telefonu. Głos Mamy był łagodny i wyraźny.

— Zadzwoił. Powiedział: to samo miejsce, ta sama godzina. Dziś w nocy.

Wróciliśmy z Maxem do plymoutha. Jeden z mężczyzn ze sfory popatrzył mi w oczy. Zrozumiałem informację.

Nigdy. Więcej. Nie. Wracaj.

Już nieraz to słyszałem.

Sunęliśmy Brooklyn-Queens Expressway, kierowałem się na Queens. Zrobiłem kilka przypadkowych zakrętów, ot tak na wypadek, gdyby Julio zamierzał popełnić głupstwo. Musiałem zabić trochę czasu. Zjechaliśmy przy La Guardii i objechaliśmy powoli lotnisko. Było ciemno, światła migotały jedynie w lusterku wstecznym. Max patrzył uważnie w kierunku, skąd przybyliśmy. Kiedy wjechaliśmy na parking przed jednym z moteli, zrobił gest „wszystko gra”. Wypaliliśmy po kilka papierosów, obserwowaliśmy taniec otaczających nas cieni. Mężczyzn w błyszczących kowbojkach na wysokich obcasach ze szpiczastymi czubami, światła odbijające się od gęstych grzyw długich, mocno napomadowanych czarnych włosów. Wszyscy byli ubrani w jedwabne jaskrawe koszule. Każdy miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Z rąk do rąk przechodziły narkotyki i pieniądze. Dziś handlarze pracowali na wolnym powietrzu. Widocznie Wydział Narkotyków okablował zamknięte pomieszczenia. Parę lat temu pewien tutejszy Kolumbijczyk zapłacił pół miliona za klucz do jednej ze skrytek bagażowych na lotnisku. Kiedy ją otworzył, sprężyna zaskoczyła i wybuch wykasował dziewiętnaście osób. Było to w czasach, kiedy Włochom jeszcze się wydawało, że są w stanie utrzymać w swoich rękach handel środkami odurzającymi. Zlecenie na Kolumbijczyka miał Wesley — pozostałe osiemnaście trupów było gratis. Federales do dziś szukają odpowiedzialnej za zamach grupy terrorystycznej.

Choć Julio znał prawdę, zabierał się do rzeczy, jakby Wesley był zwykłym zabijaką. W dodatku wiedział, że i ja znam prawdę.

Przekazałem wszystko Maxowi. Większości sam się domyślił obserwując Julia. Max zrobił gest człowieka celującego z karabinu. Odsunął dłoń od spustu, zrobił z niej tasak i uderzył się w kark. Pokazał palcem na mój zegarek. „Załatwmy go dziś w nocy”. Pokręciłem głową. Dłonie M axa zapytały dlaczego.

Znów pokręciłem głową. „Nie teraz. Poczekaj”. Przytknąłem dłoń do czoła, jakbym osłaniał oczy przed słońcem, obróciłem głową w lewo, potem w prawo. „Dzieje się coś jeszcze”. Nie miałem jednak pojęcia co.

Przejechaliśmy przez most Triborough od strony Queens. Przecisnęliśmy się przez gęstwinę uliczek do złomowiska. Do spotkania z Wesleyem zostało jeszcze kilka godzin, a nie miałem zamiaru czekać w barze.

Wsunąłem do magnetofonu kasetę, podkręciłem maksymalnie basy. Dla Maxa. Przyłożył czubki palców do głośnika po swojej stronie.

Judy Henske. „High Flying Bird”. Potem „God Bless the Child”. Zadawałem sobie pytanie, czy wpuszczają takie głosy do raj. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie Judy Henske w chórze anielskim.



Sonny Boy Williamson. „T. B. Blues”.

Z rynsztoka niebo wygląda inaczej.

Kinky Friedman and the Texas Jewboys. Zapomniałem, że mam to na tej taśmie. Ma głos podrzędnego piosenkarza w kiepskim barze, ale jego ponura poezja jest jak świecący w kałuży krwi diament. „The Ballad of Charles Whitman” — oda Kinky'ego do ulubionego snajpera Ameryki, który strzelał do tłumu z wieży w Teksasie.

O wielkim guzie wrzeszczeli ludzie, co wyrósł mu gdzieś we wnętrzu łba.

Może Kret będzie coś wiedział na ten temat.

Jerry wpuścił nas i przeprowadził przez psią sforę. Simba siedział sali motnie niedaleko bunkra. Zignorował mnie, nie spuszczał jednak z oczu Maxa. Był spokojny, skoncentrowany. Max skłonił się przed bestią. Nie ze strachu, lecz jedynie tak, jak robi wojownik na terenie innego wojownika. Simba wyszczerzył kły w wilczym uśmiechu i podreptał w ciemność.

Weszliśmy do bunkra. Kret siedział na fotelu, na kolanach trzymał blok rysunkowy. Kartka była zamalowana szkicami, wzorami, równaniami. Nie podnosząc głowy, mruknął coś na powitanie.

— Chcecie herbaty? — spytał Terry, równocześnie robiąc dla Maxa gest podnoszenia filiżanki do ust.

Wojownik Max z godnością skinął głową.

— Macie ginger-ale? — spytałem.

Małolat spojrział na mnie tak, jak czasami robi to Kret. Michelle byłaby dumna.

Popijaliśmy, Kret nadał nas ignorował. W końcu rzucił obliczenia na podłogę. Terry zaproponował mu filiżankę herbaty. Kret, nieobecny duchem, kiwnął głową.

— Nad czym pracujesz? — spytałem.

— Nad wirusem komputerowym.

— Nad czym?

— Wirusem... czymś takim, co niszczy dane, gdy dojdzie się do określonego miejsca w programie.

— Jasne. — Domyślałem się, co zamierza. Każdy pedofil ma komputer i pieczołowicie zapisuje w nim każdą ofiarę. Mają jednak kody niszczące — jeśli policja próbuje zdobyć dostęp do pamięci, zawarte w niej informacje giną.

— U paru ostatnich, do których próbowałem się dostać, było szczególnego typu zabezpieczenie. Może inni mają takie samo... Spróbuję wykorzystać niwelator skoków napięcia... to część stabilizatora sieci... takiego czegoś, co się wstawia, by uchronić dane na wypadek wyłączenia prądu... może da się go tak użyć, by zjadł wirusa, nim ten zje dane.

— Nie bardzo...

— Należałoby zainstalować jeszcze jeden moduł, podłączyć go do stabilizatora sieci, potem obniżyć napięcie, ale tylko trochę, wtedy włączyłby się niwelator, poszukał wirusa i zjadł go. Na koniec zniknąłby bez śladu.

— Ile to potrwa?

Kret pstryknął palcami.

— Jedną tysięczną tego.

— Niech to...

— Jeszcze nie skończyłem nad tym pracować.

Zapaliłem i, na wypadek, gdyby Terry też chciał fajkę, zostawiłem paczkę na stole. Wziął papierosa — nie oczekiwano chyba wizyty Michelle.

— Kret, znasz się na guzach, na raku?

— Jakiego typu?

— Mózgu.

— Znam.

— Czy guz mózgu może zrobić z człowieka mordercę?

— To nie takie proste — odparł Kret, zdegustowany, że musi tłumaczyć coś tak oczywistego. — Może spowodować, że człowiek zwariuje. Przestanie logicznie myśleć. Guz może zmienić człowieka, jego osobowość... to, co robi, rozumiesz? — Kret wbił we mnie wzrok, uzyskał odpowiedź. Ciągnął dalej. — Złośliwy guz rośnie. Różne części mózgu sterują różnymi funkcjami i guz wchodzi im w paradę. Zmienia różne procesy. Zachowanie jest jednym z procesów mogących ulec zmianie.

— Znasz Wesleya?

— Tylko ze słyszenia.

— Zabija ludzi. Nie robi niczego innego. Znam go od dzieciństwa. On nie ma... ucuć.

Rozumiesz? Powiedział mi kiedyś, że jeśli chce się zabić kogoś w czasie snu, należy podpalić dom. Wszyscy zginą. Gliny będą miały trudniejsze zadanie. Im więcej trupów, tym więcej motywów. Nie można się takim urodzić, prawda?

— Każdy się taki rodzi.

— Co?

— Każdy. Ludzie rodzą się z krzykiem na ustach. Każdy czuje tylko to, co jest w nim samym, wyłącznie własne potrzeby. Noworodki nie mają instynktu stadnego jak psy. Noworodek to potwór.

— Czy to znaczy, że noworodek wychowany przez wilki byłby wilkiem?

— Byłby człowiekiem zachowującym się jak wilk.

Zaciągnąłem się. Nigdy nie umiałem zmusić Kreta do długiej

przemowy. Terry przyglądał się zafascynowany. Być może Kret wcale nie mówił do mnie.

— Wesley zawsze taki był — stwierdziłem. — Nigdy nie płakał, nigdy się nie śmiał. Nie wiedział, co to strach. Nie miał ucuć.

— Na początku mówiłeś co innego — odparł Kret. Nie można było zinterpretować jego spojrzenia zza grubych, brudnych szkielek okularów. — To normalne u noworodków. Noworodki muszą się dopiero nauczyć czuć coś więcej niż własne potrzeby. Na tym polega wychowanie.

— Psychologiczna gadka...

— To nie wiedza psychologiczna. To bardzo ścisła wiedza. Zwierzęta albo się przystosowują, albo giną — to prawo natury. Czasem może pozostać coś niepotrzebnego, nazywa się to rudymet. Jak ślepa kiszka. Nie potrzebujemy jej i kiedyś zniknie z naszego organizmu. Biologia... to tak, jak działa Max. Musimy wykorzystywać siłę, nie gromadzić ją. Pogodzić się, że różne rzeczy pozostały nam po przodkach. Jesteśmy tu bardzo krótko, musimy się więc przystosować. Inaczej umrzemy.

— Pozostały po przodkach...

— Seks. To jedna z rzeczy, jakie pozostały nam po przodkach. — Terry wiercił się, jakby miał owsiki, nerwowo pociągał papierosa. — Znasz krzywą orgazmu? Wiesz, że jest inna u mężczyzn i u kobiet?

— Masz na myśli, że potrzebują więcej czasu, aż im będzie dobrze?

Kret skrzywił usta.

— Do osiągnięcia orgazmu, zgadza się. Wiesz, dlaczego tak jest?

— Bo są inaczej zbudowane... nie wiem.

— Zwierzęta stadne parzą się seryjnie, rozumiesz? Gatunek albo wypracuje schemat biologiczny odporny na awarie kodu genetycznego, albo zginie.

— Uspokój się, Krecie. Mów otwartym tekstem.

Kolejne zdenerwowane spojrzenie.

— Weź stado łosi. Jest okres godowy. Byki walczą ze sobą i zwycięzca może się sparzyć ze wszystkimi krowami, nie? Taki jest kod genetyczny. Najsilniejszy byk parzy się z samicami i dzięki temu młode mają najlepsze geny.

— To jasne.

— A jeśli najsilniejszy będzie bezpłodny? Jeśli będzie miał za mało plemników? Co wtedy?

Spojrzałem na Maxa. Kret nawet nie ruszył dłońmi, ale Azjata--wojownik patrzył na niego z nie mniejszym skupieniem niż chłopak.

Kret sam odpowiedział na swe pytania.

— Stado zginie. Musi więc istnieć mechanizm awaryjny. Kiedy samice są gotowe, samce to

czują i zaczynają walczyć o przywództwo. Zwycięski byk parzy się z samicą, daje jej nasienie i wycofuje na pewien czas, by odnowić siły. Samica jest jednak dalej chętna. Kiedy więc zwycięzca parzy się z następną, na tę wchodzi jeden z przegranych byków. Potem to samo robią wszystkie pozostałe samce. Jeśli pierwsza sperma jest wystarczająco silna, młode będą miały w sobie geny najsilniejszego samca, a jeśli nie, to drugiego, trzeciego... i tak dalej. Rodzą się młode, najsilniejsze przeżywają i stado trwa dalej. Rozumiesz?

— Tak, ale...

— Gdyby samice dochodziły do orgazmu przed samcami, uciekałyby przed nimi. Zwierzęta się nie gwałcą — samice muszą być chętne do kopulacji. Nie dochodziłoby do pełnego parzenia się. Dlatego krzywa orgazmu samic musi być dłuższa, znacznie dłuższa — wystarczająca na pierwszego byka i wszystkie pozostałe.

— Dlatego kobiety potrzebują więcej czasu, by...

— Tak.

— Ale to znaczy, że kiedyś będzie się to u nich odbywać równie szybko jak u nas.

Przez usta Kreta przemknął grymas, który od biedy można by nazwać uśmiechem.

— Na pewno. Za pół miliona lat albo coś w tym stylu. Nie dożyjesz.

Zapaliłem fajkę. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział Kret. Myślałem o Mercy, która twierdziła, że pieniądze to smar do jej silnika.

— Czy Wesley się... przystosował?

— Do czegoś na pewno, ale nie wiem do czego.

— Skąd wiesz, że się przystosował?

— Bo ma wielu wrogów, a żyje.

Tlymouth przekradał się przez labirynt wąskich, splątanych uliczek. Podjechałem do krawężnika. Otworzyły się prawe drzwi, ale wewnętrzna lampka nie zapaliła się. Max zniknął jak cień.

Zaparkowałem w tym samym miejscu co ostatnim razem. Wysiadłem bardzo powoli.

— Idź przed siebie i zapal fajkę — powiedział głos za moimi plecami.

Czułem bliskość Wesleya. Odwróciłem się. Tym razem jego ręce nie były puste.

— Powiedz Chińczykowi, żeby wyszedł. Dobrze słuchaj. Jeśli nie wyjdzie, sprzątnę cię na miejscu. Cokolwiek by zrobił, zginiesz.

Gdyby to był film, usłyszałbym w tym momencie trzask odbezpieczanego uzi. Miałem jednak do czynienia z Wesleyem — wiedziałem, że już dawno to zrobił. Podobno Wesley spiłowuje w swoich spluwach bezpieczniki. Wyjąłem z rękawa białą chusteczkę, zatoczyłem dłonią koło kończąc je przed czołem. Max przybędzie bez względu na to, czy Wesley mnie zabije, czy nie — w ten sposób zginiemy obaj. A może...

Wesley stał po mojej prawej stronie, lufę uzi przytykał mi do iersi. Max hałasował, byśmy słyszeli, jak nadchodzi. Kiedy wyszedł krzewów, nie zwolnił. Szedł zamaszystymi krokami ulicznego bijaki, maskującymi możliwości jego masywnego ciała. Był jak rzebijająca się przez las lokomotywa. Stał dokładnie przedami, w odległości około dziesięciu kroków.

— Wystarczy — rzucił Wesley.

Wysunąłem dłoń, wnętrzem do przodu. Max ledwo zauważalnie opuścił lewy bark. Jak dojdzie co do czego, zaatakuje Wesleya od lewej. Oparłem się całym ciężarem o krótką lufę, gotów objąć ją łokciem, objąć śmierć, kiedy nadejdzie, ciasnym uściskiem. Wesley miał rację. Wystarczy. Maxowi wystarczy. Odjadę pierwszy, ale zaraz potem będzie kolej Wesleya.

— Chciałeś rozmawiać — zacząłem.

— Myślisz, że nie wiedziałem, że i za pierwszym razem Chińczyk był z tobą?

— Sam nie wiedziałem.

— Wiem. Dlatego odszedłeś cały. Tym razem jednak wiedziałeś.

— Yhm.

— Cichy Max, co? To on?

— On.

— Wygląda na niezłego łamignata.

— Przyszedł ze względu na mnie, nie na ciebie.

— Wiem. Powiedz mu, że mam cię na muszce.

— Wie o tym.

— Dlaczego więc wyszedł?

— Jest moim bratem.

— O! To miłe. Ja też miałem kiedyś brata.

— Nie wiedziałem. Co z nim?

— Nie żyje.

„To tak jak ty” — pomyślałem, zaciągnąłem się ostatni raz i wyrzuciłem peta.

— Czego chcesz, Wesley?

— Podobał ci się numer przy Sutton Place?

— Po co to zrobiłeś?

— Są mi winni pieniądze.

— Wiem. Niedawno widziałem się z jednym z nich. Chcą cię dostać za wszelką cenę. Mają zamiar puścić plotkę, że ci zapłacą. Chcą, żebym ja ci przekazał szmal.

— I mnie przy okazji załatwił?

— Nie. Chcą cię żywego.

— Tak sobie pomyślałem. To ostudzi sytuację.

— Ostudzi?!

— Oczywiście. Mogli mi zapłacić. Powinni byli to zrobić. Kiedy załatwiłem pierwszego, przestraszyli się. Rzucili więc hasło: „Zabić Wesleya”. Każdy dupek ze spluwą mógł to zrobić, gdyby tylko podszedł wystarczająco blisko, teraz jednak sytuacja jest inna. Teraz są spłoszeni. Przez to przy Sutton Place zrobiło się, jakbym nasrał na ich wielkiego Dona. Wydymał go na oczach wszystkich. A więc najpierw wypuszczają za mną list gończy, a potem go wycofują. Teraz to sprawa osobista.

— Jest coś jeszcze.

— Co?

— Uważają, że to ty załatwiłeś sprawę na placu zabaw w Chelsea. Mieli wszystko okablowane

— jeden z ludzi, który pracował z Mortayem, był od nich. Ten, który został na ziemi. Na dachu był snajper. Zakapowali mnie, by mi trochę popędzić kota.

— Gliny też uważają, że to ja byłem na dachu?

— Teraz prawdopodobnie tak.

— Obydwoj wiemy, że było inaczej. Co oznacza, że masz w swojej stajni snajpera.

— Był wypożyczony. Od przyjaciela. Nie mogę go nigdy więcej wykorzystać.

— Dobra. Za sprawę przy Sutton Place cię nie zakapują. To by nie przeszło.

— Skąd wiesz?

— Ubrałem się w elegancki garnitur, ładniutki płaszcz. Wziąłem aktówkę za osiemset dolarów, rolexa, sygnet z diamentem. Jak adwokat, nie? Powiedziałem portierowi, że mam paczkę dla pani Swanson spod 21 A. Od pana Torenelli. Zadzwoił na górę i wszedłem. Bez żadnego problemu. Pokojówka miała wolne, wiedziałem o tym. Dzwonię więc do drzwi, otwiera od razu. Zaczyna z mety: „Mówiłam przecież ojcu, że nie chcę mieć nic wspólnego z jego”... Przerwywam, mówię, że przyniosłem kilka dokumentów, które musi podpisać, i już mnie nie ma. Traktuje mnie jak służącego, odwraca się do mnie plecami. Zamykam za sobą drzwi, idę za nią do salonu. Otwieram aktówkę. Gada coś do mnie, ale walę ją kastetem z haka w brzuch. Odjeżdża — nie może oddychać. Dostaje w nos zatyczki ze środkiem odurzającym i natychmiast idzie spać. Ściągam łachy, chowam je do aktówki. Talkuję dłonie, naciągam rękawiczki chirurgiczne. Targam ją do sypialni. Biorę struny od fortepianu i rozciągam ją na łóżku na cztery strony. W kuchni znajduję grubą dechę do krajania mięsa i cały zestaw japońskich supernoży ginsu. Bogate dupki mają zawsze eleganckie kuchnie. Kładę deskę pod szyję, odchylam włosy i obcinam głowę. Poszło raz-dwa. Krew siknęła aż na ścianę. Kładę jej głowę w cipe, twarzą do drzwi. Żeby powiedziała mężowi „dzień dobry”, jak przyjdzie do domu. Krwią piszę na ścianie dwójkę. To kod, którego będą mogli

użyć gliniarze przy testach z wykrywaczem kłamstwa, kiedy świry zaczną się przyznawać. Biorę prysznic. Otwieram odpływ. Wsypuję trzy opakowania środka do czyszczenia rur, odkręcam gorącą wodę. Ubieram się, chowam to, co przyniosłem, do walizki. Schodzę na dół, mówię portierowi, że paczka jest za duża, by targać ją przez hol. Pani Swanson chce, by dostarczono ją jej przez wejście służbowe. Chce, żeby przyniósł ją osobiście, wtykam mu dwie dwudziestki. Idę do samochodu, by wjechać do zaułka za budynkiem, każe mu tam czekać. Wjeżdżam w uliczkę, pakuję mu trzy kulki. Pach, pach, pach. Odjeżdżam. O tym trupie nie ma nic w gazetach, ale gliniarze wiedzą, że nie szukają wariata. Ani amatora jak ty. Dobrze wiedzą, co jest grane.

Głos Wesleya nie był zimny, jedynie beznamiętny. Prawie znudzony.

— Dlaczego? — spytałem.

— Chciałem ich sponsożyć. Zabić parę bab w ten sam sposób. Zrobić to, by uwierzyli, że jakiś świr uparł się na ich kobiety. Zmusić ich do zebrania się na naradę. Wtedy wywalić to miejsce w powietrze. To, co robisz teraz, zajmie jednak mniej czasu.

— Twoja informacja dotarła do nich.

Nie słuchał, co mówię.

— Miałem zamiar spuścić się na trupa, ale przy dzisiejszych badaniach odcisku genetycznego...

— Spokojnie, Wesley. Masz w dupie grupy krwi i odciski palców. Jeśli cię złapią, nie pójdziesz do więzienia... Po prostu nie byłbyś w stanie tego zrobić.

— Czego nie byłbym w stanie zrobić?

— Spuścić się na trupa. Pamiętaj, że razem dorastaliśmy. Wiem, jak zarabiasz na życie, ale nie przestałeś być mężczyzną.

— Jestem bombą — odparł potwór. — Mam dość całego tego interesu. Usłyszysz, kiedy będę się z niego wypisywał.

Moje ciało było aż sztywne z wysiłku. Wesley nie miał zamiaru naciskać na spust. Ostrożnie się odsunąłem.

— Jasne, możesz iść. Gdybym zamierzał cię skasować, najpierw wziąłbym się za Chińczyka. Zawsze bierz się najpierw za twardziela — taka jest zasada.

— Słuchaj...

— Nie jesteś twardy, Burkę. Może kiedyś byłeś, ale teraz pozwalasz, by wchodzono ci w paradę. Istnieje wyjście z sytuacji. Dla ciebie, nie dla mnie. Mnie jest już wszystko jedno, jestem zmęczony. Najpierw muszę jednak załatwić Traina — wziąłem za to pieniądze. Potem Dona. Wtedy zniknę.

— Jak ma wyglądać wyjście dla mnie? Czego chcesz ode mnie?

— Jesteś łączącym ogniwem. Wiedziałem, że nim będziesz. Mówiłem ci o tym na początku, pamiętasz? Potrzebuję gliniarza.

— Kogo?

— Mocnego gliniarza. Na wysokim stanowisku. Don się gdzieś zaszł i nigdy go nie znajdę. Gliny i mafia idą ręką w rękę. Dowiedz się, gdzie on siedzi, ja załatwię resztę.

— Nie znam gliniarzy z samej góry.

— Znasz się na tego typu sprawach. Porozmawiaj z ludźmi, popracuj tu i ówdzie. Ja nie mogę. Nikt nie zna mojej twarzy, ale każdy czuje, gdy nadchodzę.

Pomyślałem, że tylko specjaliści przetrwania.

— Chcą zorganizować spotkanie, powiedziec mi, że dostanę pieniądze — powiedział. — Powiem, że się zgadzam. Wszystko zajmie trochę czasu, dobrze go wykorzystaj. Kiedy skończę, wszyscy będą zadowoleni. Gliniarze dostaną swoje trupy, ty wywiniesz się z kłopotów.

— Nie załatwisz wszystkich. Będą cię ścigać do końca świata.

— Nieprawda. Załatwię ich pomiot, a potem pójdę tam, dokąd nie będą mogli iść za mną.

— Do Programu? Nie możesz zostać...

Jego głos nawet nie drgnął. Nie można obrazić potwora.

— Mówisz o Programie Ochrony Świadców? Zabiłem dwóch, którzy w nim byli.

Powiedziałem ci, że jestem zmęczony. Nie zajmuj się tym.

— Tak jak przedtem? Dzwonię do ciebie?

- Jak przedtem. — Popatrzyl w stronę Maxa. — Myślisz, że jest wystarczająco blisko, by mnie uziemić, co?
- Tak uważam.
- Nie jest — powiedział potwór, znikając w ciemności.

Targ mięsny to trójkątna przestrzeń, wydarta West Village i dotykająca najszerszym bokiem do West Side Highway. Nim otwarto w Hunts Point większy targ, wszystkie sklepy mięsne w mieście kupowały towar, tu na południu. Co rano, na długo przedtem, nim zagęści się tłum jadących w kierunku City Hall i Wall Street obywateli, ulice są zapchane ciężarówkami--chłodniami. Potem jest spokojnie do południa. Wieczorem interes znów się rozkręca — ruszają liczne restauracje specjalizujące się w stekach, rozmieszczone w okolicach luksusowych apartamentów wartych miliony dolarów. Kiedy restauracje kończą pracę, targ staje się domem armii dzieciaków, które sprzedają jedyną rzecz, jaka im pozostała. By kupić narkotyki dla zapomnienia, co to jest.

Barak to szopa, którą dzieciaki zmajstrowały ze starych skrzynek. Na ziemi leżą tu kawałki wykładzin, wyrzucone stare materace, tu i ówdzie stoi zniszczony wiekowy fotel. Kiedy na Times Square rozbłyskują neony, dzieciaki przenoszą się do baru jak przeganiane wschodem słońca wampiry. To miejsce jest ich. Gliniarze zostawiają gówniarzy w spokoju pod warunkiem, że wrócą na ulicę, kiedy rano znikną dostawcy. Nikt nie wykręca tu wielkich numerów za dnia. Przez ostatnie lata natrafiłem w okolicy na sporo uciekinierek z domu, chroniących się tu zwłaszcza, kiedy zima pokaże pazury.

Czekałem na Morehouse'a. Na jezdni stał bezpieczny, do niczego nie podłączony wentylator, nocny wiatr z szumem obracał jego łopatkami.

Zza rogu wytoczył się rozklekotany datsun. Reporter zauważył mojego plymoutha, zatrzymał się tuż za nim. Wysiedliśmy i ruszyliśmy mu z Maxem naprzeciw. Morehouse jest mniej więcej mojego wzrostu, śniady — miał na sobie porozciągana bluzę i wojskową kurtkę, brudne wojskowe buty i bawełniane spodnie. Strój do jazdy metrem. Robi swoje już od dłuższego czasu, ale nie ma ani zmarszczek, ani niechlujnej fryzury. Jest atletycznej budowy, ale smukły. Przy Maksie wyglądał jak patyk. Wyciągnął do mnie rękę, zęby błysnęły mu w uśmiechu. Karaibski zwyczaj. Zignorował Maxa — spotykał się ze mną. Miejski zwyczaj.

- Rozumiem, że wszystko nagrywamy? — zaczął. Specyficzne poczucie humoru.
- Morderstwo przy Sutton Place... zajmuje się pan tym?
- Człowieku, mam swoją kolumnę. Nie mogę zajmować się każdym włamaniem.
- To znaczy nie?
- To znaczy, że znam fakty, ale to nie jest materiał na artykuł.
- Co pan powie na coś takiego? Córka mafijnego bossa, która odwróciła się od rodziny, idzie do piachu. Na ścianie ktoś pisze krwią dwójkę. Głowa zostaje odcięta od tułowia i wsadzona między nogi. Portier z budynku zostaje zastrzelony w zaułku na tyłach. Gliniarze starają się ukryć związek morderstwa z mafią.

Gwizdnął przez zęby.

- Mówi się o tym na ulicy?
- Jeszcze nie.
- A więc rozmawiał pan z glinami. Albo z mordercą.
- Nie wiem dokładnie, jak się to odbyło, ale wiem dlaczego. Ubijemy interes?
- Pewnie. Czego pan chce?
- Torenello. Zapadł się pod ziemię. Współpracuje z glinami i któryś z nich musi wiedzieć, gdzie się ukrył. Prawdopodobnie ktoś wysoko postawiony.
- I?
- Właśnie to chcę wiedzieć.
- To głęboka woda, człowieku. Głęboka i ciemna.
- Niech pan udaje, że wrócił na Haiti. — Morehouse dostał nagrodę za serię reportaży o szaleństwie, jakie wybuchło na wyspie po ucieczce Baby Doca.

- Muszę żyć tutaj.
- Pańska decyzja. — Wzruszyłem ramionami.
- Co za to dostanę?
- Kontekst. Clou całej historii. To nie było pierwsze lepsze morderstwo ani jatka urządzona przez zbrojeńca. To część wojny prowadzonej przez zawodowców.
- Narkotyki?
- Nie.
- To co?
- Mamy umowę?
- Jasne.
- Pan pierwszy.
- Tak nie może być, Burke. Dam panu to, co mam, a pan da mi to, co pan ma. Równocześnie, bez sztuczek.
- Z tym, że pan nic nie ma. Jeszcze nie. Gdy zdobędzie pan to, czego chcę, proszę mnie zawiadomić i ustalimy warunki. Zgoda?
- Jest pan do złapania pod tym samym numerem?
- Skinąłem głową.
- Jasne — mruknął, przyglądając się bezpieczeństwa wentylatorowi.

Jechałem przez Village, przebijałem się w kierunku Chinatown. Max, sztywny jak stalowa sztaba, zasłonił rękami oczy. Zadawał pytanie. Zdjąłem dłonie z kierownicy, także zasłoniłem sobie oczy. Moje dłonie były bardzo spokojne. Działo się naraz zbyt wiele rzeczy, których należało się bać, i moje nerwy dostały śpiączki.

Kiedy wjechaliśmy do magazynu, zrobił gest, że powinienem wejść na górę. Przespać sprawę. Zgiąłem nadgarstki, jakbym miał łapy. Pansy siedziała sama w domu, musiałem do niej jechać. Twarz Maxa nawet nie drgnęła. Wiedział, że suka może wytrzymać sama wiele dni. Dotknąłem zegarka, dałem do zrozumienia, o której chcę zacząć jutro działać. Max zrobił ruch, jakby brał coś z talerza i wkładał sobie do ust. „U Mamy”.

Następnego ranka jedząc śniadanie przy biurku, słuchałem radia. Aresztowano agenta FBI za molestowanie dzieci. Wydział Narkotyków zarekwirował na lotnisku Kennedy'ego kokainę o wartości dwudziestu milionów dolarów. Grupa więźniów w Sing Singu domagała się wydzielenia oddziału dla niepalących. W mieście szukano faceta, który napadał na banki. Miał na koncie trzynaście napadów, ale w sumie zrabował nie więcej niż dwadzieścia kawałków. Prawdopodobnie bał się napadać na meksykańskie bary. Mają tam więcej gotówki na rękę, ale nie można przez kontuar podawać karteczki z napisem, że to napad.

Tost z żytniego chleba, topiony ser, sok ananasowy. Jadłem powoli. Lubię jeść bez towarzystwa. Tylko dla siebie. Najgorszą rzeczą w więzieniu — znacznie gorszą od wszechobecnego, duszącego oparu strachu — jest brak prywatności. Nie ma się nic osobistego. Nawet do izolatki wkrada się odór.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedział Morehouse. Ja też muszę tu żyć. Mam to biuro od dawna, ale jeśli trzeba będzie je opuścić, nie będzie mi go brakowało.

Przyszła mi na myśl Flood. Sądziłem, że jak załatwię sprawę z ojcem Belle, uspokoję się. Mogłem, jak mówił Max, pojechać do Japonii. Poszukać Flood. Tutaj szalone monstrum zamierzało zmierzyć się z potężną machiną. Jeśli nie wymyślę sposobu, jak usunąć się z drogi, wkrótce spotkam się z Belle.

Zadzwoń do Candy z ulicy. — Zadzwoń na dół. Powiedz portierowi, że czekasz na paczkę. Przyniesie ją dwóch ludzi.

- Teraz?

— Tak.

Wnieśliśmy z Maxem olbrzymi karton, zadrukowany symbolami jakiejś firmy produkującej telewizory. Max podwinął rękawy, biceps miał napięty z wysiłku, żyły na przedramieniu wyglądały jak grube sznury. Ja nie zdejmowałem kurtki. Portier zawiózł nas na górę windą dla służby, wypuścił na piętrze Candy. Kiedy portier zniknął, podniosłem pusty karton jedną ręką za róg, Max zniknął w ciemnościach klatki schodowej.

Otworzyła, nim zdjąłem palec z dzwonka. Odsunęła się na bok, wpuściła mnie do środka.

— Gdzie ten drugi?

— Wrócił do samochodu.

— Przyniosłeś mi prezent?

— Karton jest pusty.

— Liczy się sam zamiar.

— Mów, czego chcesz.

Była bosa. Miała na sobie skrawek czerwonego jedwabiu, ciemną perukę. Żółte kocie ślepią patrzyły cierpliwie.

— Możemy porozmawiać gdzie indziej?

Poszedłem za nią korytarzem. Z tyłu widać było, jak mocno ma umięśnione nogi. Biodra kręciły się płynnymi, małymi ruchami.

— Chcesz w konkretnym pokoju?

— Wszystko mi jedno — powiedziałem do jej barku. — Gdzie gówniara?

— W szkole.

Candy skierowała się do ostatniego pomieszczenia. Jedyne okno było zasłonięte granatową żaluzją, w środku panował półmrok. Wskazała ruchem głowy na stojący w rogu skórzany fotel z rozłożonym do tyłu oparciem. Obok fotela stał czarny trójnóg z chromowaną popielniczką. Usiadłem. Zapaliłem. Oparła nogę o kozetkę psychoanalityka, pokazała mi profil uda i napięła mięśnie łydki.

— To miejsce robi się pierwsze oklapłe — powiedziała, macając wnętrza ud. — U mnie jest twarde jak kamień.

— Bomba.

— Niczego to u ciebie nie wywołuje?

— A powinno?

— Jesteś mężczyzną.

Patrząc na cień po wewnętrznej stronie ud Candy, myślałem o Wesleyu.

— Już kiedyś to widziałem.

Wyszła z pokoju. Palilem, doskonale wiedziałem, po co tu jestem. Nie z jej powodu.

Kiedy wróciła, była naga. Miała na głowie utapirowaną blond perukę, spadające loczki otaczały całą twarz. Oczy koloru lawendy. Czarne szpilki, gołe nogi. Lewe udo ozdabiała czarna podwiązka. W prawej dłoni trzymała masę skóry i żelastwa.

— Nie ufasz mi?

— Nie.

— Musisz mi ufać. Mogę być, kim tylko zechcesz. Każdą kobietą, jakiej pożądasz. Zamknij oczy i pomyśl. Powiedz i każde twoje marzenie się spełni.

Zmrużyłem oczy, aż jej kontury się rozmyły, wydmuchiwałem dym tak, by unosił się opływając moją twarz. Gruchający głos Candy był jak płynąca z oddali muzyka.

Belle. Wielka dziewczyna okręcająca się przede mną w nowym stroju, pękająca z dumy, gotowa do wyjścia. „Chodź... chodź”...

Strega. Na kolanach, ale nie po to, by się modlić, ogniste oczy czarownicy wypowiadające groźbę. „Wróćisz”...

Flood. Pulchna mała blondynka z bliznami na ciele, ale o sercu bez skazy. Radośnie podskakujące ciało. Wyrównała wszystkie długi. „Jestem twoja, Burkę” — powiedziała mi na pożegnanie.

Muzyka w tle zamilkła.



— Nie jesteś w stanie być tym, czego chcę.  
— Zmienił ci się głos. Kiedy byłeś ostatnim razem, słowa, które mówiłeś, były zimne, ale słabe. Wiem, kiedy ktoś gra, sama przecież ciągle gram. Teraz nie grasz.

— Jesteś kiepskim psychologiem.

— Wiem też, kiedy ktoś kłamie.

— Powinnaś.

Rzuciła na kanapę to, co trzymała w ręku. Schyliła się, zaczęła grzebać w stercie. Wzięła do ręki łańcuszek, pokazała mi go, założyła go sobie na szyję jak naszyjnik.

— Wiesz, co to jest?

— Nie.

Podeszła do fotela, na którym siedziałem, ręce trzymała na plecach. Opadła na kolana.

— To obroza dusząca. Dla psów. Popatrz. — Pociągnęła za kółko i łańcuszek zacisnął jej się na szyi.

Czekałem, co będzie dalej.

Wyciągnęła drugą rękę. Kajdanki. Rzuciła mi na kolana kluczyk. Zatrzasnęła kajdanki na nadgarstku, wolną ręką sięgnęła za siebie. Chwyciła smycz. Przypięła ją do kółka na obroży. Złożyła dłonie na plecach. Usłyszałem trzaśnięcie drugiej części kajdanek. Obróciła się na kolanach, aż była plecami do mnie. Wyciągnęła w moim kierunku skute rękę.

— Widzisz?

— Co?

Odwróciła się do mnie twarzą.

— Weź smycz. Nie mogę nic zrobić. Pociągnij za smycz i pójdę za tobą jak pies. Pociągniesz mocniej, zacznę się dusić. Sprawdź.

Smycz wiła się wokół moich nóg jak zmija. Nawet nie próbowałem po nią sięgać.

— Co to za idiotyzmy?

— Rób, na co tylko masz ochotę. Nie mogę zrobić ci nic złego.

— Przez telefon też byś nie mogła.

— Boisz się.

— Nie ciebie.

— Siebie. Siebie samego. Weź smycz, potrzyj ją w dłoni. Poczuj władzę.

Wziąłem smycz do ręki, widziałem, jak uważnie mnie obserwuje. Coś we mnie drgnęło.

— Niczego nie czuję.

— Czujesz. Nie bój się tego.

— Mów, czego chcesz.

— Skłamałam. Moja córka wróciła do niego. Do Traina. Chcę ją mieć z powrotem.

Chciałabym, żebyś mi ją sprowadził.

— Jak?

— Porozmawiaj z nim.

— Dwa razy to nie zadziała.

— Zadziała. Złóż mu jeszcze jedną wizytę. Parę wizyt. Obserwuj jego biuro. Pokaż się. Elwira zrozumie. Zrozumie, że zawsze będziesz w pobliżu. On nie chce, by ludzie grzebali w jego sprawach, jakaś dziewczyna nie jest tego warta. Kręć się w pobliżu jego domu. Nie musisz nic robić, jedynie być. Powiedz Trainowi, że go sprawdzasz, czy coś w tym stylu.

— A jak to nic nie da?

— Kilka tygodni, proszę. Dwa tygodnie. Jeśli przez ten czas nic się nie wydarzy, dasz sobie spokój. Zgoda?

— Płacisz?

— Czyai tylko zechcesz.

— Chcę pieniędzy.

— A co ze mną?

— Co z tobą?

— Okłamałam cię. I przyznałam się. Nie uważasz, że powinnam zostać ukarana?

— Nie przeze mnie.

— Nie obawiaj się niczego. Czuję, że się boisz. — Zbliżyła do mnie głowę, opuściła mi ją w krocze. W myślach widziałem informację, jaką Wesley zostawił na łóżku przy Sutton Place. Czułem na sobie wargi Candy. Byłem oklapły jak smycz w mojej dłoni.

Cofnęła głowę.

— Myślałam...

Wstałem.

— Zadzwoń — stwierdziłem.

Stała na nogi, poszła za mną korytarzem. Ręce trzymała na plecach, smycz zwisała jej luźno z obroży.

— Burkę!

Zatrzymałem się na środku salonu, czekałem, co powie.

— Otwórz mi kajdanki albo zostaw klucz. Nie mam zapasowego. Nie możesz zostawić mnie skutej.

Wstrętna kłamczucha.

— To zadzwoń po kogoś — odparłem.

Wesley musiał ukryć się gdzieś na mieście. W jakimś odosobnionym miejscu. Nie miał bagażu, przyjaciół, nawet nie miał psa. Mógł iść na miasto, kiedy tylko chciał. Wszystko, co było mu potrzebne, mogło się zmieścić w worku żeglarskim. Nie było żadnego punktu zaczepienia — przez całe życie szykował się do podobnej akcji. Chłopcy Torenellogo nie mieli szansy. Jakby chcieli złapać w sieć mgłę.

Pomyślałem o swoim biurze, o Pansy. O Mamie i jej restauracji.

O Michelle i jej hotelu. Najbezpieczniejsze byłoby złomowisko, ale gdybym się tam sprowadził, musiałbym zostać. W porównaniu z Wesleyem byłem obywatelem.

Zadzwoń do niego od Mamy. Jadłem zupełnie ostro-kwaśną i czekałem, aż potwór oddzwoni. Musiał być niedaleko — telefon zabrzączał po dwudziestu minutach. Podszedłem sam, by zaoszczędzić czas.

— Tak?

— Dzwoniłeś.

— Muszę znów tam iść. Odwiedzić faceta, od którego chcesz mnie trzymać z daleka. Chcę, żebyś o tym wiedział wcześniej.

— Po co?

Wiedziałem, co ma na myśli.

— To część układanki, ale jeszcze nie wiem jaka.

— Sprawdzasz dla mnie adres?

— Już zacząłem. Odwiesił słuchawkę.

Ruszyłem poszukać Prora. Wetknąłem do kieszeni rulon ćwierćdolarówek. Na opłaty za autostradę. Znalazłem go przy Vanderbilt, tuż przy końcu Czterdziestej Drugiej. Stała przed nim wielka skrzynia pucybuta. Nie miał klienta.

— Przejedźmy się — zaproponowałem.

— Z radością, stary, ale mam trochę towaru.

Rzuciłem okiem na skrzynkę. Potaknął.

— Długo?

— Kwadrans do pół godziny.

Postawiłem nogę na metalowej podpórce na wierzchu skrzynki, zapaliłem papierosa. Prorabrał się do roboty. Znał się na niej doskonale. Pracował bez pośpiechu — najpierw przejechał

szczoteczką do zębów wokół szwu, wycisnął pastę z tubki na czubki palców, delikatnie ją wtarł. Wyciągnął szmatę. Opryskał but jakimś środkiem w aerozolu, zaczął polerować. Właśnie kończył, kiedy zjawili się dwaj potężni Murzyni. Oparli się nie opodal o ścianę, zaczęli nas obserwować. Zimni młodzieńcy. Szczeniaki z jednego miotu.

Pror wykonał końcowe pociągnięcie szmatką. Pociągnął za nogawki na znak, że skończył.

— Świeci się wspaniale, możesz biegać na bale.

— Klepnij w rączkę piątkę.

— Pięć dolców?

— Robota jak ta lala za jednego piątala. Chcesz miodu, musisz wsadzić rękę do ula.

— Ile?

Na wypadek, gdybym zamierzał robić problemy, oba czarne szczeniaki odsunęły się od ściany. Podąłem Prorowi szmal, odszedłem. Nie odwracałem się.

Dogonił mnie za rogiem. Z pustymi rękami. Wsiadł do samochodu i pojechaliśmy w kierunku West Side Highway. Zjechaliśmy przy Dziewięćdziesiątej Szóstej, wjechaliśmy pod wiadukt i znaleźliśmy miejsce do parkowania przy nabrzeżu. Otworzyłem klapę silnika, wyciągnąłem z bagażnika skrzynkę z narzędziami. Wetknęliśmy głowy pod maskę, udając, że coś robimy. Zaczęliśmy rozmawiać.

— Znów się z nim widziałem.

— Rób tak dalej, kołtunie, to wylądujesz w całunie.

— Pracuję z nim. To on zrobił robotę przy Sutton Place. Napluł Torenellemu w twarz.

Widziałem się też z Juliem. Chcą Wesleya. Żywego.

— Psy dalej chcą cię capnąć?

— To robota Julia. Ten pieprzony szczur zakapował mnie, żeby mi trochę popędzić kota.

Żeby nie miał ruchu.

— Kiedy facet macha spluwą, zawsze radzę dawać w długą.

— Tak powinienem być zrobić. Gdybym tylko wiedział, że Wesley ściga Mortaya...

— Jeślibyś znał jutrzejszą wygraną, wszyscy bylibyśmy bogaci.

— Wiem. Jednak ta sprawa to co innego. Jestem w samym centrum.

— Nie bądź głuchy, tam nie ma miejsca na ruchy.

— Powiedz raz coś, o czym jeszcze nie wiem.

— Nie ma na to czasu, bracie. Obaj ruszyli, by zabić, więc pomyśl, kogo obstawić.

— Wesleya.

Malutki Pror odwrócił się, oparł plecy o samochód, posłał spojrzenie gdzieś w kierunku rzeki Hudson. Zapalił fajkę, dumał.

— Zawsze chodziło o niego, prawda?

— Co masz na myśli?

— W pudle. Kiedy byłeś młodym głupkiem, który marzył, że zostanie rewolwerowcem.

Chciałeś być taki jak on? Jak Wesley. Człowiek z lodu.

— On nikogo nie ma, Pror.

— Chcesz powiedzieć: nikogo, kto go powstrzymuje. Nikogo, kto zapłacze, kiedy odejdzie.

Podróżowanie bez bagażu nie uszczęśliwia od razu.

— Nie jest szcurem.

— Zgadza się. Jeśli chciałby twojej głowy, to już byłbyś gotowy.

— Wesley chce dostać należne mu pieniądze. Wiesz, jaki jest. Włosi popełnili błąd. Torenelli się ukrył i Wesley chce wiedzieć gdzie. Wyrównać rachunki.

— Wtedy będzie koniec?

— Tak twierdzi.

— A co oni mówią?

— Kto? Kogo mam spytać? Mają jedynie wielki kawał sera i jest im obojętne, jaki szczur zacznie go nadgryzać. Jeśli któregoś dnia Torenelli się nie pojawi, zaraz ktoś go zastąpi.

Pror skinął głową, mocno się zaciągnął.

— Ktoś musi wiedzieć, gdzie on siedzi.

— Na pewno, tylko kto?

— Torenelli — pamiętam go. W głębi duszy to tchórzliwa cipa. Jest w nim za dużo obawy, by samemu załatwić sprawy. Gdyby chciał popełnić samobójstwo, toby się otrul prochami.

— Też tak uważam.

— Wesley nie nadaje się do węszenia. Kto szuka?

— Morehouse.

— Dziennikarz? Ten wyspiarz to mój człowiek! Czytałeś jego artykuł o frajerze z Luizjany, którego wsadzili na dożywocie za głupią kradzież? A przewodniczący Komisji do Spraw Zwolnień Warunkowych sam poszedł w końcu siedzieć?

— Yhm. Nieraz już z nim pracowałem. Dałem mu parę informacji na temat morderstwa przy Sutton Place. Ostrych, prosto z miejsca zbrodni. Z pierwszej ręki. Natychmiast poczuł zapach krwi. Zna paru wysoko postawionych gliniarzy z departamentu policji.

— Wie, po co ci te informacje?

— Nie chce wiedzieć.

Pror rzucił papierosa na ziemię, przydeptał go obcasem.

— Gdzie dla mnie zadanie, mój szanowny panie?

— Wydaje im się, że siedzę w pułapce, ale nie wiedzą, że w sieci jest dziura. Gdy ją szerzej rozerwę, zdobędę przestrzeń na ruchy. Jest pewna dziewczynka — kiedy to wszystko się skończy, muszę ją wyciągnąć i zaprowadzić do Lily.

— Tylko tyle?

— Jest parę pytań, na które tylko Lily będzie w stanie odpowiedzieć.

— Ty masz plan, ja idę za tobą w tan. Zapaliłem fajkę.

— Zdawało mi się, że jak pozbędę się tego skurwiela, będzie mi lepiej — powiedziałem, myśląc o ojcu Belle.

— Wiem — odparł Pror.

Zadzwoiłem do byłego gliniarza, który obiecał zająć się telefonami. Spotkaliśmy się w restauracji na środkowym Manhattanie. Dałem mu kopertę z pieniędzmi i kilka innych numerów telefonów do sprawdzenia. Jeszcze jeden adres.

Potem zadzwoniłem do Lily. Nim podeszła do telefonu, musiałem wrzucić do automatu kolejną ćwierćdolarówkę.

— To ja. Mogę zadać pani pytanie?

— Pewnie.

— Jeśli przyszlaby do pani nastolatka z pewną historyjką, umiałaby pani ocenić, czy mówi prawdę?

Znakomicie wiedziała, o jaki rodzaj historyjki mi chodzi.

— To zależy. Prawdopodobnie umiałabym ocenić, czy coś się wydarzyło, ale mogłabym mieć trudności z określeniem czasu zdarzeń. Zna pan całą historię?

— Tylko to, co mi powiedziała.

— Zaryzykuję. Jeśli nie chce pan przyprowadzać tu małej, może zajmie się tym Immaculata?

— To nie jest robota dla Mac.

— Rozumiem.

— Lily... prawdopodobnie nie będę w stanie ustalić terminu z góry. Mogłaby się... zezłościć. Nie chceć mówić.

Choć rozmawialiśmy przez telefon, wyczułem, jak wzrusza ramionami.

— Zdarza się.

— Dziękuję.

Teraz telefon do Davidsona.

— Coś się dzieje?

— Nie. Mam wróżyć? Nie dojdzie do rozprawy przed ławą przysięgłych. Sprawa zostanie zaklasyfikowana jako „zamknięta, zakończona aresztowaniem” i zapomniana. Wiedzą, że nie ma pan z tym nic wspólnego.

- Jestem coś winien?
  - Póki co radzę sobie.
- Nie kłamał.

Umiem czekać. Kiedy siedziałem, nigdy nawet nie pomyślałem o tym, by przeskoczyć mur. Nie miałem dożywocia i nie zamierzałem uciekać do końca życia. Przeczekałem w spokoju kilka dni. Nie miało sensu popędzanie Morehouse'a — załatwi sprawę, albo i nie, bez mojego udziału.

Jeśli jednak nie załatwi...

Mieszkający pode mną pogrobowcy hipisów są do trzeciej po południu jak martwi. Zdaje mi się, że od niedawna mówią na ćpanie happening.

Mama podniosła słuchawkę osobiście. Natychmiast zaczęła trąkotać w dialekcie mandaryńskim.

— To ja.

— Jest list dla ciebie.

— Na adres restauracji? — Czyżby Wesley? Może głupki od Julia chcą dać mi do zrozumienia, że wiedzą, gdzie mieszkam?

— Tak. Przynieśli w nocy.

— Niedługo będę.

Kiedy Mama położyła przede mną list, natychmiast wiedziałem że nie jest..... od Wesleya. Ani od Julia. Koperta była gruba, kremowa, w dotyku bardziej przypominała materiał niż papier. Nie było na niej nic napisane. Zgiąłem ją — nie była to bomba. W środku znajdowała się kartka.

Słowa były napisane tak krąglymi literami, jakby atrament wyciskano z tubki. Jak krem na ciastko upieczone przez szatana.

„Zapytaj mnie. Ja wiem”.

Bez podpisu. Nie potrzebowałem go.

Strega.

Zapaliłem papierosa, zastanawiałem się nad propozycją. Wypaliłem kilka następnych papierosów. Coś musiało w tym być — to nie była kolejna gierka czarownicy.

Nie wiem, jak przypomniałem sobie numer, ale podniosła po pierwszym dzwonku.

— Wiem, kto.

— Co jeszcze wiesz?

— Wiem wszystko, co chcesz wiedzieć. Przyjdź, powiem ci.

— Powiedz teraz. To zajmie sekundę.

— Dłużej. Przyjdź do mnie. I tak masz ochotę.

— Nie mam. Przecież już wszystko wyjaśniliśmy.

— Nic nie jest wyjaśnione. Gdybym chciała rozmawiać przez telefon, sama bym zadzwoniła.

Zagryzłem filtr.

— Spotkam się z tobą. Pamiętasz, gdzie zobaczyliśmy się pierwszy raz?

— Boisz się przyjść do mnie.

— Boję.

— Mnie też się boisz.

— Ciebie też.

— Nie możemy spotkać się na ulicy, dobrze o tym wiesz. Wiesz, co mam ci do powiedzenia.

Zadecyduj sam. Czekam dziś w nocy. Od zmroku do świtu.

radiu ktoś twierdził, że jest za gorąco jak na tę porę roku. Było jakieś piętnaście stopni. Poczulem jednak płynący od jej domu mróz — na długo przedtem, zanim go zobaczyłem. Objechałem budynek, zaparkowałem tyłem na wolnej przestrzeni przed garażem. Drzwi do domu były otwarte.

Wszedłem do środka. Znałem drogę.

Czekała w swoim czarno-białym salonie, rozparta na skraju fotela. Jedną wspaniałą nogę

założyła na drugą, łokieć wsparła o kolano, brodę o dłoń. Migoczące jak ogień włosy zdjęła z lisiej twarzy i zaczesła do tyłu.

— Grzeję go dla ciebie — odezwała się na mój widok, wstała i ruszyła w moim kierunku stukając obcasami po marmurowej podłodze.

Stałem jak skamieniały. Żadna siła tego świata nie posadzi mnie jeszcze raz w tym fotelu.

Strega chwyciła mnie za ręce. Trzymała je delikatnie, obserwowała moją twarz. Miała na sobie białą jedwabną koszulkę, sięgającą do połowy uda. Kobiety czasem przewiązują coś takiego paskiem i używają jako sukienki.

— Usiądź w fotelu. Jest twój — pamiętasz?

— Nie.

— Co nie?

— Nie, nie usiądę.

— Ale pamiętasz?

— Yhm.

— Nie poproszę więcej.

— To dobrze.

Trzymając ciągle moją rękę, podprowadziła mnie do kanapy. Usiadła i pociągnęła mnie w dół. Przyniosła moją dłoń do swoich ust — ciemnej, rozwierającej się w ciemnościach pokoju szczeliny, wypełnionej drobnymi, białymi, równymi zębami. Pocałowała mnie w dłoń. Polizała ją. Uniosła wzrok i znów zaczęła mi patrzeć w oczy. Wetknęła sobie mój kciuk do ust, zaczęła ssać. Nagle gwałtownie ugryzła.

— Nie przestałeś dobrze smakować.

— Co wiesz? O co miałem cię zapytać?

— Julio mi powiedział. Mówi mi o wszystkim, ale nigdy nie wyrówna mojej krzywdy. Chodzi o tego wariata zabójcę, któremu masz przekazać pieniądze, żeby go mogli złapać. Zamierzają zostawić cię tam zimnego na ziemi.

— Wydaje ci się, że to dla mnie nowość?

— Zamierzają cię do tego zmusić. Niedługo. Wiedzą, jak to zrobić.

— Po co ten pośpiech?

— Ich cały Don strasznie się boi. Chowa się w swym domu, w piwnicy, jak pluskwa. Boi się, więc wszyscy inni też się boją. Nie może dłużej czekać. Chciałby iść do swoich klubów nocnych, jeździć samochodem, odwiedzić swojego gumare... pokazać, jaki jest wielki... a nie może.

— Świetnie. Dziękuję.

Palce Stregi były zaplątane w mojej marynarce.

— Julio cię nienawidzi. Ponieważ wiesz, co zrobił ze mną. Wie, że ty wiesz. Nigdy mu o tym nie mówiłam, ale on wie. Rozpuszcza plotki, że pracujesz razem z tym szaleńcem. Z tym, kto dokonał morderstwa przy Sutton Place.

— Wiem. Zostałem aresztowany za morderstwo, którego nie popełniłem. To robota Julia.

— Już wiele lat temu mogłam wyłączyć go z obiegu, ale czekałam. Na to, żeby zapłacił.

Dotychczas nie mógł zapłacić. Teraz nadszedł na niego czas.

— Dlaczego teraz?

— Należysz do mnie. Pamiętasz, co ci powiedziałam? Napiałam się twojej krwi, połknęłam twoje nasienie. Jesteś we mnie.

— Nie należę do nikogo.

Wiedźmy słyszą jedynie własny śpiew.

— Powiedziałam staruchowi. Powiedziałam mu, że nie pozwolę, by cię skrzywdzono. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, skamlał. Tchórz. Powiedział, że Don chce zakończyć sprawę, ale ja znam prawdę. To on chce zakończyć sprawę.

— Przecież to wszystko jedno kto.

— Nie. Jeśli szef zginie, Julio zostanie. Dalej będzie chciał cię zabić.

— Chcesz więc...

— Ubić interes. Powiem ci, gdzie jest Don, a ty zajmiesz się Juliem.

— Myślałem...

— Nie żartuj sobie ze mnie! Nie staraj się być ode mnie lepszy! Masz ochotę go zniszczyć. Myślisz, że nie czytam gazet? Zapłaciłam ci, żebyś odzyskał zdjęcie Scotty'ego i zrobiłeś to, ale ten, który je zrobił... ten zboczeniec w przebraniu kłowna... mówiono, że został znaleziony ze skręconym karkiem. To była twoja robota. Jesteś zimny. Jesteś zimnym człowiekiem obawiającym się mojego ognia.

— Mylisz się, Jina. Od początku do końca.

Jej oczy błysnęły złością, zapłonęły, po chwili zmatowiały. Śpiew czarownicy.

— Strega. Mów na mnie Strega. To Strega ci pomaga, nie Jina. Jina jest grzeczną dziewczynką. A ty nie chcesz mieć grzecznej dziewczynki.

— W ogóle cię nie chcę.

Przejechała językiem po wargach.

— Udowodnij to. Usiądź w fotelu.

— Po co?

— Po to, czego chcesz.

— Chcę dostać adres.

— Najpierw moja kolej.

Dziwka. Usiadłem w fotelu. Patrzyłem, jak przytula się do moich nóg, podciąga sukienkę. Między jej pośladkami biegł cienki pasek czerwonego jedwabiu. Jak smagnięcie pejczem. Dotknęła suwaka w moim rozporoku. Rozległ się suchy zgrzyt. Mój! — rzuciła wkładając rękę do środka. Nie było nikogo w domu. Głęboko z jej gardła wydobył się charczący dźwięk, wzięła moją miękkość w usta, zaczęła lizać, ssać, gadać do siebie. Na sekundę lekko drgnąłem, ale... nic. Drapała zębami, przesuwała po mnie wargami, ssała. Trup. Martwy jak Belle. Dawniej zawsze mi się wydawało, że jeśli przytrafi mi się coś podobnego, będzie to jak kawałek śmierci. Teraz uważałem, że to zwycięstwo.

Po paru minutach poddała się. Wbiła we mnie wzrok, popatrzyła mi głęboko w oczy.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— To pierwszy raz?

— Nie. — Mimo woli powiedziałem prawdę.

— Coś ci się stało?

— Yhm.

— Zraniono cię?

— Yhm.

— Poprawia się?

— Nie wiem. To...

— Obojętne?

— Nawet tego nie wiem.

Zasunęła suwak. Brutalnie.

— Nie będzie tak zawsze. Wiem. Nie interesuje mnie, co mówią lekarze. Nie bądź...

— Nie bądź co? Smutny? Smutnym można być, jeśli lekarz powie, że ma się cukrzycę. Ja się dowiedziałem, że na świecie nie ma insuliny. Rozumiesz?

— Nie boisz się. — Nie było to pytanie.

— Nie.

— Ostatnim razem się bałeś.

— Wiem.

— Myślisz, że coś by zmieniło, gdybyś... znów zaczął się bać?

— Nie. Mam. Najmniejszego. Pojęcia. Jasne?

— Jasne. — Jej oczy sprawiały wrażenie wilgotnych — bez dwóch zdań było to jedynie odbicie światła w tym dziwnym czarno-białym pomieszczeniu.

Wstałem, by odejść.

— Daj mi adres.

- Nie mam go.
- Powiedziałaś...
- Mam wrażenie, że wiem, gdzie to jest, ale muszę się upewnić. Nie możesz tam pójść dwa razy. Kiedy cokolwiek się wydarzy, będą wiedzieli, że to ja ujawniłam kryjówkę.
- Każdy może ją podać. Cała ekipa jest pełna szcurków.
- Co z naszą umową?
- Przecież usiadłem na fotelu.
- Nie o tym mówię. Julio.
- Co Julio?
- Musisz załatwić ich obydwóch.
- Kiedy będziesz mieć adres?
- Jutro, pojutrze. Niedługo. Góra za parę dni. Przysięgam.
- Niech będzie.

Zrzuciła z nóg szpilki i zaczęła schodzić ze mną na dół. Sunęła boso po puszystej wykładzinie na schodach. Kiedy byłem już na parterze, stanęła na przedostatnim stopniu. Nachyliła się i pocałowała mnie w usta. Delikatnie. Nie ugryzła. Tym razem nie płonął w niej ogień czarownicy. Odwróciła się i patrząc na mnie przez ramię, zaczęła wracać na górę. Pomyślałem o Candy, przypomniła mi się pewna sytuacja sprzed lat. W moim wnętrzu coś drgnęło. Kiedy sobie przypominałem, że gdy byliśmy dziećmi, Candy nigdy nie pocałowała mnie na pożegnanie, uczucie natychmiast odleciało.

Wracając do biura dalej widziałem świat jak na czarno-białym filmie, na dodatek wszystko było odwrócone. Wywinięte na zewnątrz. Jak odbite w lustrze. Walka o bezpieczeństwo to dla mnie nie zabawa — to moje życie. Teraz nie byłem jednak w stanie odzyskać panowania nad sobą — nic nie było na swym miejscu. Zaczęło mi towarzyszyć przerażenie, ale zniknął stary kumpel Strach, utrzymujący przy życiu końcówki nerwów. W moje życie wkroczyła czarownica Strega. Składali mi przysięgi kłamcy, socjopaci obdarzali zaufaniem. W moim otoczeniu było paru martwych ludzi, choć niektórzy z nich jeszcze o tym nie wiedzieli. Kilku ludzi zdobyło mój adres. Ćpuny pożyły mej krwi, sępy ciała. Nie byłem w stanie zmobilizować dość adrenaliny, by wydostać się ze strefy śmierci. Zeskoczyć z torów, nim nadjedzie pociąg. Nie tylko mój kutas nie działał. Nie wiedziałem, czy ze mną już koniec, czy jedynie byłem zgubiony. Może. Naprawdę byłem już pod ziemią, z Belle?

Zboczeńcy wykorzystują pornografię, by odwrząliwić dzieci. Złamać ich naturalną obronę. Spowodować, żeby myślały, że to normalne. Obniżyć barierę, aż będą w stanie ją przekroczyć.

Być może tak samo jest z kłamstwem i bolesną stratą kogoś. Nie odbierają ci duszy, ale powodują, że nie warto o nią walczyć.

Jak z obrabianiem frajerów. Złodziej wie, że wróci do więzienia, nie wie tylko kiedy.

Znalezienie wyjścia z sytuacji być może nie było wcale zbyt trudne. Problem w tym, że miałem to gdzieś.

W więzieniu sporządzałem zazwyczaj listy. W głowie. Rysowałem przez środek głowy kreskę. ZA i PRZECIW. Do dyskusji o tym, kim chcę być.

Do niektórych walk nie można się przygotować.

Tylko raz byłem z Wesleyem w więzieniu, poza tym stale się mijaliśmy. Słyszałem, że był przez pewien czas w wojsku — kiedy w Wietnamie było gorąco i ciężko, sędziowie pozwalali tam jechać ochotnikom. Siedział wtedy z nami pewien gość, nazywał się Dayton. Goryl. Wariat na punkcie żelastwa. Rozwalał słabszych, robił za mięsień u gangsterów. Dobrze mu się wiodło. Sprawiał wrażenie, jakby miał w dupie to, co się z nim stanie, ale żył. Jego życie składało się z siły i głupoty. Nie pamiętam dokładnie, jak doszło do kłótni między nim a Wesleyem, pamiętam jednak, że jak wszystko się zaczęło, byliśmy właśnie z Prorem na dziedzińcu.

Wesley stał przy ścianie. Jak zwykle sam. Dayton przypieprzył się do niego, zaczął coś gadać. Złapał Wesleya za przód koszuli, przyciągnął go do siebie i grzmotnął pięścią prosto w twarz.



Wesley osunął się na ziemię z szeroko rozrzuconymi rękami. Dayton zostawił go tak, poszedł sobie.

Jeden ze stojących niedaleko nas młodych Włochów wybuchnął śmiechem.

— Mój człowiek nieźle się obbbalił — stwierdził, kiwając głową w kierunku Wesleya.

Powiedział to tak samo, jak komentatorzy i kibice futbolu mówią „obbbrona”. Pror uśmiechnął się swym specyficznym uśmiechem.

— Sprawa nie tak się kraje, jak ci się wydaje. Stawiam pięć do jednego, że mój człowiek przeżyje, kolego.

Nie minęło pięć minut, jak postawiliśmy dwadzieścia kartonów papierosów przeciw dwustu, że Dayton nie przeżyje Wesleya.

Zakład był stuprocentowo pewny. Dayton miał świra na punkcie dianabolu. Łykał sterydy tak, jak inni chłopcy talvin, valium czy inne rzeczy, które pozwalały odjechać na parę godzin. Dzięki prochom Dayton zrobił się cięższy niż powinien być człowiek. Kiedy klawisze znaleźli go w sali gimnastycznej, zgiętego nad sztangami, nie miał najmniejszego zadrapania. Jedyne jego skóra była sina. Chłopcy, którzy się z nami założyli, uznali, że mamy szczęście, a on po prostu przedawkował. Ci, którzy siedzieli wystarczająco długo, dodali dwa do dwóch. Już wtedy zadzieranie z Wesleyem oznaczało kasację.

Morales przechwycił mnie, kiedy wychodziłem od Lily. Wcześniej czy później musiało to nastąpić — prędzej by bullterier zostawił poleć mięsa, niż Morales pogodził się z porażką. Wszystko byłoby w porządku, ale był ze mną Max. Szedł jakieś cztery kroki z tyłu, ukryty w cieniu. Morales jest mniej więcej mojego wzrostu, ale waży przynajmniej sto kilo. Nie ma grama tłuszczu. Jest urodzonym łamignatem, nie rewolwerowcem. To mu uratowało życie.

Złapał mnie za marynarkę, pchnął twarzą na ścianę, zaczął trajkotać swoją śpiewkę, że jeśli mam przy sobie broń, to natychmiast wracam do pudła... w tym momencie go zatkało. Rzuciłem okiem przez ramię. Max jedną ręką trzymał gliniarza za rękę, drugą miał na jego karku i wyginał go w nieprawdopodobny sposób. Odskokczyłem od ściany i dałem Maxowi znak „Puszczaj!” Morales padł na chodnik. Pchnąłem kciukiem powietrze, zacząłem gwałtownie machać, każąc Maxowi natychmiast zniknąć.

Ukląknęłam obok Moralesa. Próbowałam złapać oddech i równocześnie lewą ręką wyciągnąć przymocowany przy prawym boku pistolet. Prawa ręka zwisała bezużytecznie.

— Pomóc panu? — spytałam.

— Ty skurwysynu! — O mało się nie zapluł z wysiłku.

— Proszę się nie denerwować. Nic panu nie jest. Wszystko w porządku.

— Ale nie z tobą.

— Wiem. Jestem aresztowany?

Mijali nas ludzie, ale nikt się nie zatrzymał. Spróbowałam pomóc mu wstać. W jego oczach było coś pomiędzy wściekłością a bólem. Wściekłość zwyciężyła. Łokciem sprawnej ręki zamachnął się, by walnąć mnie prosto w pierś. Cofnąłem się i trafił powietrze. Przystałem go podnosić, wróciłem pod ścianę i odwróciłem się do niej twarzą. Czekałem.

Po chwili usłyszałem, jak wstaje. Napiąłem mięśnie w okolicach lędźwi. Wbił mi lufę pistoletu dokładnie w to miejsce nad nerkami, gdzie się spodziewałem. Mimo to nie zabolalo nawet odrobine mniej.

— Do samochodu! — warknął.

Szedłem pierwszy. W samochodzie nie było nikogo. Otworzył drzwi pasażera i wsiadłem. Przyglądałem się, jak obchodzi wóz. Spluwę miał z powrotem w kaburze.

— Jest pan aresztowany. Za stawianie oporu władzy. Ma pan prawo...

— Proszę sobie oszczędzić wysiłku i robić tylko to, co pan musi. Doskonale pan wie, że nawet pana nie dotknąłem.

— Pan nie, ale pańscy kumple. Nieważne kto. Nie zauważyłem ich, ale pan... pan mi powie, kto to był. Gdzie ich znajdę. Jasne?

— Niczego nie widziałem. Byłem odwrócony twarzą do ściany.

— A więc chce pan to rozgrywać w ten sposób?

— W ogóle nie chcę tego rozgrywać. Pan czegoś ode mnie chciał. Stało się, czasami tak bywa. Bez względu na to, co pan myśli, niczego nie planowałem.

— Słyszałem o panu różne rzeczy — przerwał mi Morales. Przypalił sobie papierosa, mnie nie poczęstował. — Od mojego partnera. Twierdził, że jest pan w porządku. Że można panu ufać. Poszliśmy więc z panem na układ, a pan nas wydymał — i zostawił z opuszczonymi spodniami.

— Czy pracując w mundurze, zdarzyło się panu zdzielić kogoś w łeb pałką?

Nawet nie mruknął — dostałem odpowiedź.

— Co by się stało, gdyby facet miał słabą czaszkę? Gdyby umarł?

— To się nie zdarza.

— Chce pan powiedzieć, że jeszcze nigdy się nie zdarzyło. To pewna różnica. Ale mogłoby się zdarzyć. Od tego, że nie chciał pan zrobić nic złego, klient nie byłby ani na jotę mniej martwy.

— Chce pan powiedzieć, że to samo zdarzyło się panu z tym salonem masażu?

— Nie wiem, o czym pan mówi. Chcę jedynie powiedzieć, że czasem... coś jest dokładnie zaplanowane... a mimo to sprawa wymyka się z rąk. Wtedy należy ratować to, co się da. Starać się przeżyć.

— Dowiedzieliśmy się tego i owego. Po tym, jak przy Times Square wszystko wyleciało w powietrze. Ten, czyje kawałki zbieraliśmy po całym placu budowy... było wydane zlecenie zabicia go.

— Nie wiem...

— Jasne, nie wiesz, o czym mówię, płatny morderco. Nie myślałem, że pracuje pan po tej stronie ulicy.

— Bo nie pracuję.

— Mafia wydaje zlecenie na zabicie faceta. Człowiek ginie. Wiemy, że to pańska robota — i mamy uwierzyć, że chodziło o osobiste porachunki?

— Może pan myśleć, co pan zechce — zawsze tak robicie.

— Proszę dać nam szansę zmienić zdanie.

— Mowy nie ma. Traktuje mnie pan bez przerwy jak kogoś, kim nie jestem. Macał mi pan ciuchy i wie pan, że nie jestem żołnierzem. Nie jestem płatnym mordercą, poza tym nie jestem idiotą.

— Odkryliśmy pański związek z tym szmaciarzem, którego zdmuchnięto na placu zabaw.

— Tak brzmiało oskarżenie, za które zostałem aresztowany. Jakim więc sposobem chodzę po ulicy?

— Słuchaj, wyglądam jak sędziowska ciota? Sram na „fakty wystarczająco wskazujące na popełnienie przestępstwa”.

— Co chce mi pan przez to powiedzieć?

— Nigdy nie zostalibyśmy kumplami, Burkę, ale nie rób sobie ze mnie wroga.

— Amen.

— Daj mi coś.

Zapaliłem fajkę. Skorzystałem z własnych zapalek. Jego twarz powoli nabierała kolorów, ale ramię wciąż jeszcze zwisało bezużytecznie.

— Dam coś panu, Morales. Dwie rzeczy. Gratis. Po pierwsze: wasze źródło. Ten, który przyklepał mi zabójstwo na placu zabaw, i ten, który opowiedział wam o zleceniu zabicia jakiegoś faceta, którego znaleźliście przy Times Square, to ten sam człowiek. Ten sam człowiek z mafii. Po drugie: doskonale wiecie, że łże.

— To pan tak twierdzi.

— Zostaw sobie te gadki dla smarkaczy, glino. Gdybyście mu wierzyli, natychmiast byście mnie zapudłowali. Sam pan powiedział, że nie jesteśmy kumplami. Gdyby pan uważał, że to moja robota, gdyby pan naprawdę uważał, że wyrolowałem was z McGowanem, nie pieprzyłby pan, co będzie, jeśli mam przy sobie broń, tylko by mi ją pan własnoręcznie podrzucił.

Skrzywił usta w uśmiechu.

— Tak pan sądzi?

- Tak sędzę.
- Założmy, że ma pan rację... tylko tak założmy, dobrze? Co zyskuje ten, który pana zakapował?
- Skrzyżowałem ręce na piersi w ten sposób, że jeden palec wskazywał na Moralesa, drugi na moje drzwi.
- On to zrobił. Nie ja.
- Wiem, ale nie szukaliśmy go. Nie był podejrzany.
- Gdybyście trzymali trop, stałby się podejrzany. Niedługo zawieje tu porywisty wiatr.
- Córka Torenellogo?
- Wyglądam jak Włoch?
- Kiedy jeszcze zdawało mi się, że jest pan okay, wyglądał pan na Latynosa, ale teraz... teraz mi się wydaje, że bardziej przypomina pan Włocha...
- Nigdy nie miałem zamiaru pana urazić. Nic do pana nie mam. Chcę mieć tylko święty spokój. Na ulicy, w więzieniu, wszędzie. Święty spokój. Chcę, by mnie zostawiono w spokoju.
- Taka prywatność... kosztuje.
- Nie mogę zapłacić tym, czego nie mam, a nigdy nic nie pożyczam.
- Już jest pan coś winien.
- Jeśli tak... jeśli będę miał szansę, spłacę dług. Wyrównam rachunek. Proszę popytać. Zawsze spłacam długi.
- Myślę, że zrobił pan to już przynajmniej dwa razy. Jeśli się okaże, że zrobił pan to za pieniądze, dorwę pana. Obiecuję.
- Wyrzuciłem peta przez okno.
- A więc nie jestem aresztowany?
- Kiedy otwierałem drzwi i wysiadałem, nie odezwał się ani słowem.

Nie śledzono mnie. Gliniarze nie mają do tego dość ludzi, a Morales i tak pracował w Wydziale Ucieczek. Prawdopodobnie kręcił się przy ośrodku Lily i patrzył, czy gdzieś na rogu nie snuje się któryś z zajmujących się dziećmi alfonsów, których tak nienawidzi. Kiedy mnie zobaczył, nie mógł się powstrzymać.

Człowiek od telefonów czekał tam, gdzie obiecał. Minęliśmy się na schodach Sądu Federalnego od strony Foley Square. Krótki uścisk dłoni i każdy z nas miał to, po co przyszedł.

Siedziałem u Mamy i kłóciłem się z Maxem na temat numeru z Moralesem. Zadzwoił telefon.

- Młoda dziewczyna — powiedziała Mama siadając.
- Podniosłem słuchawkę.
- Co jest?
- To ja, Elwira. Powiedział pan, żebym dziś zadzwoniła. Obiecałam.
- Muszę z tobą porozmawiać. O twojej matce. O Trainie.
- Niech pan pyta.
- Nie przez telefon.
- Może mógłby pan tu przyjść. Zapytam, czy...
- Wybij to sobie z głowy. Mógłbym przyjść, ale chcę porozmawiać w spokoju. Powiedz, gdzie jesteś, to przyjadę.
- Nie wiem...
- Nie wiesz, gdzie jesteś, czy...
- Nie chcę stąd wychodzić.
- Elwiro, gdybym chciał cię stamtąd wyciągnąć, już by cię tam nie było. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać.
- Nie boję się pana.
- Nie chciałbym, żebyś się mnie bała. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

— A potem?

— A potem wrócisz, dokąd zechcesz. I nigdy więcej się nie spotkamy. Zgoda?

Nastąpiła długa przerwa. Zastanawiałem się, kto jeszcze słucha tego, co mówię, i daje jej znaki.

— Zgoda — powiedziała w końcu. — Gdzie i kiedy?

— Jutro rano. Na rogu Flatbush i Tillary. W Brooklynie, po tamtej stronie mostu Manhattańskiego. O dziesiątej.

— Ile to zajmie?

— Dwie godziny.

— Do zobaczenia — powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Następnego ranka anonimowa bryła plymoutha wlokła się w ogonie kawalkady samochodów tych, którzy dojeżdżają do pracy z przedmieść. Max siedział na tylnym siedzeniu, na głowie miał czarną wełnianą marynarską czapkę, na rękach grube rękawice. Ubrany był w szarą bluzę — w końcu na dworze nie było aż tak zimno.

Musiała iść z siedziby Traina. Zauważyłem ją dwie przecznice przed nami fabrycznie sprane dzinsy, drelichowa kurtka, koński ogon. Ot, gówniara na wagarach. Wsiadłem z samochodu, pomachałem jej. Ruszyła niezgrabnym truchtem.

Otworzyłem jej drzwi od strony pasażera i wskoczyła do środka. Max poruszył się za jej plecami jak spływająca po skale woda.

— Ojej! — wyrzuciła z siebie zaskoczona. Zdążyłem przez ten czas wrócić za kierownicę.

— Elwiro, to mój brat Max.

Zaryzykowała spojrzenie przez ramię, ze wzrokiem opuszczonym w dół wymamrotała:

— Cześć...

Uruchomiłem silnik, ruszyłem przez most.

— Dokąd jedziemy? — spytała.

— Odwiedzić przyjaciela.

— Dlaczego on tu jest?

— Podwożę go.

— Myślałam, że chcemy porozmawiać na osobności...

— Max nie słyszy. Jest głuchy.

— Naprawdę? — W jej głosie wyraźnie było słychać nieufność.

— Naprawdę.

Zjechaliśmy z mostu do Chinatown, przebijaliśmy się wąskimi uliczkami do ośrodka Lily. Elwira zaczęła grzebać w kieszeni, wyciągnęła z niej papierosa. Max zapalił zapałkę, podał jej ognia.

Głosikiem pensjonarki powiedziała: „Dziękuję”. Max lekko skłonił głowę.

— Czy to oznacza „proszę bardzo”? — spytała.

— Zgadłś.

— Czy można... z nim... rozmawiać?

— Ma na imię Max. Ja mogę z nim rozmawiać. Jeśli się trochę wysilisz, też będziesz mogła.

— Ojej! Jak?

— Pomyśl, co chcesz powiedzieć, i zagraj to. Jak w teatrze.

— Mogę spróbować?

— Dawaj.

Podwinęła nogi pod siebie, stuknęła Maxa palcem w przedramię. Pokazała na niego, potem na mnie. Uniosła barki, schowała głowę w ramiona, rozłożyła ręce ustawione wnętrzem dłoni do góry. Max zdjął rękawiczki, rzucił je na deskę rozdzielczą. Obserwując uważnie twarz Elwiry pokazał najpierw na mnie, potem na siebie. Poczekał, aż skinęła głową. Stuknął się palcem w pierś, wyciągnął rękę i stuknął mnie w pierś. Mocno. Zaciśnął dłoń w pięść. Pięść uderzyła w otwartą drugą dłoń, która owinęła się wokół pięści. Palce splotły się w jedność.

— On naprawdę jest pańskim bratem!

— Mówiłem ci przecież.

Elwira położyła dłonie na wymyślonej kierownicy, pokazała na mnie, potem na ulicę przed nami, spojrzała pytająco na Maxa. Max wzruszył ramionami, kiwnął głową w moją stronę, skinął potakująco.

- On nie wie, dokąd jedziemy?
- Jest mu to obojętne. Pojedzie tam, gdzie i ja.

Zatrzymaliśmy się za ośrodkiem. Max wysiadł. Wejdzie pierwszy, poprosi, żeby otworzyli nam wejście od tyłu.

Wziąłem fajkę, poczęstowałem Elwirę.

— W środku jest pewna kobieta, nazywa się Lily. Jest dobrą przyjaciółką. Moją i Maxa. Powinnaś z nią porozmawiać.

— O czym?

— To jej sprawa. Masz robić tylko to, co podobno robisz zawsze... mówić prawdę.

— Będzie mnie pytać o Traina?

— Nie tak, jak to robi Reba. — Brak zrozumienia w spojrzeniu Elwiry powiedział mi, że Train nie wszystkim swoim ludziom opowiada, jak działa jego żywy wykrywacz kłamstw. — Nie przejmuj się niczym — dodałem. — Lily jest dyplomowanym pracownikiem soq"alnym. Wiesz, co to jest?

— Jak świrodoktor?

— Coś w tym stylu. Na pewno jednak nikomu nie powie tego, co się jej opowiedziało.

Wszystko, co jej powiesz, jest poufne. Taka jest zasada.

— Ale...

— Posłuchaj, dziewczyno. Naprawdę ci się wydaje, że któryś z tych dzieciaków, które biegają po waszym „domu”, byłby w stanie powstrzymać Maxa? W rozmowie z Lily chodzi o ciebie. Wiem, że tego nie rozumiesz, wiem, że mi nie ufasz, ale nie musisz. Mamy umowę. Wyciągnąłem cię z interesu Traina, ale pozwolę ci tam wrócić. Train nie jest w stanie powstrzymać ani mnie, ani moich przyjaciół. Muszę jedynie dowiedzieć się paru rzeczy i w tym celu chcę, by Lily z tobą porozmawiała. Zrobisz to, a będziemy rozliczeni.

— A jeśli nie zechcę? — Nie był to protest, jedynie ciekawość.

— Wtedy zapytam Traina.

— Powiedział, że pan wróci, a on się nigdy nie myli.

— Zastanów się. Od twojej decyzji zależy, w jaki sposób wrócę. — Nie byłem pewien, czy nacisnąłem właściwy przycisk. Spróbowałem jeszcze jednego. — Jeśli chcesz ochronić Traina, porozmawiaj z Lily. Rozumiemy się?

— Moja matka...

— Twoja matka nie ma z tym nic wspólnego.

— Mówi, że jest pan jej. Że kiedyś byliście parą.

— A co mówi Train?

— Skąd pan...? Mówi, że nie jest pan niczym dzieckiem. Dokładnie tak się wyraził: „Ten człowiek nie jest niczym dzieckiem”.

— Wiesz, co chciał przez to powiedzieć?

— Możliwe.

Wyrzuciłem peta przez okno.

— Porozmawiam z nią — stwierdziła w końcu mała.

Tylne drzwi uchyliły się i weszliśmy do środka.

Zapoznałem Lily z Elwirą. Po raz w setny poczułem promieniujące od niej fale, obejmujące dziewczynkę i wyłączające mnie z rozmowy.

„Jest spokojna i skoncentrowana” — powiedziała kiedyś o niej Immaculata. — „Jak Max”.

Odeszły korytarzem.

Max był prawdopodobnie w sali gimnastycznej i walczył z dziećmi. To nie dla mnie. Miałem trochę wolnego czasu, znalazłem więc pusty pokój, usiadłem w nim, położyłem nogi na biurku i zamknąłem oczy. Musiałem przemyśleć kilka spraw.

Kiedy otworzyłem oczy, na biurku siedziała Immaculata, dłoń oparła o moja kostkę.

— Obudziłeś się?

— Tak.

— Burkę, nie mogę długo rozmawiać. Musisz pozwolić Maxowi sobie pomóc. To bardzo ważne.

— Pomóc przy czym?

— Przy tym, co robisz. Nieważne, co to będzie.

— Jasne, wielka z niego pomoc. Wiesz, co wczoraj nawyprawiał?

— Opowiadał mi.

— Powiedział, że o mało nie zrobił z głupiego aresztowania poważnego przestępstwa?

— Max jest twoim bratem. Cierpi. Mężczyźni nie wiedzą, jak sobie radzić z niektórymi sprawami. Z pewnymi darami natury. Nie może zapomnieć, co zrobiłeś, żeby uratować nasze dziecko. Ile cię to kosztowało. Musi mieć poczucie, że ci pomaga, inaczej straci poczucie własnej wartości.

— Mac, wiesz, co Max robi?

— Jestem jego żoną. Jest ojcem naszego dziecka. Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

Pamiętałem doskonale. Było to w czasie pewnej nocnej wycieczki metrem. Byłem ubrany jak włóczęga, miałem przy sobie towar. Kret siedział w drugim końcu wagonu z teczką pełną dynamitu. Cichy Max siedział naprzeciwko mnie, wyglądał jak zmęczony, wyniszczony starzec. Do wagonu wsiadło trzech młodocianych bandziorów. Popatrzyli na mnie, uznali, że nie będą lać pijaczka. Zaczęli rozróbę od Maxa. Poprosili go o dychę na kawę, zaczęli go popychać. Nic wielkiego, mieliśmy przed sobą jeszcze dwie, trzy stacje. Wszystko grało, póki nie wtrąciła się Immaculata. Jechała ubrana jak wietnamska barmanka, była w metrze tak samo nie na miejscu jak zegar w kasynie. Zaatakowała gówniarzy, kazała im zostawić staruszkę w spokoju. Jeden z nich wyciągnął kastet, zaczął chichotać z radości, że napatoczyła się kolejna ofiara. Max wyłączył ich z obiegu w tempie lejącego się strumienia rtęci — przez chwilę wagon wypełnił się migoczącymi cieniami i cichymi dźwiękami. Potem stary, zmęczony człowiek zrzucił z siebie brudny płaszcz przeciwdeszczowy i przemienił się w mongolskiego wojownika. Skłonił się głęboko przed tą, która chciała go uratować. Zaczął wykonywać gesty, które tłumaczyłem. Dziewczyna ujrzała w nim coś więcej niż siłę, on w niej coś więcej niż piękno. Od tego czasu są razem.

— Wszystko jedno, ile to będzie kosztować. — Głos Immaculaty był cichy, ale nieustępliwy.

— Zaczyna to do ciebie docierać? Chcę odzyskać mojego męża. Nasza córka go potrzebuje. Wiesz, kim on jest. Jeśli powie się prawdziwemu wojownikowi, że nie może naprawić swego błędu, ma obowiązek spróbować i zginąć przy tym.

Zapaliłem fajkę, grałem na czas. Spojrzenie Immaculaty wbijało się we mnie jak sztylet.

— Nie próbuj mnie oszukać. Wiem, że jesteś w stanie to zrobić. Teraz. Nawet Max uważa, że teraz umiesz kłamać każdemu i na każdy temat.

— Jak mogę...

— Spotkałeś się z pewnym człowiekiem. Twoim wrogiem. Max się go nie boi, tego uzbrojonego zabijaki.

— Mac, mówię prawdę. Uwierz mi albo nie, ale to prawda. Ten, o którym mówisz, nie jest moim wrogiem. Nie wiem, dlaczego tak uważam... nawet nie byłem tego pewien, zanim to powiedziałem, ale nie gram, by chronić Maxa.

— Musisz mu pozwolić sobie pomóc. — Mac była nieubłagana. W sieci nie było najmniejszej dziury.

— Jak mam to zrobić?

— Pozwól mu, by pomógł ci szukać tego, czego szukasz.

- Tego, co straciłem?
- Nie, tego, czego szukasz.

Ukloniła mi się, pocałowała delikatnie w policzek. Czuję zapach jej perfum jeszcze długo po tym, jak zniknęła.

Max wszedł do pokoju obwieszony dzieciakami jak kiść winogron. Nim zdążyłem powiedzieć słowo, obok niego przecisnęła się Lily. Ciągnęła za sobą Elwirę. Pchnęła mnie spojrzeniem mówiąc: „Nawet się nie ruszaj”. Rzuciła dziewczyna.

- Idź z Maxem. Muszę porozmawiać chwilę z Burke'em, nim cię odwiezie.

Elwira posłusznie wyciągnęła rękę. Jej dłoń zniknęła w dłoni Maxa. Poszli w kierunku sali gimnastycznej, za Maxem pobiegła horda rozbawionych, próbujących go ścigać dzieciaków.

Zapaliłem. Lily usiadła. Zaczęła mówić charakterystycznym dla niej, pełnym dystansu, zawodowym tonem, który przybiera, wówczas, gdy wściekłość z trudem pozwala jej zachować panowanie nad sobą.

- Zespół wstrząsu pourazowego. Chroniczny. Pierwotnym czynnikiem stresowym jest bez najmniejszej wątpliwości matka. Liczne przypadki wykorzystywania seksualnego, tak częste, że wywołały zaburzenia w tworzeniu się obrazu rzeczywistości. W zachowaniu wyraźne amoralne, prawie socjopatyczne cechy. Sztuczny afekt, badana ma znikomą zdolność odczuwania. Brak wrażliwości. Graniczne objawy psychozy. Odczuwa daleko posuniętą pustkę wewnętrzną. Traktuje matkę jak rywalkę. Badanie skalą kłamstwa MMPI nie wykazuje cech świadomego przekłamywania. Brak poczucia winy. Silny związek z niejakim Trainem. Na dodatek jest w drugim, może trzecim miesiącu ciąży.

Chciałem, by Lily spojrzała mi w oczy, odprężyła się.

- To znaczy, że...

- Nie mam czasu na zabawę, Burkę. Doskonale rozumie pan każde słowo, które powiedziałam. Zajmował się pan przez lata tymi sprawami. To, że nie miało to miejsca na uniwersytecie, wcale nie znaczy, że jest pan tylko tępym zabijaką.

Podniosłem ręce w obronnym geście.

- Dobrze, dobrze. Nie zamierzałem udawać głupiego. Miałem na myśli... jaka jest konkluzja? Czy to, że przebywa teraz w siedzibie sekty, jest dla niej lepsze od mieszkania z matką?

- Nie istnieje w tym wypadku pojęcie „lepiej”. Miejsce, w którym obecnie przebywa, jest jednym z tych, gdzie trafiają takie jak ona. Nikt cię nie chce, więc wychodzisz na ulicę. Tam zawsze ktoś cię zechce. Coś dla ciebie znajdzie. Udowodni, że cię lubi, dając pieniądze. Ktoś taki jak ona nie byłby w stanie odróżnić domu opieki od sekty.

- Czy jest obecnie wykorzystywana seksualnie?

- Ona tego tak nie traktuje. Pracuje na rzecz czegoś wspaniałego. Wyspy, którą chcą sobie kupić. Gdzie będą mogli spędzić resztę życia w spokoju... jako wielka, kochająca się rodzina...

- Yhm... tak, jak każdy alfons zamierza wysłać swą kobietę na emeryturę. Kiedyś. Kupić jej butik, nie? Każą jej obsługiwać klientów?

Oczy Lily były ciemne, sięgały dna duszy. Wokół źrenic migotały maleńkie, zarzące się punkciki. Trzymała coś w zanadru.

- Nie, ale niedawno była w Niemczech. Grała w filmach porno. Teraz jest jednak za duża.

- Ma piętnaście lat.

- Zgadza się. Jako prostytutka nie przyniesie więcej niż kilka setek na dzień, poza tym musiałyby pracować na zewnątrz, ryzykować. Train nie pozwala swoim ludziom ryzykować. Nie, nie każą jej obsługiwać klientów... jest wykorzystywana do hodowli.

- Co?!

- Do hodowli. Jak kobyła. Powiedziała mi, że została skojarzona z jednym z chłopców. Kiedy urodzi, Train sprzeda niemowlaka. Zna pan aktualną stawkę za zdrowe białe dziecko bez obciążeń dziedzicznych, pochodzących od wykształconych rodziców i tak dalej?

— Od pięćdziesięciu tysięcy w górę.

— Zgadza się.

— Ona nie chce tego dziecka?

— Nie chce żadnego dziecka. Oczekuje się od niej, by rodziła co roku. Przez kilka ładnych lat. Wtedy Train będzie ją kochał. Teraz zapewnia jej najlepszą możliwą opiekę. Specjalną dietę, gimnastykę, regularne wizyty u lekarza.

— Ci chłopcy... nie może ich wszystkich używać do hodowli.

— Podchodzi do tego tak zimno, aż można się przerazić. Mówi, że chłopcy są więcej wari od dziewcząt. Mogą więcej zarobić, nawet ci starsi. Ma na myśli tych, którzy mają po osiemnaście, dziewiętnaście lat... Oni też jeżdżą na tournee. Ten, z którym ją skojarzono, był parę lat w Amsterdamie, dopiero niedawno wrócił tu, do pracy.

— Sporo pani opowiedziała.

— Pan tego nie rozumie? Ona nie widzi w tym nic złego! Wie pan, co to wszystko oznacza. W głębi duszy ona nie jest dzieckiem już od dawna. Wszystko jest w porządku. Train ją uratował. Uratował ich wszystkich.

— Opowiedziała pani o Danielle?

— Tak. Powiedziała, że odprowadził pan Danielle do ojca. Proszę nie robić sobie z tego powodu wyrzutów.

— A więc sądzi pani, że to prawda?

— Oczywiście. Każde słowo.

W głowie zadudnił mi głos Wesleya: „Nie zapłacili mi”... Mnie też ktoś był coś winien.

— Czy ona się nie boi, że gdy Train odkryje, co powiedziała, może jej zrobić krzywdę?

— Nie. Ona niczego się nie boi. Uważa, że jest pan kryminalistą. Powiedziała, że Train jest pańskim znajomym. Train panuje nad sytuacją. Dwóch z tych chłopaków to jego ochroniarze. Elwira twierdzi, że jak jedna z dziewczyn dostała świra, gdzieś ją zabrali. Nie chciała o tym mówić, uważa, że koleżanka nie żyje. Poza tym utrzymuje, że jej matka też pana dobrze zna.

— A więc sądzi...

— Nie mam pojęcia, co dzieje się w jej chorym mózgu. Może uważać, że chce pan razem z jej matką szantażować Traina, że zamierza pan pracować dla Traina albo chce pan stworzyć własną organizację na modłę Traina... albo Bóg wie co. Dla niej świat jest skonstruowany bardzo prosto: duże ryby zjadają mniejsze. Jeśli duża ryba zje wystarczająco dużo małych, staje się wielką rybą. Powiedziała dosłownie: „Każdy jest używany. Po to, by nie być nadużywanym, należy być użytecznym”.

— Sama tego nie wymyśliła.

— Nie, ale recytuje to jak Biblię.

— Powiedziała pani, że jest silnie związana z Trainem... brzmi to jak spętana, nie jak związana.

— Tak nie jest. To rzeczywisty związek. Train jest dla niej czymś realnym. Uratował ją — proszę o tym nie zapominać. To bystra dziewczyna i wiedziała, że na ulicy długo by nie przeżyła. Narkotyki, klient z brzytwą, sadystyczny alfons... nie trzeba wiele, by zdmuchnąć świecę w środku huraganu.

Po głowie chodziły mi myśli o morderstwie. „Wybaw mnie”. Moja Blue Belle. Poprosiła tylko o to. Spowodowałem, że przestała uciekać, i posłałem ją tym pod ziemię. Tak, jak zabrałem Danielle alfonsowi.

Zgasilem peta czubkiem buta. Lily była tak skoncentrowana, że nawet nie zmarszczyła czoła.

— Co z nią będzie, jeśli Train zniknie?

Lily wzruszyła ramionami.

— Znajdzie następnego.

— Nie ma dla niej miejsca?

— Szpital psychiatryczny. Może więzienie. Ani jedno, ani drugie nie jest dobre.

— Co powinienem zrobić?

Dłonie Lily powędrowały ku biodrom, łagodny głos dźwięczał teraz twardo jak tytan.

— Przeprowadził ją pan z konkretnego powodu. Po to, by dowiedzieć się różnych rzeczy. Czy



dostał pan odpowiedzi na swoje pytania?

— Tak. Czy będzie pani do kogoś dzwonić? — Lily była w doskonałej komitywie z Wolfe, szefową Urzędu Specjalnego do Spraw Uciekinierów w prokuraturze. Wolfe należała do plemienia miejskich wojowniczek. W ciągu ostatnich lat poznałem kilka z nich.

Catherine, śliczną pracownicę socjalną, specjalizującą się w pomocy starszym ofiarom.

Storm, świeżo upieczoną kierowniczkę Wydziału Szoku Wynikłego z Gwałtu w miejskiej klinice.

Queenie, menedżera w banku, która w weekendy odkłada aktówkę z krokodylej skóry i szpanerskie ciuchy i przychodzi pomagać Lily za darmo.

Żadna z nich nie bierze więźniów, wszystkie walczą otwarcie. W granicach prawa. Tam gdzie dla takich jak ja nie świeci słońce. Jeden jedyny raz Wolfe zniżyła się do mojego poziomu. Na krótką chwilę. Zaraz jednak puściła moją dłoń i wróciła do swojego świata. Nigdy więcej o nic jej nie poproszę.

— A powinnam? — spytała Lily.

— Może się pani przez chwilę powstrzymać?

— Mam obowiązek meldować o tego typu sprawach. Prawo przewiduje, że muszę zgłaszać każdy przypadek wykorzystywania dzieci, o jakim się dowiem w związku z wykonywanym zawodem.

— A to właśnie nastąpiło.

— Przekażę to gorącą linią, ale nie znam ani jej nazwiska, ani adresu...

— Dobrze.

— Ale wkrótce się dowiem. Wtedy będę musiała zadzwonić do Wolfe.

— Dobrze.

— Kiedy się tego dowiem?

— Za dziesięć dni, góra dwa tygodnie.

Zapaliłem kolejną fajkę, czekałem, co odpowie. Tyle muszę targać na grzbiecie... tony martwego balastu. W środku wybuchł we mnie płomień złości. Lily może robić co należy, spać spokojnie.

Może trzymać się stałego kursu. Kusilo mnie, by zepchnąć ją z jej kursu.

— Lily, mogę panią o coś zapytać? Jako klient?

— Jasne. — Była nieobecna duchem, najwyraźniej zastanawiała się, czy poczekać z telefonem.

— Mam pewien problem, dotyczący stanu mego ducha.

— Jaki? — Spytała wyraźnie zniecierpliwiona.

— Mam ochotę kogoś zabić.

Załapała od razu, o co chodzi. Nawet nie drgnęła jej powieka.

— Dziesięć dni, Burkę — odparła. — Dla Elwiry to i tak za późno, ale dla innych nie... nie dla wszystkich.

Dla mojej miłości było już jednak o wiele za późno.

W drodze powrotnej Elwira siedziała spokojnie między Maxem i mną.— Pańska znajoma... Lily... była bardzo miła.

— Ale wiesz o tym, że to wszystko była gra? Uśmiechnęła się dość obojętnie —jak dziewczynka, która dużo za wcześnie nauczyła się dawać dupy. Zatrzymałem plymoutha kawałek przed domem Traina. Max wysiadł i przytrzymał przed Elwirą drzwi jak szofer.

— Powiedz Trainowi, że niedługo przyjdę do niego z wizytą. Nie po to, żeby cię zabrać. Po to, by ostatni raz porozmawiać. Chciałbym, byśmy się rozstali w przyjaźni. Powiedz mu to, będzie wiedział, o co mi chodzi.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Czy jak widział się pan z moją matką ostatni raz, pocałowała pana na pożegnanie?

— Nie.

Wysiadła bez słowa. Odjechałem, nie patrząc za nią.

Kiedy przejeżdżałem obok restauracji Mamy, Max nawet nie drgnął. Nie mrugnął okiem, kiedy przejechałem obok jego magazynu. Znałem ten jego wyraz twarzy. Nieważne. Co. Zamierzasz.

Wjechałem tyłem w ostatnie drzwi tego, co było kiedyś częścią hali fabrycznej. Właściciel zaczął pewnego razu wynajmować pomieszczenia fabryczne na mieszkania, zostawił jednak jedno na garaż dla siebie. Kiedy pewnego dnia mu powiedziałem, że nie musi się obawiać, iż zdradzę nową tożsamość jego syna, bardzo obniżył mi czynsz. To znaczy zacząłem mieszkać za darmo. Na okrasę dodał garaż.

Weszliśmy do mojego biura tylnymi schodami. Kiedy otwierałem drzwi, Max stanął kilka kroków za mną. Dałem Pansy znak i suka cierpliwie czekała, aż dostanie to, co jej przyniosłem. Bestia obserwowała Maxa morderczymi ślepiami, z gardła wydobywał się cichy warkot. Przekazywała mu to samo, co przekazał Wesleyowi.

„W każdej chwili. Kiedy tylko zechcesz”.

Max i Pansy znają się od lat, ale Max nigdy nie pogłaskał mojej suki. Mało ją to obchodzi. Ukłonił się jej z obojętnym wyrazem twarzy. Suka nadal go obserwowała.

Wyjąłem z lodówki trochę pasztetowej, powiedziałem magiczne słowo, przyglądałem się, jak kiełbasa znika. Pansy, znudzona, położyła się w rogu przy kanapie. Podszedłem do biurka, uprzątnąłem kawałek blatu, by mieć kilka centymetrów płaskiej powierzchni. Pokazałem Maxowi, by usiadł w fotelu, w którym sadzam klientów.

Zrobił ruch jak przy tasowaniu kart. Pokręciłem głową. Dziś w nocy nie było czasu na kontynuację naszej nie kończącej się partii remika.

Gdzie jest prawda? Czy prawdą była moja obietnica dana Immaculacie? Czy Max zna prawdę? Dlaczego mnie to już nie boli... tak, jak powinno? Jak do tego doszło?

Jak to wyjaśnić? Zapaliłem papierosa, położyłem go na brzegu popielniczki, splotłem dłonie na karku, zacząłem się wpatrywać w splekany tynk na suficie. Max wyciągnął rękę, chwycił fajkę, wetknął ją sobie w usta. Z płaskiego nosa wyleciały dwie szerokie strugi dymu.

Pokazałem palcem na siebie. Wsunąłem dłoń pod blat, spróbowałem go podnieść. Wysilałem się, ale bez efektu. Był dla mnie zbyt ciężki. Za duży ciężar.

Max wsadził pod blat dwa palce. Biurko uniosło się nad wykładzinę, jakby umiało latać.

Pokręciłem głową. Tego ciężaru nie można ode mnie przejąć.

Max rozcapierzył palce. „Co”?

Obrysowałem w powietrzu kształt klepsydry. Wyprężyłem prawy palec wskazujący, wbiłem go w zrobioną z lewej dłoni dziurkę. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

Skinął głową, patrzył dalej.

Pokazałem na swą pierś. Na serce. Usztyniłem palec, wetknąłem go w zagłębienie w dłoni. Palec oklapł. Nie chciał wejść do środka. Znow pokazałem na siebie.

Max wskazał na mnie palcem. Uśmiechnął się. „Żartujesz, prawda”?

Nie.

Teraz Max narysował w powietrzu klepsydrę. Zrobił gest „Nic nie warta”. Narysował w powietrzu jeszcze jedną klepsydrę. Otworzył dłonie. „Spróbuj z następną”.

Narysowałem następną kobietę. Potem jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Znow wskazałem na siebie, wyprostowałem palec, zgiąłem go. To nie wina kobiet, tylko moja. Tylko moja.

Max pokazał na swoje krocze, pokręcił głową. Stuknął się palcem w głowę. „Tu leży pies pogrzebany”.

Skinąłem głową. „I co z tego”?

Wskazał na wiszący na ścianie stary kalendarz. „Od kiedy”?

Wykonał gest strzelania z pistoletu. Popatrzyłem na ziemię. Zrobiłem pożegnalny pocałunek. „Od śmierci Belle”.

Zrobił znak „Nie ma sprawy”. Stuknął w mój zegarek. „Wszystko wróci z czasem do normy”.

Nie wróci.

Jego twarz zmieniła się w martwą maskę. Skierował całą uwagę do wnętrza. Szukał. Palilem, obserwowałem sukę, wodziłem smutnym wzrokiem po nędznej klitce, w której mieszkam. Kiedy była tu ostatnim razem Belle, chałupa aż błyszczała.

Max wstał, bez słowa poszedł do drugiego pokoju. Pansy szła za nim krok w krok. Jeśli weszło się tam, można było bez problemu chodzić po pokoju. Nie można było tylko wyjść — póki nie powiedziałem Pansy, że ma wypuścić gościa. W tamtym pokoju nie ma niczego poza jednopalnikową kuchenką i lodówką. Toaletą, zlewem i kabiną prysznicową. Czekałem. Max wyszedł z dwoma paczuszkami cukru. Położył je obok siebie na biurku. Stuknął palcem w zamknięte oko. „Przyglądaj się”.

Pokazał na mnie. Rozerwał paczuszkę, wysypał cukier na dłoń. Rzucił go w powietrze. Wytarł dłonie. Wszystko zniknęło. Popatrzył na mnie.

Skinąłem głową. „Tak, jest po wszystkim”.

Pokręcił głową. „Nie”. Wziął drugą paczuszkę i wsadził ją do szuflady. Pokazał na blat. „Niczego nie ma? Dalej jest po wszystkim”?

Otworzyłem szufladę, wyjąłem drugą paczuszkę.

Mój przyjaciel wojownik skinął głową. Wyjął mi cukier z dłoni. Wsadził mi go do kieszeni. Oklepał mnie jak gliniarz przy rewizji. Wyciągnął paczuszkę, podniósł ją do światła. Zrobił dłonią gest „Zrozumiałeś”?

Nie.

Wziął paczuszkę z cukrem, podszedł do kanapy. Wsadził ją pod jedną z poduch. Zaczął się rozglądać po pokoju, najwyraźniej zdezorientowany. „Gdzie cukier”?

Wyjąłem paczuszkę z ukrycia, wyciągnąłem ją w górę.

Przyglądałem się memu bratu, patrzyłem mu głęboko w oczy. Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

W tym momencie zrozumiałem. Jest ogromna różnica między tym, co się straciło, a tym, czego ci brak. Nie zgubiłem niczego — nie wiedziałem jedynie, gdzie to schowałem.

Skloniłem przed Maxem głowę.

Wyjął mi paczuszkę z dłoni. Wskazał na mój fotel. Usiadłem. Max zaczął czegoś gorączkowo szukać — otwierał szuflady, patrzył pod sterty papierów, obstukiwał kostkami palców ściany, szukał skrytki. Pokręcił głową. „Nie. Tak się nie da”. Usiadł, wygodnie się rozparł, położył stopy na biurku, zamknął oczy, splótł dłonie na brzuchu. Pokazał na mnie. Zacząłem go naśladować. Miło by było tak poleżeć. Bezpiecznie i spokojnie. Zastanawiałem się, czy któregoś dnia wrócą do mnie ukłucia strachu. Kiedy byłem młody i siedziałem, nienawidziłem ich. Chciałem z całych sił, by zniknęły. Nigdy mi się to nie udało. Było to wtedy, kiedy chciałem być kimś, kim nie mogłem być. Candy zawsze dobrze wiedziała, że nim nie byłem.

Coś dotknęło mojej twarzy. Otworzyłem oczy. Paczuszka z cukrem leżała mi na piersi. Czekala.

Nie muszę nic robić.

To przyjdzie samo.

Zacisnąłem pięść i przysunąłem ją sobie do twarzy. „Tak!”

Max położył swoją pięść na mojej.

Iskrzące się światełko, które wskaże drogę.

dwiozłem M axa, wróciłem do biura i wypuściłem Pansy na dach. Włączyłem radio. W Ozone Park w Queensie wysadzono w powietrze samochód. Zginął żołnierz mafii i boss średniego szczebla. Zrobiłem sobie grzanekę, nalałem szklankę ginger — ale i pomyślałem, że jak to wszystko się skończy, warto by może postawić na jakiegoś konia.

Wróciła Pansy. Przez jakieś pół godziny ćwiczyłem z nią komendy, by nie wypadła z rytmu. Pistolet też trzeba regularnie oliwić. Potem poszedłem spać.

Kiedy obudziłem się około dziesiątej w nocy, radio ciągle grało. Mówiono o jeszcze jednej bombie, tym razem w Bushwick w Brooklynie. Przez pewien czas chłopcy z mafii będą sporo płacić, żeby ktoś zapuszczał za nich silniki.

Wyszedłem na ulicę. Zadzwoiłem do Stregi. Odebrała natychmiast — jakby wiedziała, kiedy zadzwonię.

— To ja. Dowiedziałaś się?

— Chyba tak. Jutro w nocy będę pewna.

Odwiesiłem słuchawkę. Zadzwoiłem do Mamy. Morehouse, ten leń, nie dał znaku życia.

Zadzwońm do Kreta. Ktoś podniósł słuchawkę. Kret nigdy nie odzywa się pierwszy.

— Potrzebuję samochodu — powiedziałem. — Masz coś?

— Tak. — Głos Terry'ego. Połączenie zostało przerwane.

Terry wpuścił mnie na złomowisko. Przesunąłem się na siedzenie pasażera i przejął kierownicę, wjechał plymouthem w jakieś tylko jemu znane miejsce, gdzie przez jakiś czas przechowują mój samochód.

— Dalej się kłóć? — spytałem małolata.

— Kret uważa, że mama powinna sama zdecydować.

— Tak jej powiedział?! —

— Nie, ale ona wie, że tak myśli.

Kret pracował w jednym z wielu rozrzuconych na terenie złomowiska kontenerów. Nie mają okien, ale tam, gdzie pracował, stół był oświetlony jak w sali operacyjnej. Na podłodze stał rozłożony na czynniki pierwsze zajeżdżony ford.

— Co robisz? — spytałem.

— Pracuję. — Ideał uprzejmości.

Dobrze pamiętałem radę, jaką dał mi Pror, kiedy byłem jeszcze gówniarzem i uczyłem się odsiadki. Obserwuj. Obserwuj i ucz się. Zwracaj na wszystko uwagę albo będziesz płacić. Usiadłem na starym silniku z boku i zapaliłem.

Terry i Kret pracowali jak doskonale dopasowane do siebie części maszyny. Bez jednego zbędnego ruchu, szybko i elegancko. Chwycili z obu stron kanapę forda, wstawili ją na miejsce. Rozległo się ostre trzaśnięcie. Chłopak zaczął naciskać jeszcze mocniej, pchnął ramieniem. Znow coś trzasnęło. Pod samochodem, a dokładniej mówiąc w miejscu, gdzie kiedyś w samochodach montowano próg, biegło coś, co przypominało cienki, długi amortyzator. Kret wstawiał między przednie i tylne siedzenie krótki kawałek stalowej szyny. Zaczął grzebać w bagażniku. Rozległ się dźwięk, jakby coś odczepił. Podeszedłem, zerknąłem mu przez ramię. Do oparcia przedniego siedzenia była przymocowana gruba stalowa płyta, poznaczona od brzegu do brzegu grubymi zygzakowatymi spawami. Fotel został przyspawany do podłogi. Granitowa ściana.

Kret machnął na Terry'ego. Chwycili tylne siedzenie i zaczęli przesuwac nim po prowadnicach. Cała tylna kanapa dała się przysunąć do przednich foteli. Terry kapnął na prowadnice smar silikonowy.

— Sprawdźmy — rzucił Kret.

Terry pokazał ręką na stertę poukładanych pod ścianą zielonych plastikowych worków na śmiecie.

— Pomóż, Burkę.

Podniosłem jeden z worków. Był ciężki, ważył jakieś dwadzieścia pięć kilo.

— Ile potrzebujecie? — spytałem.

— Sześć? — rzucił małolat i Kret, nie podnosząc oczu, skinął głową.

Wziąłem do każdej ręki po worku, zaniósłem je do samochodu. Terry objął rękami kolejny worek. Kret przyglądał się nam. Jeszcze jedna tura i będziemy mieć, co trzeba.

— Co teraz? — spytałem.

Kret wskazał na tylne siedzenie.

— Cztery tu, dwa z przodu.

Zapakowałem worki. Terry męczył się, ale w końcu poustawiał worki jeden na drugim. Dwie kupki po dwa worki z tyłu, jedna z przodu, za kierownicą. Kierowca i dwóch pasażerów.

Kret wziął do ręki wychodzący z deski rozdzielczej drut i wyciągnął go przez okno. Odszedł od samochodu prawie pod ścianę, napiął drut i owinał go wokół jakiegoś przyrządu na stole.

— Cofnijcie się — nakazał.

Tylne siedzenie wyskoczyło do przodu jak wystrzelona z wyrzutni rakietą i uderzyło z impetem w stalową płytę. Samochód gwałtownie się zakołysał. Tylna kanapa odbiła się od przedniej, zatrzymała drżąc w naoliwionych szynach. Obejrzeliśmy efekt. Cztery plastikowe worki z tylnego siedzenia były rozmazane na stalowej płycie jak farba o ścianę. Pachniało śmiercią — starością i zgnilizną. Górny worek na przednim siedzeniu uderzył o kierownicę i pękł. W środku była biała,

miejscami zakrwawiona, przypominająca łój masa.

— Działa — stwierdził Kret. — Musimy tylko mocniej dokręcić przednie siedzenie.

Wyszedłem na dwór, musiałem uciec od rozchodzącego się w środku zapachu. Czekałem, aż dołączą do mnie Kret i Terry. Pierwszy wyszedł małolat.

— Co to była za masa? — spytałem.

— Tłuszcz, który odrzynają na targu mięsnym od ćwiartowanej wołowiny. Wyrzucają go w wielkich pojemnikach. Kret twierdzi, że to dość podobne do ludzkiego ciała, tyle że bez kości.

Michelle byłaby zachwycona. Z kontenera wytoczył się Kret.

Spojrzałem przez ramię na samochód.

— Jak to działa?

— Dwie pompy hydrauliczne. Sprężone powietrze. Po naciśnięciu guzika tylna kanapa wyskakuje z trzymających ją uchwytów i przesuwa się do przodu. Bardzo szybko. Uderza w płytę na tyle przedniego fotela.

— Więc jeśli ktoś siedziałby z tyłu...?

— Zostałby zmiażdżony. Nikt z tego nie wyjdzie cało.

— A kierowca?

— Nie ma problemu, jeśli zapnie pas.

Zaciągnąłem się głęboko, myślałem o tym, co powiedzieli mi członkowie mojej rodziny. Że zachowuję się, jakbym nie był sobą. Zbyt wiele myślę o bezpieczeństwie.

— Krecie, mogę pożyczyć ten samochód?

— Trzeba go doprowadzić do porządku. Potem musimy napiąć urządzenie zwalniające, umocować przycisk na desce rozdzielczej, założyć na przednie siedzenia pokrowce. Masa roboty. To był jedynie eksperyment.

— Ale mógłbyś mi go pożyczyć?

— Tak... — zawahaj się. — Ten samochód to zabójczy sprzęt. Na faszystów.

— Krecie, wiesz, że Wesley wrócił...

— Wiem.

— No i? Mógłbym...?

Kret wyprostował swe krępe ciało i podniósł na mnie wzrok.

— Burkę, Wesley nie jest faszystą.

— Krecie...

— Tego, co robi, nie robi dla przyjemności jak psychopaci.

— Chcesz powiedzieć, że jest... jak my?

— Bardziej jak my niż jak oni — skończył i odszedł.

Małolat podreptał za nim.

Zostawiłem plymoutha na złomowisku. W zamian wzięłem granatowego buicka z legalnymi tablicami rejestracyjnymi.

Nim wstawiłem samochód do garażu, była czwarta rano.

Wypuściłem Pansy na dach. Potem poszedłem spać.

Następnego dnia byłem w restauracji z samego rana. Mama przyniosła mi »Daily News«. Wielki tytuł na pierwszej stronie krzyczał: SNAJPER ZABIJA NA ST ATEN ISLAND. Minionej nocy we własnym domu w Todt -Hill został zastrzelony zajmujący niezbyt wysoką pozycję w hierarchii mafioso. W czasie oglądania z żoną telewizji. Usłyszała jedynie brzęk pękającego szkła. W głowie zabitego znajdowała się jedna rana postrzałowa, dokładnie u nasady włosów na karku. Policja uważa, że snajper musiał wejść na teren posiadłości, położyć się na ziemi i strzelić pod ostrym kątem w górę. Opinie co do osoby zabójcy były niejednoznaczne, spekulowano, co to wszystko ma znaczyć.

Morehouse trafił w swym wstępniaku w samo sedno. Stwierdził, że wszelkie statystyki i wykresy policyjne są bezwartościowe, kiedy pojawia się nowa siła. Zakończył artykuł miłym akcentem: „Kiedy wybucha gorączka pożerania, nie ma większego znaczenia, w którym miejscu łańcucha

pokarmowego się jest".

Dziennikarz wreszcie zadzwonił. Mama odebrała telefon, ja oddzwoniłem.

— Ma pan?

— Jasne.

— Spotkajmy się...

— Kochany... nie może pan zachować się jak człowiek? Wie pan, gdzie mieszkam, proszę do mnie wpaść.

— Nie dziś.

— Jak pan chce. Proszę powiedzieć kiedy. Tylko szybko — mam robotę.

— Jutro rano. O jedenastej. Wie pan, gdzie chłopcy majstrują przy samochodach pod autostradą Roosevelta? Takie miejsce, jak przy Trzydziestej Trzeciej?

— Jasne.

— Tam będę.

Wydał z siebie odgłos wyrażający obrzydzenie i odłożył słuchawkę.

Noc. Czas Stregi. Czy istnieją dobre czarownice? W porównaniu z Candy. Strega była czysta jak dziewiczy śnieg. Śnieg, który wozi się przez granicę w hermetycznych dziesięciokilogramowych paczkach. Czysty jak lód.

Pojechałem do Queensu. Z budki telefonicznej zadzwoniłem do niej.

— Czekam na ciebie — odezwała się.

Puste miejsce w jej garażu było jak pozostawiony w łóżku odcisk ciała. Buick doskonale się na nim zmieścił.

Weszła do garażu, kiedy zamykałem drzwi. Miała na sobie stalowoszarą, dokładnie opinającą ciało sukienkę, kończącą się w połowie uda. Pasujące do kompletu buty na wysokim obcasie. Skromny sznur pereł. Włosy miała zmierzwione, twarz bez makijażu. Jeszcze nie skończyła szykować się do wyjścia. Wzięła mnie za rękę, pociągnęła za sobą na górę.

— Zdradźmy sobie kilka tajemnic — szepnęła.

Pokój był ciemny, rozjaśniony jedynie cienkimi promieniami umocowanych do listwy na suficie halogenów. Dym z mojego papierosa wił się w górę, ku światłom.

Zdjęła mi marynarkę, rzuciła ją na kanapę. Usiadła obok.

— Nie nosisz broni?

— Julio o to zadbał. Jestem na wolności za kaucją. Nie mogę sobie pozwolić na błąd.

— To nieistotne. Nie potrzebujesz broni — tu jesteś bezpieczny.

— Przy tobie żaden mężczyzna nie jest bezpieczny.

Uśmiechnęła się swym uśmiechem wiedzy — wypływa jej zawsze na usta w zwolnionym tempie.

— Jesteś mój. Nigdy nie krzywdzę tego, co moje. Pamiętasz Scotty'ego? Pamiętasz, dlaczego byłeś mi potrzebny? Nikomu nie pozwolę krzywdzić tego, co moje. Ty też byś nikomu nie pozwolił mnie skrzywdzić. Znam cię.

Jasne, każdy mnie zna.

— Zawarliśmy umowę — stwierdziłem. — Ja wywiązałem się ze swoich zobowiązań, ty swoich. Teraz chodzi o coś innego. O inną umowę.

— Wiem. Znalazłam go. Kompleks na Sands Point. Siedzi na wyspie. To warownia — wszędzie żołnierze, psy. Elektronika. Nie wychodzi z piwnicy. Julio twierdzi, że nawet jeśli rzuciliby się tam bombę, Don przeżyje.

— Świetnie.

— Nie może nawet zadzwonić. Tak się boi. Powiedział Juliowi, że ten człowiek... Wesley?... to diabeł. Szatan we własnej osobie. Powoli wariuje w tej piwnicy. Nie chce nawet oglądać telewizji, bo twierdzi, że on jest w stanie odnaleźć go przez ekran. Julio uważa, że to śmieszne — Don zapłaciłby milion dolarów za głowę Wesleya, ale nie ma pojęcia, jak on wygląda.

— Julio widział się z Donem?

— Oczywiście. Pojechał do niego. Julio ma swoje plany — zamierza zabić Wesleya. Zrobić to, czego nie może dokonać Don. Zostać szefem. Moim szefem nie będzie już nigdy.

— A więc niezależnie od tego, co się stanie, Julio będzie górą?

— Tak mu się przynajmniej wydaje. Wstrętny, zły staruch. Kiedy myśli o tym, jak Don siedzi skulony w kącie piwnicy, przerażony ciemnością, czuje się mocny, kiedy jednak zaczyna myśleć o mnie, jego moc znika. Dlatego musi nastąpić jego koniec. Wydaje mu się, że to na mnie nadszedł czas. Czas, by się ode mnie wyzwolić, ale to ja wyzwolę się od niego. Czekałam wystarczająco długo.

— Kiedyś będzie musiał wyjść z piwnicy. — Pomyślałam o Trainie, bezpiecznie siedzącym w swoim domu. Razem z żywym wykrywaczem kłamstwa i goryłami, usuwającymi, kiedy trzeba, ciała dziewczynek.

Strega przytuliła się do mnie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem czarnej orchidei, teraz jednak zrozumiałem, jak musi pachnieć. Dłoń Stregi powędrowała na moje udo.

— Zdradzę ci tajemnicę... ale w fotelu...

— Jina...

— Proszę...

Dziwne słowo w ustach wiedźmy. Usiadłem w wielkim fotelu. Wpakowała mi się na kolana, wargami dotknęła mojej szyi. Słyszałem jej słowa, jakby mówiła prosto do mego mózgu.

— Don nie może wiecznie siedzieć w piwnicy, bo straci wszystko, co posiada. Wieść rozeszłaby się po mieście i wiesz, co by wtedy nastąpiło. Kiedy się popuści smycz, zły pies gryzie. Dlatego w każdy poniedziałek w nocy spotyka się ze swym zastępcą. Na moście przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy,

— Jak to organizują?

— Chłopcy zastępcy parkują po stronie Manhattanu. Chłopcy Dona od strony Queensu. Potem przechodzą — z przodu żołnierze, z tyłu żołnierze. Załatwiają, co mają do załatwienia i wracają do samochodów.

— Co poniedziałek?

— O pierwszej w nocy.

Odwróciła się bokiem tak, że jej udo leżało na moim kroczu.

— Jestem grzeczną panienką — szepnęła swym głosem dziewczynki. Sięgnęła mi między nogi. Pudło. — Wypuść bestię. Wiem, jak się z nią obchodzić.

— Ciii — syknąłem w ciemności. Pogląskałem ją tuż nad pośladkami, po plecach. — To nieważne. Nie ma żadnej bestii. Naprawdę jesteś grzeczną dziewczynką, Jina.

Zabrała rękę z mojego krocza, delikatnie pociągnęła za guzik koszuli.

— Jestem śpiąca... — powiedziała.

Kiedy zmieniałem nieco pozycję, podciągnęła się jej sukienka. Pończochy błyszcząły w słabym świetle. Objąłem dziewczynę ramieniem, zacząłem ją łagodnie kołysać.

— Wszystko w porządku, mała...

Włożyła sobie do ust mój kciuk. Tym razem jednak ani nie ugryzła, ani nie zaczęła ssać. Jedyne trzymała go w ustach i dotykała łagodnie językiem. Wydawała przy tym z siebie ciche, gardłowe pomruki.

Trzymałem ją bardzo długo. Spała.

Obudź się. — Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem. W dalszym ciągu siedziała mi na kolanach, oczy miała opuchnięte od snu, włosy zmierzwiłone.

— Nie śpię.

— Zaraz będzie widno. Czas, byś sobie poszedł.

— Yhm.

Wstała, obciągnęła sukienkę. Poprawiła fryzurę. Z jej oczu zniknęły resztki snu. Schyliła się ku mnie, prawie dotknęła nosem mojej twarzy.

— Julio też ma odejść — syknęła nienawistnie.

Skinąłem głową.

Przyszedłem na spotkanie z Morehou-yJ se'em godzinę przed czasem. Pansy kręciła przed samochodem nieduże kółeczka, ja udawałem, że robię coś pod maską. Nikt nie podchodził na tyle blisko, by zauważyć co.

Morehouse zjawił się jak zwykle w swym zdezelowanym datsunie — miał piętnaście minut spóźnienia.

— Rozglądałem się za pańskim zwykłym samochodem, człowieku. Kręcę się tu już pół godziny. Już chciałem... cholera jasna, co to?!

— Pansy! — warknąłem dając znak. Suka natychmiast padła na ziemię, patrząc na reportera jak żona na alkoholika, który właśnie zamierza znowu się napić.

Morehouse wyduł wargi.

— To był kiedyś pies? Zanim połknął samochód?

— Myślałem, że wszyscy ludzie z Karaibów lubią psy.

— Nieprawda. Wszyscy ludzie z Karaibów są psami. W każdym razie... mam to, czego pan chciał.

— Mam nadzieję, że nie bajkę o starcu, który zakopał się w warowni na Sands Point.

Morehouse był zbyt szczwany, by się zdradzić, ale jego źrenice zwężyły się na wystarczająco długo, by mi powiedzieć, że trafiłem w dziesiątkę.

— No cóż, tak właśnie mówi się na mieście.

— Jasne. A Donny Manes sam się zasztyletował.

— Człowieku, taka była plotka. Jest. Z samej góry.

— Od oszustów z urzędu.

— Tego nie powiedziałem.

— Świetnie, mimo wszystko dzięki.

— To tyle?

— A co ma być jeszcze?

— Nasza umowa. Wygłupia się pan? Nie jestem wprowadzony, a jeszcze mogę być pierwszy. Na ulicach Włosi padają jak muchy — miał pan rację, coś się dzieje i chcę napisać o tym pierwszy.

— Dowiem się ja, dowie się i pan, zgoda? Być może będę miał coś jeszcze. Interesuje pana sekta handlująca dziećmi?

— Gang adopcyjny?

— Nie. Ferma hodowlana. Wykorzystują dziewczyny na tyle duże, by mieć miesięczkę.

— Dobrze pan wie, że mnie to interesuje.

— Chce mi pan pomóc?

— Jak? — Nieufność miał wypisaną na twarzy wielkimi literami.

— Zamianą samochodów.

— Po co panu ten grat? — spytał, machając ręką w stronę należącej do niego kupy złomu.

Pokazałem na tablicę rejestracyjną. NJ-P — „Nowy Jork — Prasa”. W tym mieście wiele grup zawodowych ma swoje tablice rejestracyjne: lekarze, dentyści, rehabilitanci. Jedynie adwokaci nie — dla nich mogłoby się to źle skończyć.

— Z pańskimi tablicami można wjechać wszędzie. Poza tym nawet Włosi nie mordują dziennikarzy.

— Co to ma wspólnego z handlem noworodkami?

— Wszystko.

Sięgnął do kieszeni. Rzucił mi kluczyki.

— Dowód rejestracyjny jest w schowku.

— Mój też.

Morehouse jest urodzonym reporterem. Cały czas zezując na Pansy podszedł do buicka, otworzył drzwi, wyjął dokumenty ze schowka.

— Kto to jest Juan Rodríguez?

— Quién quiere saber?

Roześmiał się.

Pstryknąłem palcami, otworzyłem drzwi wraku Morehouse'a. Pansy uwalila się na tylnym



siedzeniu.

— Zadzwoń — powiedziałem.

Podszedł do mnie blisko i powiedział ściszym głosem:

— Burkę, istnieje pewna rzecz, którą mówi się o ludziach z Karaibów, która jest prawdą.

Kochamy dzieci.

aparkowałem samochód Morehou-se'a za restauracją Mamy, wszedłem do środka.

Zaprowadziłem Pansy do

piwnicy. Znalazłem na ulicy budkę telefoniczną, zadzwoniłem szyfrem do Wesleya.

Byłem przy dolewce zupy, kiedy zadzwonił telefon Mamy.

— Co jest?

— Czas się spotkać.

— Masz?

— Yhm.

— Dziś w nocy. Tam gdzie wtedy.

— Dobrze.

— Przeprowadź Chińczyka.

Kiedy Max przyszedł, przebijałem się właśnie przez zapiekany ryż z wołowiną po mongolsku w sosie imbirowym. Powiedziałem, że mamy w nocy spotkanie. Miał na określenie Wesleya swój znak: z soli usypał na stole krzyż.

Mama dała mi dla Pansy olbrzymi pojemnik z mięsem i warzywami.

Max pokazał mi program wyścigów. Pokręciłem głową. Jeszcze nie. Nie przeszkadzało mi jednak, kiedy wyjął talię kart. Graliśmy w remika, aż się ściemniło. Przyszła Immaculata z Flower. Max wziął od niej dziecko i dumny jak paw poszedł do kuchni, by pokazać zebrany tam udającym kucharzy bandytom swe trofeum.

— Cześć, Mac.

Schyliła się w ukłonie. Pocałowała mnie.

— Max jest jak nowo narodzony, Burkę. Nie wiem, co... Podniosłem dłoń w obronnym geście.

— Jeszcze nie jest po wszystkim.

— To nieważne. — Skłoniła się. Jak przed losem. Zabrałem Pansy z powrotem do biura.

Wziąłem prysznic.

Przebrałem się. Zapaliłem fajkę i zacząłem się wpatrywać w ciemność za oknami.

Kiedy zjechałem z ulicy w mrok, Max zapukał palcem w przednią szybę.

Spojrzałem w kierunku tego, na co zwrócił mi uwagę — nieco z boku jarzył się maleńki pomarańczowy punkt. Kiedy spojrzałem, zgasł. Łagodnie zahamowałem. Punkt znów się rozjarzył. Dobrze. Zostawiliśmy samochód na poboczu, ruszyliśmy w kierunku światła. Max szedł pierwszy.

W gęstej płataninie przeseł wiatr wydawał odgłosy przypominające polowanie z nagonką. Światło więcej się zapalało, ale Max szedł, jakby kierował się na wielki neon. Kiedy wyszliśmy na kawałek pustej przestrzeni, stanął. Na ziemi leżało potłuczone szkło. Strzępy opon. Rozpadające się siedzenia samochodowe. Stare meble. Palety do przewozu towarów. Rower bez kół. Max lekko uderzył się w pierś — stop. „Jesteśmy na miejscu”.

Zapaliłem papierosa, moje własne maleńkie, czerwone światełko. Nad nami zawyła syrena. Karetka w wyścigu między kliniką a prosektorium.

Stanął przed nami Wesley, widoczny był jedynie wąski pasek jego twarzy.

— Jak on to robi? — zapytał.

— Co?

— Nie słyszy, prawda? Kiedy jednak chodzi, robi to bezgłośnie.

— Nie mam pojęcia — odparłem. Nie po to, by się odczepił — rzeczywiście nie wiedziałem.

— Dlatego mówi się na niego Cichy Max.

— To nie jest twój samochód.

— Julio zna mój samochód.

— Niech będzie. — Wesley usiadł na jednej z palet, ja naprzeciwko niego. Max został tam, gdzie stanął. Nie zwracał uwagi na Wesleya, tylko obserwował uważnie okolicę.

— Powiedz mu, że to bezpieczne miejsce — powiedział Wesley. — Wszędzie porozciągałem potykacze, z wyjątkiem drogi, którą przyszlście. Siedzisz na plastiku w ilości wystarczającej do wysadzenia mostu w powietrze.

— Czy to dla ciebie jest bezpieczeństwo?

— Wszystko jest tu zaminowane. Jeśli ktoś by zaatakował, wszyscy poszlibyśmy do piekła.

— Pięknie.

W stosunku do maszyn sarkazm nie ma sensu.

— Dowiedziałeś się? — zapytał.

— Don dobrze się ukrył. Ma gdzieś w Sands Point kompleks budynków.

— Wiem gdzie.

— Tak, ale on nie wychodzi z piwnicy, a miejsce jest urządzone jak bunkier przeciwlotniczy.

— Jesteś pewien?

— Tak. Robi w gacie jak cholera. Nawet nie chce rozmawiać przez telefon.

Wesley zrobił się cichy jak Max. Czas mijał. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos przypominał szept bez tchu.

— Ogień.

— Co?

— Jak dom zacznie się zdrowo palić, będzie musiał wyjść.

— Jeśli go odpowiednio zbudowali, to niekoniecznie. Może być tak, że dom spali się do fundamentów, a piwnica pozostanie bez szwanku. Ma dość szmalu na taką budowę. W latach pięćdziesiątych bogate typki tak budowały piwnice, jakby Rosjanie w każdej chwili mieli rzucić bombę atomową. Maniacy przeżycia nie mieszkają w górach. Nic by im to nie dało.

— Tak. Może masz raq'ę, kiedyś widziałem taką piwnicę. Była nawet dźwiękoszczelna.

— Mam jeszcze coś. Don musi się spotykać ze swym zastępcą, a mówiłem, że nie rozmawia przez telefon, nie? Spotykają się co poniedziałek w nocy. Na moście przy Pięćdziesiątej Dziewiątej.

— Na ulicy?

— Yhm. — Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem od Stregi. Przeżuliśmy sprawę jeszcze dwa razy — Wesley połykał każde słowo jak smakołyk, trawił je powoli.

— Prawdopodobnie staje za filarem... nawet jak przejedziemy samochodem, nie da się strzelić.

— Chyba nie. — Przez głowę przelatowały mi strzępy myśli. Na przykład: kto miałby prowadzić wóz?

Wesley mówił spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie.

— Byłyby inne czasy, byłoby wszystko jedno. Siedzi w klatce, wystarczy tylko poczekać, ale sam teraz siedzę w klatce. Muszę skończyć robotę.

— I dostać pieniądze?

— Oni są zapłata. Jak skończę, będę spleacony.

— Julio chce w dalszym ciągu, żebym ci przekazał pieniądze. To będzie pułapka, ale...

— Kiepski pomysł. Nie wyślą nikogo wysoko postawionego. Wymyślą jakąś sztuczkę i wszyscy wylecą w powietrze. Nie dobierzemy się do nich w ten sposób. To tak jak w wojsku. Żołnierze umierają, a generałowie znajdują sobie nowych żołnierzy.

— Jak to się stało, że nie zostałeś w wojsku?

— Jak tam poszedłem, zachowywałem się jak w pierdlu, kapujesz? Trzymaj gębę na kłódkę, nie rozrabiaj, czekaj, aż otworzą bramę. Nie odzywałem się, więc myśleli, że jestem bęcwał. Byłem dobrym strzelcem, więc zrobili ze mnie snajpera. Mieliśmy takiego porucznika, tuż po uczelni — gadał z nami, jakbyśmy byli psami. Ładnymi psami, psami, które lubi, ale głupimi, rozumiesz? Dotyczyło to zwłaszcza czarnych. Wszystko było dla niego proste. Za każdym razem, kiedy musieliśmy iść do dżungli, twierdził, że to wina zasranych żółtków, że nie możemy wracać do domów. Do rodzin. Pewnego razu doszło do walki. Wpadliśmy na Vietcong i okazało się, że mamy jak na nich trochę za mało pary. Był najwyższy czas, żeby wiać i wrócić innym razem, ale ten kutas

każe bronić pozycji. Czekać, aż helikoptery przeczeszą ogniem okolicę. A może aż zrzucą nam na głowy napalm. Kilka dni wcześniej zginęło w ten sposób czterech naszych. Wtedy nie wytrzymałem. Zajęło to sekundę, nawet nie musiałem się zastanawiać. Mieliśmy zarzynać żołtków, bo nie mogliśmy przez nich wracać do domu?

Teraz nie mogliśmy wracać do domu przez porucznika. Strzeliłem mu parę razy w pierś. Upadł, ja wstałem i zacząłem krzyżeć: „Cofać się"! Wyszedłem stamtąd jako ostatni. Dostałem za to Brązową Gwiazdę. W czasie wojny cieszyłem się dobrą opinią. Dopiero potem postawili mnie przed sądem wojennym i zostałem karnie wydalony ze służby. Nie siedziałem ani dnia w pace. W dniu, kiedy wyszedłem z wojska, obrobiłem sklep z alkoholem. Wszystko szło dobrze, ale jak wróciłem do hotelu, nocny portier zadzwonił po gliny. Wtedy znów cię spotkałem. W więzieniu.

— Za co cię postawili przed sądem wojennym?

— Byłem w Japonii, na urlopie. W barze. Paru marines zaczęło się łać z marynarzami. Byłem prawie przy drzwiach, kiedy napadł mnie jeden z nich. Poleciałem na podłogę. Wstałem i przyłożyłem debilowi szklaną popielniczką prosto w potylicę. Został inwalidą.

— To wypadek.

— Dla nich to nie miało różnicy. Cieszyłem się, że stamtąd odszedłem. Nie jestem żołnierzem. Tak, twoje oszustwa nie mają nic wspólnego z wojskiem.

— Masz na myśli to z najemnikami?

— Tak. Kiedyś z takimi rozmawiałem. Mieli brytyjski akcent, ale nie byli z Anglii. Walka z komunizmem, co? Jasne. Nie będę nosić niczyich sztandarów.

— Czy Julio zna twoją twarz?

— Nie mam twarzy. Raz się z nim spotkałem, dał mi zlecenie na tego świra Mortaya, ale było ciemno, a on robił w portki ze strachu. Przy konfrontacji na pewno by mnie nie poznał. Było tam wtedy tak jak tu — wiele nie widać.

— On jest częścią tej roboty.

— Wiem.

— Nie wiesz. Zrobiłem handel. Za informację, którą ci dałem. O spotkaniu na moście.

— Masz załatwić Julia?

— Tak.

Wesley jakby się wycofał do swego wnętrza. Natychmiast poczułem, że jego kontury stają się łagodniejsze, zlewają z otaczającą ciemnością, a środek twardnieje. Zapaliłem kolejną fajkę, osłoniłem żar. Max aż się wyprostował. Poczul zmianę w atmosferze — jak niewidomy patolog przy sekcji.

— Jedno wiem na pewno. Na sto procent — stwierdził. — Morderstwo. W niektórych krajach stale wykańcza się ludzi na szczycie. Wiesz dlaczego? Ponieważ ci, którzy zajmują się zabijaniem, nie są fachowcami. Są gotowi umrzeć, by coś załatwić. Stawiają własne życie przeciw innemu życiu. U nas nie ma się jak dostać do tych co trzeba. Tylko przekręty robią w ten sposób. Pamiętasz gościa, który strzelał do Reagana? Gdybym dostał się tak blisko jak on, to w momencie, jakby mnie łapali, klient miałby w sobie tyle ołowiu, że trzeba by go podnosić z ziemi dźwigiem. Jak zabijasz za pieniądze, musisz żyć, żeby móc je wydawać.

— No i?

— Julio to twój kłopot, nie mój. Nawet jeśli twój informator nie chciał, żeby rozwalić Julia, wiesz, że Julio chce ci się dobrać do dupy. Musi więc zostać usunięty. Don nie jest dla ciebie problemem, nawet nie wie, że chodzisz po ziemi. Ma cię gdzieś. Nie myślałeś, żeby mnie załatwić? Max stoi wystarczająco blisko. Być może... gdybyś zaniósł Donowi moją głowę, twoje kłopoty by się skończyły.

— Nie, nie myślałem o tym.

— Jesteś marzycielem, nie zabójcą. Nie rozumiesz, jak się wszystko odbywa. Śmierć naprawia wszystko. Oczyszcza sytuację.

— Bo ja wiem... — Pomyślałem o Belle. Jej śmierć niczego nie naprawiła. Nie dlatego, że zabito na końcu nie tego, co trzeba, ale dlatego, że zabijał nie ten, co trzeba.

— Wiem, jak zlikwidować Dona — odezwał się Wesley — ale potrzebowałbym do tego trzech,

czterech ludzi. Ty masz ludzi. Jeśli mi pomożesz, załatwię Julia.

— Jestem tylko ja i Max.

— Wchodzi?

— Na pewno.

— Masz więcej ludzi. Braci.

— Muszę zapytać. Są moimi braćmi, nie żołnierzami.

Wesley ściszył głos, choć bardzo nieznacznie.

— A zrobimy to tak... — Słuchałem jego beznamiętnego głosu, myślałem, jak łatwo byłby w stanie zniszczyć Mortaya. Zdążyłbym zeskoczyć z torów.

Mówił dość długo, na koniec zapytał:

— Pasuje?

— Jestem z tobą. Max też. Sprowadzę sprzęt. Jak powiedziałem, zapytam. Może ktoś się zgodzi, ale jeśli nie...

— I tak to zrobimy, tyle że nie będzie stuprocentowej pewności. Wciągnąłem głęboko powietrze.

— Idę spotkać się z Trainem. Porozmawiać z nim. Mówię to dla twojej informacji.

— On będzie ostatni. Potem będę gotów.

— Wesley, pamiętasz taką dziewczynę, co z nami chodziła? Małą Candy? Jak byliśmy małolatami?

— Nie.

Max zaprowadził mnie przez ciemność do samochodu.

Wracając do miasta zadzwoniłem na złomowisko. Zatrzymaliśmy się potem u Kreta, porozmawialiśmy. Zgodził się schować samochody. Nie prosiłem go o nic innego.

Znalezienie Prora zajęło nam kilka godzin. Pracował na Penn Station. Kiedy go zauważyłem, rozmawiał właśnie z dwoma chłopakami, leżącymi na posłaniach z porozcinanych kartonów. Między nimi stał dwukołowy wózek na zakupy, pełen czasopism i pustych plastikowych butelek. Kiedy podeszliśmy bliżej, poznałem obu małolatów — wcześniej widziałem ich tam, gdzie Pror czyścił buty.

Oni też mnie rozpoznali. Dłoń większego wsunęła się do wózka.

— Spoko, głupolu — warknął na niego Pror. Małolat posłuchał swego nauczyciela. Pror ruszył w naszym kierunku. Oparliśmy się o róg i zacząłem mówić to, co miałem do powiedzenia. Kiedy skończyłem, Pror zaczął się zastanawiać.

— Z obcymi się zadawać, to zawsze groźna sprawa.

Przypomniałem sobie, co Kret powiedział o Wesleyu.

— Pror, on nie jest jednym z nas, ale też nie jest jednym z nich.

— Przyjadę. Z drugiej strony. Poczekam parę godzin. Jak się nie pojawisz, nie będę się pchać na afisz. — Włączył się do akq'i. Zostawało jeszcze jedno.

Z recepcji w hotelu Michelle zadzwoniłem do jej pokoju.

— Jesteś w przyzwoitym stanie? — spytałem.

— Nie, ale jestem ubrana.

Weszliśmy z Maxem na górę. Michelle miała na sobie zieloną chińską pizamę, była już umalowana, choć jeszcze nie uczesana.

Paliła swojego papierosa. Pocałowała Maxa w policzek, podała mi rękę.

— O co chodzi?

— Poniedziałek w nocy. Potrzebuję kogoś, kto nas zawiezie. Zaczeka dwie godziny. A gdybyśmy się nie zjawili, odjedzie.

— Jakie ryzyko?

— Niewielkie. Samochód jest czysty. Jeśli będziemy musieli wracać biegiem, zawsze zdążysz się ulotnić.

- Ktoś płaci?
- Ktoś.
- Jest dla mnie udział?
- Nie idziemy kraść, Michelle. Praca za stawkę — powiedz ile.
- Muszę zrobić sobie przerwę na całą noc... Dwa tysiące?
- Zgoda.
- Jesteś inny. Inny niż ostatnio.
- Jak to?
- Nie robisz już na mnie wrażenia rewolwerowca, ale jeszcze nie jesteś taki jak dawniej.

Czegoś ci jeszcze brakuje.

Wiedziałem, czego: nie czułem strachu.

Kiedy odwoziłem M axa do magazynu, I zaczynało się rozwidniać. Zaczeka-łem na dole, on poszedł po moją pocztę. To, co zwykle.

„Z obcymi się zadawać, to zawsze groźna sprawa”. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że nie śpi, poszedłem więc do piwnicy i zadzwoniłem. Temu, kto podniósł słuchawkę, powiedziałem, o co mi chodzi. Czekałem.

— Panie Burkę...

— Witam, Train. Chciałbym się z panem spotkać. Kontynuować naszą rozmowę. Związać luźne nitki.

— Jakie luźne nitki?

— Pytania, które mi pan zadał. Na temat... bezpieczeństwa. Mam chyba kilka odpowiedzi.

Może ubijemy interes.

— Rozumiem. Około południa?

— Będę.

Postawiłem samochód Morehouse'a M przy Remsen Street, gdzie wolno parkować samochodom dziennikarzy. Resztę drogi przebyliśmy z Maxem na piechotę.

Wpuścił nas ten sam młodzieniec, co za pierwszym razem, choć teraz nie był w kimonie karateki. W pokoju na górnym piętrze już stały przygotowane fotele.

— Jeśli pan pozwoli, mój brat zaczeka na zewnątrz. Nie sądzę, by ktokolwiek powinien słyszeć, o czym będziemy rozmawiać.

Oczy Traina błyszcząły jasnym błękitem.

— Mój personel ma dość... wyrobione poczucie obowiązku, jeśli chodzi o moje bezpieczeństwo — odparł.

— Nic panu ze mną nie grozi. Czasem bezpieczniej rozmawiać w cztery oczy.

— Kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy o bezpieczeństwie, mówił pan, że pewnego dnia będę musiał opuścić to miejsce, ale to pan przyszedł ponownie...

— Jestem biznesmenem, nie kamikaze.

— To znakomicie.

Max wyszedł. Zostaliśmy sami. Zacząłem poruszać na wszystkie strony głową, chciałem rozplątać węzeł w gardle, rozluźnić napięcie w karku. Poza tym rozejrzeć się. Wszystkie ściany tuż pod sufitem były wykonane ze szklanych płyt. Musiałem rozegrać sprawę tak, jakbyśmy byli podsłuchiwani. Balansowanie na linie.

Zapaliłem.

— Ma pan wrogów. Osobistych. Sądzę, że to nieuniknione przy robieniu interesów z panem.

Wątpię, żeby się pan tym przejmował — zacząłem.

— Uważa pan, że się boję?

— Jest pan raczej zaniepokojony. Zaniepokojony z pobudek racjonalnych. Pewnym problemem, który pan ma. Wydaje mi się, że jeden z pańskich wrogów zrozumiał swą bezsilność i zwrócił się do fachowca. Nie sądzę, by pańskie pytania na temat bezpieczeństwa były natury akademickiej.

— Czy to przypuszczenia?

— Nie.

Błękitne oczy nieco się zwęziły.

— Czy pan w tym... uczestniczy?

— Jeszcze nie. Sądziłem, że będę mógł. Jeśli się dogadamy.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem.

— Prowadzi pan w tym domu elegancki interesik. Podziwiam pańskie wyczucie rynku, umiejętności. Jest coś w robieniu wina ze zgniłych owoców.

Lekko się skłonił, czekał, co mam jeszcze do powiedzenia.

— Po to, żeby wszystko szło jak należy, krąży pan po ulicach. Rozgląda się za starymi meblami, które ludzie wyrzucają na ulice. Potem je pan przerabia, renowuje, maluje i sprzedaje tym, którzy chcą mieć coś takiego w domu. Dobrze pan na tym zarabia. Śmieci zamieniają się w złoto. Brud w diamenty. Dlaczego ktokolwiek miałby się z tego powodu złościć?

— No właśnie.

— Raz na jakiś czas... bardzo rzadko... ktoś przypomina sobie, że chciałby swój mebel z powrotem. Niestety ma pan zasadę — nie odsprzedaje pan niczego temu, kto postawił mebel przy krawężniku.

— Wyrzucili go. Stracili prawo własności.

— Właśnie. Pan sprząta ulice. Zzera padlinę. Wie pan jednak, jacy bywają ludzie — zauważają, iż mają kłopoty z wodą dopiero wtedy, gdy studnia wyschnie.

— Jest pan bystrym człowiekiem. Sądzę, że nasza ocena pana była... niepełna...

— Zdarza się. Ma pan swoje źródła, może pan popytać. Dobrze pan wie, kiedy coś jest prawdą. Wie pan również, co nią nie jest.

— No i?

— Nadszedł czas na prawdę. Tu i teraz. Jedna z osób, która wyrzuciła mebel, zechciała go z powrotem. Nie wiem dlaczego, ale powstało pewne nieporozumienie, w każdym razie ta osoba nie mogła się zwrócić o pomoc do władz. Prawo jest po pańskiej stronie. Jeśli wyrzuci się coś na ulicę, przechodzi na własność znalazcy.

Train znów się skłonił. Dyskretnym ruchem samej głowy.

— A więc ta osoba zwróciła się do kogoś, kto stoi poza prawem. Do fachowca. W efekcie ktoś chce się za pana fachowo zabrać. Zdążył już pan zrozumieć, że nie ja.

— Pan przyszedł po Elwirę.

— I odprowadziłem ją z powrotem.

— Opowiedziała panu różne rzeczy...

— A ja ją przyprowadziłem z powrotem. Nie jestem tym, kto się za panem rozgląda.

— Nie? To kim pan jest?

— Tym, za kim pan się rozgląda.

— Jak to?

— W każdym zawodzie istnieje konkurencja. Pan wykonuje swoją robotę, ja swoją. Nie powinienem nawet znać pańskich konkurentów ani pan nie powinien znać moich. Wydawało się panu, że przyszedłem z określonego powodu, ale to nieprawda. Nie zmienia to faktu, że ktoś pana ściga. Ktoś, z kim umiałbym sobie poradzić.

Ruchem dłoni wykonał znak „Mów dalej”.

— Mam dwa zawody — kontynuowałem. — Jeden polega na odnajdywaniu ludzi. Mogę znaleźć tę osobę.

— I co wtedy?

— Mój drugi zawód.

— A co z moim zawodem?

— To pańska sprawa. Wygląda na to, że przydałby się panu ktoś taki jak ja.

— Mam ludzi.

— To dzieci.

Spojrzał mi głęboko w oczy.

— Moje dzieci.

— Dzieci należy chronić.

— Tak jest. Muszę robić dla nich wszystko, co tylko jest w mojej mocy. Co innego byłoby niemoralne.

— Moralność może być kosztowna.

— Bez względu na to, ile...

— Bardzo kosztowna.

— Tak?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— Niech będzie. — Nawet nie drgnęła mu powieka. — Przypuszczam, że chciałby pan zapłatę... z góry?

— Niekoniecznie.

— Nie orientuję się zbytnio w tego typu sprawach. Pomyślałem jedynie, że...

— Wiem, gdzie pana znaleźć. Rozliczenie po robocie.

— Jak się dowiem, że została wykonana?

— Przyniosę dowód. Jeśli nie będzie pan zadowolony, nie wystawię rachunku.

Przeciągnął dłońmi po twarzy, udawał, że się zastanawia.

— To dla dzieci — przerwałem ciszę.

— Tak. Nie mam wyboru. To obowiązek. Pozwoli pan, że sprawdzę...

Skinąłem głową. Wiedziałem, co ma na myśli. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Wesley miał swoje do zrobienia, ja swoje. Znowu działałem. W dniu, kiedy nie będę już w stanie doić skurwieli, stanę się uczciwy.

Nie zauważyłem sygnału. Do pokoju weszła Reba. Miała na sobie białą szeroką szatę z kapturem, wokół talii białą szarfę. Nic poza tym. Usiadła po mojej lewej stronie, przerzuciła nogę przez moje uda, naciągnęła szatę, jakby było jej zimno. Jej dłoń odnalazła moje serce.

Train wpatrywał się w sufit. Zaczął zacierać ręce, jego głos stał się piskliwy.

— Czy ktoś mnie poszukuje?

— Tak.

— Żeby zrobić mi coś złego?

— Tak.

— Wie pan, kto?

— Tak.

— Jest pan w stanie go powstrzymać?

— Tak.

— Czy ja mógłbym go powstrzymać?

— Nie.

— Wziąłby pieniądze?

— Nie.

Dłoń Reby przesunęła się do przodu. Palce zaczęły szukać mojego członka. Zaczęła kręcić tyłkiem, jakby szukała najwygodniejszej pozycji. Nie widziałem jej twarzy.

— Czy to pan mnie szuka?

— Nie.

— Uważa pan, że Elwira jest tu bezpieczna?

— Tak.

Dłoń Reby objęła moje jądra. Ścisnęła je delikatnie. Kciuk głaskał trzon prącia. Poruszyło się, zeszywniało.

— Pracuje pan dla matki Elwiry?

— Nie.

— Czy kiedykolwiek pan to robił?

— Kiedy odprowadzałem do niej dziewczynkę.

— Czy człowiek, który mnie szuka... jest do wynajęcia?

— Tak.

Reba dwoma palcami poruszała w górę i w dół mego członka, ujęła go całą dłonią. Ścisnęła. Czulem, jakbym miał w spodniach kawałek stali, który zaraz rozerwie suwak rozporoka.

- Ale ja nie mógłbym?
- Nie teraz.
- Dlatego, że już wziął od kogoś pieniądze?
- Tak.
- Wie pan, od kogo?
- Nie.
- Jak chce się do mnie dostać?
- Ogniem.

Train skinął głową. Reba zsunęła się ze mnie, poprawiła szatę, szepnęła:

— To prawda.

Założyłem nogę na nogę, sięgnąłem do kieszeni po fajkę. Zapaliłem, czekałem. Reba drepcząc wyszła z pokoju.

— Powie mi pan, kiedy będzie po wszystkim? — spytał Train.

— Pokażę panu.

Max stał na zewnątrz. Sam.

Kiedy wróciłem do biura, usiadłem obok Pansy i zacząłem głaskać jej futro tak, jak fanatycy „New Age” głaszczą kryształ. Wyzwoliłem się z mojego ja, to, co pozostało, otoczyłem strachem. Kazałem przemawiać swemu wnętrzu.

**BĄDŹ ODPOWIEDZIĄ.**

„Wesley. Nikt nie wie, dokąd się uda, ale każdy wie, że przed chwilą był”. Tak powiedział kiedyś Pror.

Zapaliłem fajkę, przypominałem sobie każdy centymetr kwadratowy apartamentu kobiety kameleona. Każdy szczegół, jaki widziałem. Czekałem, aż coś w moim mózgu zaskoczy. Prędzej czy później na pewno to nastąpi. Reba dobrze o tym wiedziała.

Candy odebrała od razu. — To ja — powiedziałem bardzo cicho. — Masz rację. Chcę znowu. Trzymać smycz.

— Nie podobało mi się, w jaki sposób wyszedłeś ostatnim razem.

— Mnie się podobało. Dałaś dowód, że mówiłaś prawdę.

— Kochany chłopak. W każdej chwili po trzeciej, zgoda?

Będę.

Portier stał przed budynkiem i ukradkiem palił papierosa. Pror wrzasnął w przestrzeń: „Hej! Roscoe, stary” i portier gwałtownie się odwrócił. Weszliśmy z Maxem do środka. Wjechałem windą na ostatnie piętro.

Tym razem peruka na głowie Candy była rudoblond, ale żółte kocie ślepie bez szkieł kontaktowych. Miała na sobie biały płaszcz kąpielowy.

— Wszystko zaczyna się od nowa — stwierdziła. — Chodź.

Poszliśmy do ostatniej sypialni. Pozwoliła płaszczowi opaść na ziemię. Obroza była już na miejscu, smycz bujała się gdzieś w okolicy jej kolan. Usiadłem na kozetce, pociągnąłem gwałtownie za smycz. Candy podeszła posłusznie, z rozmarzonym wzrokiem. Znowu pociągnąłem. Weszła na kozetkę na czworaka. Wstałem.

— Nie ruszaj się — nakazałem. Stanąłem za nią. Opuściła ramiona, aż położyła je na kozetce, jej krągłe pośladki niemal świeciły w ciemności. — Nie ruszaj się — powtórzyłem.

Bez słowa cofnęła biodra.

— Wiem, gdzie jest to, czego chcę — powiedziałem. — Nie zmieniaj pozycji. — Podeszedłem do szafy, znalazłem to, czego potrzebowałem. Kiedy wróciłem, klęczała w tej samej pozycji co poprzednio. — Połóż ręce na plecy. — Kajdanki były wyłożone skórą. Zatrzasnąłem je. Przeciągnąłem łańcuszek przez jedno z kółek w podłodze.



Oblizwała wargi. Kocie ślepia były zimne jak kamień. Wściekłe i zupełnie pozbawione strachu.

Zawiązałem smycz. Ramiona Candy poruszyły się do przodu, dotknęły kozetki. Stałem za nią. Jej pięty prawie się dotykały, na tyłach ud naprężały się mięśnie. Związałem stopy ze sobą. Wziąłem w dłoń kawałek łańcuszka. Candy wygięła nogi, jakby chciała dotknąć palcami stóp głowy, związane ręce wyciągnęła w kierunku kostek. Czekala na to, że zostanie związana jak świnia w rzeźni z takim spokojem, z jakim czeka się na autobus. Łańcuszek przełożyłem przez więzy na jej kostkach i mocno pociągnąłem. Piszczelami dotknęła obicia kozetki. Naciągnąłem łańcuszek wokół nogi kozetki. Candy leżała teraz płasko na brzuchu, brodą dotykała podłoga. Tak samo leżałem kiedyś na torach.

Całe jej ciało było pokryte delikatną warstewką potu — jakby je natarto oliwą. Pod biodra wsunąłem jej wałek-poduszkę.

— Nie jestem w stanie nawet drgnąć — zagruchała. Jakby wypowiadała zakłęcie.

Oparłem się kolanem o kozetkę. Poglaskałem Candy delikatnie po tyłku. Przeciągnąłem dłonią w górę pleców.

— Za żaluzją jest lustro. Jeśli masz ochotę...

Jeszcze mówiła, kiedy wepchnąłem jej w usta piłkę-knebel i umocowałem go naciągając jej na twarz gumową opaskę.

Wtedy poszedłem szukać tego, po co przyszedłem.

Gdzieś tu musiał być jeszcze jeden pokój. Znalazłem go obok garderoby. Biurko z ekskluzywnego drewna z supernowoczesną maleńką lampką. Nowoczesny telefon z nie oznakowanymi przyciskami z lewej strony. Owinąłem palec chusteczką. Naciskałem przyciski, w okienku pojawiały się numery. Zapamiętywałem je, przyciskałem widelki, nim po drugiej stronie odezwał się choćby jeden sygnał. Dziesięć przycisków, cztery miały zakodowane numery.

Wszedłem do jednej z łazienek. Spuściłem wodę. Candy miała narąbane we łbie. Wcale mnie nie znała. Już nie.

Po paru minutach byłem z powrotem w sypialni. Ściągnąłem jej z głowy opaskę. Wypluła knebel.

— Dobrze się czujesz, mały? — spytała.

— Jeszcze nie całkiem.

— Myślałam...

— Jeszcze nie skończyłem — powiedziałem rozpinając kajdanki na jej kostkach. Poruszyła tyłkiem. Bynajmniej nie po to, by wróciło w zdrętwiałe mięśnie czucie. Rozpiąłem kajdanki na jej nadgarstkach. Czekala. Odwiązałem smycz. Postawiłem Candy na nogi.

— Ubieraj się.

Spuściła oczy, ściszyła głos, nie bardzo wiedziała, co robić. Nie była zbyt mocna w improwizacji.

— Powiedz mi, co mam założyć. Powiedz mi wszystko — nie mogę się ubrać, jeśli nie wiem, w co...

— Sweter i spódnica.

— Mam założyć biustonosz, skarbie?

— Tak.

— W jakim kolorze?

— Wszystko jedno.

— Ale...

— Różowy, dobra? Pośpiesz się.

— Mam założyć pończochy? Buty na wysokim obcasie?

— Nie.

— Ile mam mieć lat?

— Zobaczysz — powiedziałem ciągnąc za smycz. — Pośpiesz się.

Zaciągnąłem ją korytarzem do garderoby. Patrzyłem, jak się ubiera.

— Gdzie klucz do mieszkania?

Podala mi go. Wsadziłem klucz do kieszeni.

— Chodź — rozkazałem trzymając smycz tak, żeby zwisała jej na plecach. Już jak byliśmy gówniarzami, nigdy nie trzymałem jej za rękę.

Zaprowadziłem ją do wejścia, otworzyłem drzwi i wypchnąłem na zewnątrz. Nie odezwała się słowem. Korytarz był wyłożony grubym dywanem. Zaprowadziłem ją do wyjścia na klatkę schodową. Krótkie schody prowadziły na dach. Dwadzieścia stopni. Jedyne światło pochodziło z nagiej żarówki — wyjście awaryjne. Pchnąłem ją do przodu, pociągnąłem za smycz. Stała. Stałem krok za nią.

Wiedziała, co ma robić. Kiedy zadzierałem jej spódnicę, chwyciła obiema rękami poręcze.

— A jak ktoś przyjdzie? — szepnęła. Wszystko wróciło do dawnych czasów.

— Ich problem. — Piętro niżej był Max. Nikt nie przyjdzie.

Zaszeleścił mój suwak. Dłoń Candy pomaszerowała do tyłu, wetknęła kciuk za gumkę majtek. Ściągnęła je na sekundę przedtem, nim się w nią wbiłem.

Poczułem, jak jej mięśnie w środku chwytają mnie i przytrzymują. Nie dotknąłem silikonu w jej cyckach.

Długo to nie potrwało. Kiedy wytryskiwałem, wydała z siebie pełen żądy jęk. Sama podciągnęła sobie majtki. Nawet się do mnie nie odwróciła.

Jak za dawnych czasów.

Wróciliśmy do mieszkania. Candy sie-Wf działa na kanapie, smycz była ciemną ¥ f kreską między obciążonymi jasno-żółtym swetrem piersiami.

— Sprowadzisz mi ją teraz z powrotem?

— Tak. — Wyjąłem z kieszeni klucz do jej mieszkania, potarłem go palcami, jakbym chciał zetrzeć brud. Rzuciłem klucz Candy. Odbił się od jej barku. Nawet na chwilę nie odwróciła ode mnie wzroku.

— Zawsze cię kochałam — szepnęła.

Na dół zesliśmy z Maxem schodami.

Pror czekał w samochodzie More-house'a. Podałem mu wyjęty z kieszeni blok plasteliny. Odcisk klucza do mieszkania Candy był idealny.

— Powiedz Kretowi, że potrzebuję dwa, dobrze? Może je zostawić w którymś z samochodów przygotowanych na poniedziałek wieczór.

— Załatwione, synu.

Poniedziałek, północ. Zjechaliśmy z autostrady Roosevelta, wjechaliśmy w ciemność. Z tyłu siedziała Michelle. Wsiadłem z nią, ruszyliśmy spacerem wzdłuż rzeki. Max czekał w samochodzie. Michelle opierała się o moje ramię, wzięła mnie pod rękę.

— To są dokumenty, o które prosiłaś — zacząłem.

— Dość gruba paczka jak na paszport — stwierdziła, wsadzając kopertę do torebki.

— Reszta jest od Kreta.

Usłyszawszy to natychmiast stanęła. Rozcięła kopertę paznokciem, ja w tym czasie zapaliłem papierosa. Z koperty wysunął się gruby plik zielonych banknotów. Do tego notatka, zrobiona na papierze milimetrowym, jakiego Kret zwykle używa do korespondencji. Nie odzywałem się, spokojnie paliłem. Kiedy Michelle się do mnie odwróciła, łyzy rozmazywały jej nieskazitelny makijaż.

— Jutro rano mnie nie będzie.

— Wiem.

— Kiedy wrócę, nareszcie będę sobą.

— Yhm.

— Kocham cię, Burkę. — Przyciągnęła do siebie moją twarz i pocałowała mnie w policzek. — Uważaj na mojego chłopca, zajmuj się nim.

Nie pytałem, kogo ma na myśli.

— Bądź o pierwszej, dobrze? — poprosiłem. — Usłyszysz huk. Poczekaj pięć — dziesięć minut. Jeśli nie przyjdziemy, znikaj. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wrócimy bardzo

szybko. Gdy zobaczysz, że się zbliżamy, uciekaj, kluczyk zostaw w stacyjce.

— Nie będę biegać w tych butach po biocie!

— Nie żartuję, Michelle. Nie czekaj. Nie potrzebujemy kierowcy.

Cmoknęła mnie na pożegnanie.

— Opiekuj się Maxem — dodała na koniec.

Kiedy szliśmy w kierunku rzeki, czułem pod stopami, jak bagnista jest tu ziemia. Manhattan to wielka wyspa, od Queensu oddziela go usiana wysepkami East River. Welfare Island. Roosevelt Island. Dawniej wykorzystywano wyspy jako domy wariatów, kliniki, kolonie trędowatych, teraz buduje się tu luksusowe apartamenty. Jest tu też wiele mikroskopijnych wysepek, będących jedynie nagromadzonymi w różnych miejscach rzeki zwałami śmieci. Jest z nich znakomity widok na most przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Michelle będzie czekać po stronie manhattańskiej. W tej okolicy nie można nigdzie zostawić samochodu mającego służyć do ucieczki — zanimby się wróciło, dawno by go już nie było. Pror zajął pozycję po stronie Queensu. Kiedy zrobi się gorąco, zaczniemy zwiewać. Jeśli będziemy mogli.

Wesley już czekał. Był jedynie kształtem sylwetki na tle wody, ciemniejszym od czarnej nocy. Podał mi uzi. Rozległ się cichy \* syk — sprężone powietrze napełniało ponton. Wesley wskazał na leżące nieopodal dwa worki żeglarskie i skrzynkę z narzędziami. Max wziął jedną ręką worki, drugą skrzynkę. Wesley sterował. My z Maxem wiosłowaliśmy. W tym miejscu rzeka miała nie więcej jak kilometr szerokości, a wyspa leżała w połowie nurtu. Nie płynęliśmy długo.

Przybiliśmy do brzegu. Wysiedliśmy. Wesley postawił na grząskiej ziemi dwa trójnogi, wcisnął je mocno w grunt, by się nie chybały. Na jednym umocował lunetę, na drugim karabin. Nikt nic nie mówił — woda dobrze niesie głos. Nikt nie palił. Wesley wskazał na lunetę, potem na mnie. Zrobił szybki i gwałtowny wydech. Skinąłem głową. Usiadł wygodnie przy karabinie. Obejrzał most przez celownik optyczny, zadowolony skinął głową. Wyjął z kieszeni kurtki nabój. Długi, cienki nabój. Kiedy wsuwał go do komory, rozległ się cichutki chrobot. Karabin snajperski. Jeden cel — jeden nabój.

Nie pozostało nam nic poza czekaniem. Gdzieś w dole rzeki zatrąbiła syrena mgłowa. Kuter patrolowy przepływał obok nas jakieś pół godziny temu. Nawet nie ruszyli szperaczem w stronę naszej wyspy.

Zauważyłem, że przy moście pojawiła się grupa mężczyzn i zaczęła po nim przechodzić. Przez lunetę zobaczyłem szczegóły. Trzech szło z przodu, jeden w środku, trzech z tyłu. Poruszyłem lunetę w stronę manhattańską. Czterech mężczyzn, szli razem. W identyczny sposób jak Wesley wypuściłem szybko i gwałtownie powietrze. Zaczął się przygotowywać, kręcąc lułą maleńkie kółko. Przypominało to język węża. Badanie, czekanie. Obnażanie kłów.

Obie grupy były już blisko siebie. Jeden z idących od strony Queensu wyszedł do przodu. Z grupy manhattańskiej też ktoś się odłączył. Mężczyźni zbliżali się do siebie skrajem mostu, tam byli bezpieczniejsi. Spotkali się mniej więcej na środku mostu, kawałeczek w stronę Queens. Stanęli oparci plecami o podpory. Po chwili zamienili się miejscami. Jeszcze raz wypuściłem powietrze.

— Widziałem — szepnął Wesley. Tak cicho, że nie byłem pewien, czy dźwięk nie rozległ się w mojej głowie.

Zobaczyłem to samo, co zauważył Wesley.

Oczy celu były zasłonięte kapeluszem. Ustawiłem lunetę, by widzieć dół kości jarzmowej — Wesley strzeli tak, że kula wejdzie od dołu i będzie się wznosić, aż dojdzie do mózgu i wyrzuci go poza czaszkę.

Mężczyźni rozmawiali. Usłyszałem, jak Wesley głęboko wciąga powietrze. Wypuszcza wszystko jednym szybkim wydechem. Czułem, że nieruchomieje jak w śpiączce. Żeby móc nacisnąć spust między dwoma uderzeniami serca. Don przestał poruszać ustami, przekrzywił nieco głowę. Słuchał swego zastępcy.

Don zaczął padać do przodu ułamek sekundy przedtem, nim do mych uszu dobiegło rozsadzające bębenki „tttrrachchh”! Zastępca błyskawicznie się schylił.

Wesley był już na nogach. Max jednym ruchem złapał moją lunetę razem z trójnogiem. Wesley

wskazał w kierunku Queensu — ten koniec mostu był cichy i ciemny. Nie było czasu na dyskusję. Wrzuciliśmy wszystko do pontonu. Próbowałem przy wiosłowaniu dotrzymać Maxowi tempa, ale moje plecy protestowały jak oszalałe. Gdzieś za naszymi plecami roztrąbiły się syreny. Wiedziałem, że Wesley zaraz uruchomi szperacz na dziobie pontonu. Ponieważ Max wiosłował znacznie silniej ode mnie, łódka zaczęła skręcać w lewo. Wpadliśmy na mieliznę. Wesley wyrwał zatyczkę, Max ruszył do samochodu, z pontonu z sykiem uciekało powietrze.

Pror odsunął się na bok. Usiadłem za kierownicą. Wesley i Max załadowali graty do bagażnika, wskoczyli z tyłu. Ruszyłem łagodnie, kierując się w stronę terenu opuszczonej fabryki w Long Island City.

— Dzięki, Pror.

— Była dobra zabawa, ale skończyła się sprawa — odparł mały człowieczek. Chciał przez to powiedzieć, że wolałby nie być z nami w czasie jazdy po mieście. Zatrzymałem się niedaleko biegnącego nad ziemią odcinka metra. Wyciągnąłem rękę. Pror ścisnął ją, po chwili puścił. Otworzył drzwi i zniknął. Przez cały czas nawet nie spojrzął w kierunku tylnego siedzenia.

Słuchając wskazówek Wesleya dojechałem do opuszczonej hali fabrycznej niedaleko Meserole Street w Brooklynie, tuż przy granicy Queensu. Wesley wysiadł, otworzył ciężką czarną kłódkę. Wjechałem do środka. Było ciemno jak w grobie. Nawet pachniało pustką.

Max sięgnął do bagażnika. Wyjął graty, pokazał je Wesleyowi, na co ten zrobił gest „Rzuć byle gdzie”.

— Jutro i tak już mnie tu nie będzie — powiedział.

Szyb windy towarowej zionął pustką. Wesley szedł w ciemności, jakby doskonale widział. Kroczyliśmy za odgłosami, jakie wydawał. Dotknąłem ręką żelaznej poręczy. Kręcone schody. Wesley wchodził pierwszy. Trzy piętra. Z najwyższego została jedynie połowa. W oknach nie było ani jednej szyby. Skądś dochodziło światło. Na środku piętrzyły się kartony, część była przykryta plandeką. Pod ścianą stały sterty puszek z konserwami. Zewsząd rozlegał się stukot szczurzych pazurów.

Zapaliliśmy z Maxem po papierosie.

Wesley usiadł na jednej ze skrzyń.

— Jesteś pewien? — spytałem.

— Załatwiłem go. Jeśli taki pocisk trafi gdziekolwiek w głowę, rozrywa ją na kawałki.

— Będą cię szukać jak wściekli.

— Jak wściekli... śniło ci się kiedyś samobójstwo, Burkę?

— Jakie samobójstwo?

— Czy śniłeś kiedyś, że się sam zabijasz?

— Raz.

— Dlaczego?

— Śniło mi się, że jestem naprawdę na dnie. Byłem tak smutny, że nie było sensu dalej żyć, zrobiłem więc listę. Tych, których wezmę ze sobą. Powiedziałem sobie, że jak mam umierać, od razu mogę zacząć wykańczać po kolei całą listę. Prędzej czy później któryś z nich załatwiłby mnie, zaoszczędzę więc sobie kłopotu.

— I udało się?

— Nie. — Czuję, jak wzbiera we mnie śmiech szaleńca. — Obleciałem listę i odechciało mi się umierać.

— Moja lista jest za długa. Twoja też jest długa?

— Teraz już nie.

— Rozliczyłeś się ze wszystkimi?

Pomyślałem o Trainie. O Juliu.

— Prawie.

— Czego użyłeś z Mortayem?

— Użyłem? •

— Do wykończenia go.

Zdawało mi się, że mówię do maszyny, ale nie do magnetofonu.

— Trzydziestkę specjal. Jak padł na ziemię, poprawiłem granatem.

Głos maszyny był o ton wyższy. Wesley się śmiał.

— Miałeś zasraną trzydziestkę? Dlaczego nie obrzuciłeś go kamieniami?

— Poradziłem sobie.

— Miał naprawdę dobrą opinię. Jak Max. Jeśli dostałeś go z rewolweru, musiał być naprawdę blisko.

— Był.

— Głupek.

— Wiem. Teraz. Ale teraz jest już za późno.

Za późno dla Belle.

— Jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

— Masz na myśli...

— Z mojej działki. Jestem prawie gotów.

— Tylko Julio. I Train.

— A więc nie myliłem się. Od początku. Zajmowałeś się nim.

— Nie zajmowałem się. Sprawy zmieniły obrót. Poznałem pewne fakty.

— Na temat dzieciaka?

— Yhm.

— To miękkie miejsce — świeci ci się na plecach jak tarcza strzelnicza.

— Nic na to nie poradzę.

— Ale to przecież nie twój problem. Nie twój dzieciak.

— Nie zamierzałem się stać tym, kim jestem. Zawsze chciałem być... kimś innym.

— Że co?

Zaciągnąłem się mocno, spojrzałem potworowi głęboko w oczy.

— Zawsze chciałem być taki jak ty — powiedziałem spokojnie.

— Nie chciałeś. Ja się nie boję. Niczego. Nie warto.

— Wesley, co wiesz o Trainie? Dlaczego uważasz, że się nim zajmowałem?

— Przez faceta, który mnie zaangażował. Pomyślałem, że musi to być coś w twoim stylu. Wie, jak się nazywasz.

Wymienił nazwisko. Ojciec Danielle — człowiek ze specjalną piwnicą na Long Island.

Rzuciłem papierosa na ziemię. Zdusiłem go obcasem.

Potwór zrozumiał.

— Nie ma dobrych ludzi, Burkę. Jesteś złodziejem — idź znowu kraść.

— Jeszcze nie teraz. — Nie podobał mi się ton własnego głosu.

Czytał w moich myślach.

— Dostaniesz go gratis. Będziesz mógł skrócić swoją listę. Spotkam się z nim po załatwieniu sprawy z Trainem. Po odebraniu reszty pieniędzy. Zostanie tam, gdzie go spotkam.

Zapaliłem następną fajkę.

— Powiedziałem Trainowi, że się tobą zajmę.

— Dobrze. Są łatwiejsi, jak kimają.

— Podrzucić cię gdzieś? — spytałem.

— Nie, mam zaraz za rogiem samochód. Pozbędę się gratów, potem znikam.

Max skłonił się przed Wesleyem. Potwór też kiwnął głową. Sztynno, jakby nie był do tego przyzwyczajony.

Zszedłem schodami za Maxem.

128

Kiedy wracaliśmy na Manhattan, || w całodobowym kanale informacyj-\_,,,, m nym nie padło jeszcze ani jedno słowo na temat zabójstwa, ale następnego dnia trąbili tylko o tym. Opowieści jak z horroru. Najbardziej podobała mi się ta, że Dona załatwili Kolumbijczycy z przepływającego pod mostem ślizgacza.

Pojechałem na złomowisko. Opowiedziałem Kretowi o Elwirze. O hodowli prowadzonej pod nadzorem ludzkiego śmiecia.

Wróciłem do miasta czterodrzwiowym czarnym fordem. Max jechał za mną datsunem Morehouse'a.

W biurze przestudiowałem otrzymane od byłego gliniarza wydruki komputerowe z Mamuśki Poczty. Z jednego z numerów u Traina nie przeprowadzono ani jednej rozmowy międzymiastowej. Nie wykorzystywano w nim nawet limitu rozmów wchodzącego w skład abonamentu. Martwy numer. Do przyjmowania informacji.

Był to jeden z numerów zakodowanych w telefonie Candy.

Hulio zostawił u Mamy wiadomość dla mnie. Zadzwoń do jego klubu.

— Czego chciałeś, staruszkę? Chyba oszalałeś, sądząc, że zgodzę się teraz na spotkanie. Nie masz w ręku niczego, czym mógłbyś mi grozić.

Głos Julia był silny, pełen życia. Całkowicie panował nad sytuacją.

— Kto powiedział cokolwiek o groźeniu? Zapomnij o tym. Mów rozsądnie. Stoimy po tej samej stronie. Twój problem zniknął razem z moim problemem, rozumiesz? Zamierzam teraz zrobić kilka ruchów. Jest tylko pewna drobna rzecz...

— Jaka?

— Ta dziwka ma coś dla mnie. Coś, co kiedyś napisałem. Powiedziała, że mi to odda, jak dostanie prezent.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Jest szalona, dobrze o tym wiesz. Jeśli wbije sobie coś do głowy, nie da się z nią rozmawiać. Chce to dać tobie. Masz mi to przynieść, zabrać prezent dla niej. Na tym sprawa będzie załatwiona.

— Znajdź sobie kogoś innego.

— Z chęcią bym to zrobił, ale to ona chce ciebie, jasne? Wiesz, jaka jest.

— Nie pójdę do niej.

— Zaraz! Ktoś musi to załatwić. Nie martw się, przypilnuję, żeby nic ci się nie stało.

— Wtedy będziemy kwita.

— Na mój honor.

adzwoń do Stregi. — Dzwoniłaś do niego? — zapy-\_\_tałem.

— Tak.

— Nie mogłaś dać sobie spokoju?

— Nie gniewaj się. Wiesz, że powiedziałam ci prawdę. On chce dostać ten list, bo może mu narobić kłopotów. Mały człowiek ma wielkie plany.

— Słucham! — warknął Julio.

— Mówi, że mi go da. Na otwartym terenie. Chce to widzieć.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że masz przyjść. Sam. Ja też przyjdę. Sam. Ona podjedzie. Da mi na twoich oczach to, co chcesz. Wróci do samochodu. Dam ci list w zamian za prezent, który przywieziesz. Poczekasz, a ja przekażę jej prezent. Wsiądę do samochodu i rozjedziemy się do domów.

— Nie spodoba się moim chłopcom, żebym dokądkolwiek sam jechał.

— Jesteś szefem, nie? Kogo obchodzi, co im się nie podoba?

— W porządku. Gdzie?

— Wiesz, jaka ona jest. Musi być Queens. Jedź Grand Central Parkway od stadionu Shea, tuż przed lotniskiem jest stacja benzynowa. Wjedź na nią, podjedź do ogrodzenia. Jest tam miejsce, gdzie można zaparkować i zejść do wody. W lecie chłopaki łowią tam ryby. Kojarzysz?

— Yhm.

— Powiedziała: jutro. Przed południem, o jedenastej. Parkując trzymaj się prawej strony. Ona będzie z lewej. Ja wjadę w środek. Załatwimy co trzeba.

— Będę.

Zadzwoń do Stregi. Powiedziałem jej, co nastąpi jutro.

Łyszałem, jak śmieć zakrywa słuchawkę swym brudnym łapskiem. — Facet chce mówić z Donem Julio.

Cesley powiedział, że skończy z Juliem gratis. W ramach handlu wymiennego z Donem, choć najpierw zabił jego. Ojciec Danielle zrobił ze mnie psa. Myśliwskiego psa, który przyniesie mu z powrotem jego świeże mięso. Musi za to zapłacić. Wesley obiecał załatwić świra. W jego własnej dźwiękochłonnej piwnicy. Train też był handlem wymiennym. Nie do końca ze mną,

Nie mogłem dopuścić do tego, by Wesley znalazł się w polu ostrzału Stregi — potwór mógł poczuć zagrożenie i uderzyć. Strega, dziwka-wiedźma. To ona wszystko zaaranżowała. „Nie pozwolisz, żeby mi się coś stało”... Wesley musiał być z tego wyłączony.

Wpół do dziewiątej wjechałem na stację. Kazałem nalać sobie do pełna. Max wysiadł i poszedł do kibla. Pracownik stacji zrobił swoje, wziął pieniądze. Odjechałem sam.

Kilka minut po jedenastej wjechałem tyłem na parking. Z lewej stało BMW Stregi, z prawej cadillac Julia. Wjechałem między nich. Wysiadłem, otworzyłem bagażnik, zostawiłem pokrywę otwartą. Podszedłem do wozu Julia. Szyba w oknie zjechała z szumem w dół. Wsadziłem głowę do środka, sprawdziłem tylne siedzenie. Puste.

— Wysiadaj, Julio.

Pokazał mi grubą kopertę.

— Zdawało mi się, że najpierw masz dostać list.

— Tak właśnie będzie. Chcę, żebyś otworzył bagażnik, żebym się przekonał, że jesteś sam.

Jeśli chcesz sprawdzić, mój już jest otwarty.

Wysiadł, na ustach miał głupekowaty uśmiezek. Otworzył bagażnik. Był pusty.

— Zaraz wracam — powiedziałem.

— Burkę, zaczekaj chwilę. — Dłoń w rękawiczce wylądowała na moim ramieniu. — Nie mam więcej kłopotów, rozumiesz? Poza nią. Szaleńcy zawsze sprawiają kłopoty. Są sami w sobie kłopotem. Na zawsze.

— Po co mi to mówisz?

— Wiem, że możesz dotrzeć do Wesleya. Zamierzam coś zorganizować. Chcę mu zapłacić za ostatnią robotę. Stary Don był głupi jak but. Nie będzie pułapki, żadnych zagrywek. Dam ci szmal, przekażesz go Wesleyowi. Nie będzie mnie przy tym. Chciałbym tylko, żeby wiedział... że nie mam do niego żalu... jak to się mówi, przysłała nowa miotła. Mógłbyś to zorganizować?

— Być może.

— Tak, zawsze „być może”. Pytam, czy jutro wstaniesz, mówisz „być może”. Mógłbyś to zorganizować. Jak spotkasz się z Wesleyem, powiedz mu, że między nim a mną wszystko jest w porządku. Sam miód. Mam nawet niezłą robotę dla niego. Forsa z góry — jak to brzmi?

— Zobaczę.

Zostawiłem go tam, gdzie stał. Podszedłem do samochodu Stregi, czułem, jak wzrok Julia wbija się w moje plecy. Wysiadła z samochodu — ubrana w czarny płaszcz i owinięty wokół płonących czerwieni włosów czarny szal. Podała mi cienką kopertę.

— Miałam rację — powiedziała.

— Tak, miałaś — odparłem. — Teraz spadaj.

— Chcę zobaczyć. — Nawet w pełnym słońcu jej oczy miały blask wiedźmy z piekła rodem.

— Miałam rację... ze wszystkim...

Wróciłem do Julia. Wyszedł mi naprzeciw, sięgnął ręką do kieszeni. Z prawej strony huczały walące autostradą samochody, z lewej samoloty. Podałem kopertę od Stregi. W środku było jego przyznanie się do winy: historia o tym, jak kazał dziewczynce tańczyć tak, jak jej zagrał. Dziewczynce, której przed chwilą zamierzał kazać tańczyć pod kulami Wesleya. Wyjął rękę z kieszeni, schował to, co mu podałem, wyciągnął grubą kopertę. Wziąłem ją. Objąłem mocno jego dłoń... gwałtownie ją cofnął.

— Co...

Mignął niewyraźny cień — z ogrodzenia zeskoczył Max. W momencie gdy usłyszałem trzaśnięcie, głowa Julia gwałtownie się przekreśliła. Poleciał na mnie. Założyłem sobie jego martwe ramię wokół szyi, zaciągnąłem go do balustrady. Posadziłem na ławce, opróżniłem mu kieszenie. Kolejny śpiący na słońcu staruch. Nic niezwykłego, póki nie podeszło się zbyt blisko i nie poczuło zapachu.

Wróciłem do samochodu. Zamknąłem pokrywę pełnego brudnych kocy bagażnika. Wyjechałem z parkingu za BMW.

Gwałtownie przyspieszając wyprzedziłem Stregę. Jechałem ku mostowi Triborough. Kiedy byłem na jej wysokości, zdawało mi się, że czymś macha, ale szyby BMW były bardzo ciemne. Nie wiem, czy dobrze widziałem.

Wprowadziłem listę. Musiałem go wypłoszyć, nie ostrzec. Zadzwoiłem pod jeden z numerów na wydruku.

Nie na martwy telefon. Zapytałem o Traina. Przyszedł natychmiast.

— To ja.

— Jak pan zdobył ten numer?

— Od tego, o kim rozmawialiśmy.

— Minionej nocy strzelono przez okno do mojego domu. Nikt nic nie słyszał. W szkle została mała, okrągła dziura. Kuła wyrwała ze ściany wielki kawał tynku.

— Jutro go dostanę. Wydaje mi się, że jeśliby pan wiedział, jak on wygląda, mógłbym to udowodnić.

— Wiem, jak on wygląda.

W normalnej sytuacji bym się przejął, ale wiedziałem, skąd wie.

— Jeśli wszystko pójdzie jak należy, zadzwonię jutro rano. Zaprowadzę pana do niego.

— Chce pan powiedzieć...

— Tak. Gotówka przy dostawie.

Zadzwoiłem do Candy. — Cześć, mały — zagruchała. Doskonale wiedziała, ile ma mieć lat.

— Chcę jeszcze raz.

— W każdej chwili, skarbie. Musisz tylko powiedzieć kiedy.

— Mam jeszcze coś do załatwienia. Coś ważnego.

— Wiem, że ci się uda.

— Jasne, jestem tylko trochę zdenerwowany.

— Mogę jakoś ci pomóc?

— Nie, panuję nad wszystkim. On nawet nie wie... nie, dajmy sobie spokój. To zbyt skomplikowane. W każdym razie jak będzie po wszystkim, sprowadzę ci Elwirę.

— Chcesz powiedzieć, że musisz...

— Nie. Chcę powiedzieć, że muszę coś dla niego załatwić. Coś, na czym mu naprawdę zależy. Da mi za to dziewczynę. Nie będzie najmniejszego problemu.

— Wiedziałam, że sobie ze wszystkim poradzisz. Od razu tak powiedziałam.

— Jasne. Niedługo zadzwonię.

— Kocham cię. — Powiedziała to tak samo jak ostatnim razem.

Jadę — powiedziałem Trainowi przez telefon. — Czekam.

Wpuścili mnie bez problemu. Dwóch szło ze mną, cały czas niemal mnie dotykali. Ci, którzy według Elwiry zajęli się usunięciem dziewczyny, która zwariowała.

Tym razem oczekiwał mnie na stojąco. Przy oknie. Oknie z małą okrągłą dziurką. Podeszedłem do niego, mówiłem cicho.

— Nie żyje.

— Jest pan pewien? Kto to?

— Wesley. Zaprowadzę pana do niego — mówił pan, że zna jego twarz.

— Skąd mogę mieć pewność?



— Proszę go sobie obejrzeć.  
— Skąd mogę mieć pewność co do pana?  
— Proszę spytać Reby. — Train zamrugnął swymi błękitnymi oczami. — Nie wiem, jak go pan zamierza rozpoznać — mówiłem cicho, prawie uniznienie — ale wiem, że go pan rozpozna. Może pan pojechać ze mną. Proszę wziąć ze sobą paru ludzi. Jeśli pan chce, niech trzymają mi cały czas spluwę przy głowie. Mówię prawdę — Wesley jest trupem.  
— Gdzie?  
— Zostawiłem go na Wards Island. Pokażę gdzie. Mam w samochodzie latarkę.  
Dał znak obu mężczyznom. Zostawił mnie samego w pokoju. Weszła Reba. Nadal stałem przy oknie, strząsnąłem popiół na parapet. Przycisnęła się do mnie, owinęła ramionami, zaczęła krążyć biodrami. Wsunąłem rękę pod jej szatę, objąłem dłonią pośladki. Zdawało mi się, że pęcznieją.  
— Umiesz robić swój numer także na stojąco? — spytałem.  
— On nie żyje?  
— Nie żyje.  
Przycisnęła się do mnie jeszcze mocniej. Ludzki grzejnik.  
— Wrócisz? Po tym, jak mu pokażesz?  
— Po co?  
— Do mnie. Wtedy ja powiem ci prawdę.  
— W takim razie przyjdę.  
— Przyjdź. — Zabrzmiało to jak obietnica.  
Train wrócił z ludźmi, którzy wprowadzali mnie na górę.  
— Jadę z panem. Jedziemy wszyscy. Jak wrócimy, zapłacę. Skinąłem głową.  
— I dam panu wszystko, czego jeszcze pan ode mnie zechce.  
— Chodźmy.

Ford stał pół przecznicy dalej. Otworzyłem tylne drzwi. Zapaliła się wewnętrzna lampka. Siedzenie obok kierowcy było strasznie zniszczone, tapicerka zdarta, spod niej wyłaziła ostra sprężyna.

— Wóz jest dość stary — przeprosiłem — ale tam, dokąd jedziemy, nowy zbytnio by się rzucał w oczy.

Usiadłem za kierownicą. Scenografia z popsutym przednim siedzeniem była zbędna — goryle zachowywali się zgodnie z regułami sztuki: przyciskali swe ciała do tego, kogo mieli chronić. Wsiadł pierwszy z goryli, za nim Train, potem drugi goryl.

Zapiąłem pas. Włączyłem się do ruchu. Minęliśmy więzienie dla nieletnich, przejechałem mostem Brooklyńskim, wjechałem na autostradę Roosevelta. Jechaliśmy na północ.

Spojrzałem we wsteczne lustro. Train siedział spokojnie w środku, dłonie położył na kolanach i gapił się przed siebie. Obaj chłopcy po jego bokach mieli po dwadzieścia parę lat. Byli wystarczająco do siebie podobni, by uznać ich za braci. Włosy ostrzyżone na jeża, twarze bez wyrazu, opuszczone do połowy powieki. Pierwsze pokolenie programu hodowlanego? Kiedy skręciłem ku Wards Island, usłyszałem repetowanie pistoletu. Poczulem na karku dotknięcie lufy.

— Nie zapomniał pan miejsca, panie Burkę?

— Bez względu na to, co nastąpi, Tommy będzie w stanie dokończyć swego. Spust jest bardzo miękki.

— Nie.

— Proszę mu powiedzieć, żeby się nie denerwował. Jesteśmy prawie na miejscu. —

Zatrzymałem się pod wiaduktem. — Dobrze — powiedziałem, odwracając się nieco w kierunku Traina. Mówiłem cicho, obojętnym tonem. — Stąd musimy iść na piechotę. Opuszczyć szybę. Niech pan powie Tommy'emu, żeby wysiadł i potrzywał pistolet z zewnątrz, a ja... — W pół słowa nacisnąłem guzik i wciągnąłem głowę w ramiona. Parowóz uderzył w betonową zaporę.

Pistolet nawet nie wypalił. Uderzenie wypchnęło mi z płuc całe powietrze. Przednia szyba była

zabryzgana mózgiem i krwią. Wciągnąłem powietrze przez nos, aż płuca zaczęły pracować. Nie próbowałem nawet patrzeć na tylne siedzenie.

Odpiąłem pas. Wsiadłem. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Usiadłem obok samochodu, czekałem. Zaraz będzie lepiej.

Po paru minutach ruszyłem. Prosto przed siebie. Wymacałem w kieszeni nadajnik.

Obok mnie pojawił się plymouth ze zgaszonymi światłami. Otworzyły się drzwi od strony pasażera, wsiadłem do środka. Nacisnąłem na przycisk opuszczający szybę w drzwiach. Max jechał powoli, ford został w tyle za nami. Kret powiedział, że nadajnik ma zasięg ponad pół kilometra — byliśmy znacznie bliżej. Nacisnąłem. Ford eksplodował. Płomienie wypełniły lusterko wsteczne. Max gwałtownie wcisnął pedał gazu.

Wysadził mnie w miejscu, gdzie zostawiłem samochód More-house'a.

Pjawił się punktualnie. Wyglądał na zadowolonego, że jego samochód jest jeszcze w jednym kawałku.

— Co jest?

Podąłem mu kluczyki.

— Dziś w nocy coś wybuchnie. Na Ward Island. Niedaleko wyjazdu na Kirby. Gliniarze znajdują w środku ciała. Nie uda im się niczego poskładać do kupy. Zna pan McGowana i Mo-ralesa?

— Z Wydziału Ucieczek? Jasne.

— Niech pan do nich zadzwoni. Dostał pan poufną informację. Istnieje związek z niejakim Trainem. Prowadzi hodowlę noworodków. — Podąłem adres.

— Potrzeba trochę więcej, by dostać nakaz rewizji.

— Zostaw sobie te bzdury na artykuł w gazecie, chłopie. Niech załatwią nakaz, nieważne jak. Nie słyszał pan o Anonimowym Informatorze? Tym, z którego usług korzystają, kiedy tylko potrzebują przeprowadzić rewizję, od czasu, gdy Sąd Najwyższy stwierdził, że jest do tego niezbędny świadek zdarzenia? Niech da jeszcze jeden występ. Niech pan im powie, żeby rozegrali sprawę przez prokurator Wolfe. Będzie wiedziała, co zrobić. Poza tym w środku nie ma sprawców, jedynie ofiary.

— Załatwione. Kiedy dostanę telefon?

— Dziś w nocy nie miał pan nic do roboty, postanowił więc pan popracować trochę nad scenariuszem, o którym pan ciągle gada. Wystarczy, że zacznie pan podsłuchiwać radiostacje policyjne — wiem, że ma pan odpowiedni sprzęt. Informator zadzwonił do pana pięć minut po alarmie policyjnym.

— Już jadę.

— Powoli. Jeszcze coś. W budynku jest dziewczynka, nazywa się Elwira. Albo Juice — nie wiem, którego imienia tam używa. Niech pan zajmie się tym, by opieka społeczna nie posłała jej do zakładu ani do rodziny zastępczej. Ucieknie. Potrzebuje kliniki psychiatrycznej. Poza tym jest w ciąży.

— Dobrze. Muszę coś jeszcze o niej wiedzieć?

— Tak. Wie, jak się nazywam.

— Wariaci gadają różne rzeczy. Zwłaszcza na psychiatrii.

— Pański samochód to gówno — powiedziałem na pożegnanie dziennikarzowi, nie dodając, że o nim samym mam tym lepszą opinię.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Zwaliło mnie z nóg znacznie później.

Byłem sam w biurze, nie paliłem światła. Na kanapie rysował się niewyraźny kontur Pansy. Kiedy Flood zabiła sadystę Goldora w jego eleganckim domu... po to, żeby mnie uratować... o mało sama się nie wykończyła. Stało się z nią coś dziwnego. Trzęsła się jak głupia. Zrzuciła z siebie ubranie, jakby było zadzumione. Przytuliłem ją wtedy, z magnetofonu rozlegało się „Angel Baby” w wykonaniu Rosie and The Originals.

— Hej, Flood — spytałem wtedy. — Pamiętasz szkolne czasy?

Tańczyliśmy tak powoli, że nasze stopy prawie się nie poruszały, aż doszła do siebie.  
Dzisiejszej nocy nie mogła do mnie przyjść.  
Byłem odporny na ogień Stregi i lód Wesleya.  
Odnalazłem się.  
Trzeba przeżyć.

Następnego dnia obudziłem się bez najmniejszego problemu. Jak zawsze.

W dalszym ciągu nie było Belle. Ból w mej piersi był w dalszym ciągu na miejscu. Teraz jednak rozumiałem, że mam na sercu nie garotę, ale zwykłą opaskę uciskową.

Plymouth dowiózł mnie do Mamy prawie bez mojego udziału. Judy Henske na kasecie śpiewała tylko dla mnie. Wiedziałem, że zaraz będzie wstrząsający kawałek. Nie pamiętałem nazwiska bluesmana, ale wiedziałem, że umarł młodo. I że ciężko mu się umierało.

Zbyt chory, by iść do lekarza, zbyt zmęczony, żeby spać, zbyt splukany, by coś pożyczyć i zbyt głodny, żeby jeść.

Potem był słodki dziewczęcy głosik solistki jakiejś grupy grającej w stylu doo-wop, która nigdy nie miała przeboju płytowego.

Twój strach to mój strach, w oczach twoje łzy mam. Niepowodzenia, majaki nigdy nie rozdziela nas.

Ciężar jeszcze nie całkiem ze mnie spadł, ale to, co pozostało, było do uniesienia.

Mama miała „Daily News”. Historia o samochodzie wysadzonym w powietrze na Wards Island była ukryta na szóstej stronie. Gazeta robiła z tego kolejne mafijne porachunki. Nie było nic o Juliu. Gliny w Queensie będą potrzebowały ze dwa dni, by ustalić odciski palców. Wrzucą trupa do tego samego worka, co resztę świństw Wesleya. Artykuł Morehouse'a ukaże się jutro.

Wszedł Max. Pokazałem mu artykuł o wysadzonym samochodzie. Narysował na stole krzyżyk. „Robota Wesleya”. Zrobił gest pytania. Pociągnąłem kilka razy za wyimaginowany sznurek, zrobiłem gest, jakby coś zostało zerwane. Teraz Train. Max skłonił głowę.

Mój brat miał rację. Ja nacisnąłem przycisk, ale robotę zrobił Wesley. Ja już zrobiłem swoje. Prawie.

Max wyjął z kieszeni program wyścigów. Oparłem się wygodnie i zacząłem czytać. Żadne z imion koni nic mi nie mówiło. Wkrótce byłem przy trzylatkach. Był tam pewien konik z Illinois. Gypsy Flame. Klacz z niezłymi rezerwami po Noble Hustle. Z dobrym rodowodem. Trener wystawiał ją ostrożnie, ale na lokalnych torach zgarniała co się dało. 2:01 w Sportsman's Park w Chicago i to przy chłodnej pogodzie, to tak, jakby frunęła. Sprawdziłem ostatnie osiem gonitw. Za każdym razem trzymała się tuż za prowadzącymi, na ostatniej prostej ostro przyśpieszała. W Yonkers z jego ciasnymi zakrętami będzie miała utrudnione zadanie, ale w końcu zawsze biegła czysto. Obstawiano ją 8:1. Znakomicie.

Popatrzyłem na Maxa, by mu zakomunikować nasz wybór. Jego krzesło było puste. Spojrzałem na zegarek — byłem nieobecny przez prawie dwie godziny.

Mama stała przy wejściu przy kasie. Poszedłem na zaplecze do automatów. Wykręciłem numer mojego bukmachera. Maurice podniósł słuchawkę przy pierwszym sygnale.

— Taaa...

— Burkę. Daj mi czwartego konia w drugiej gonitwie w Yonkers. Dwie paczki na zwycięstwo.

— Koń cztery, gonitwa druga. Yonkers. Dwieście na nosa. Zgadza się?

— Zgadza. Tęskniłeś za mną?

Odłożył słuchawkę.

Telefon zadzwonił, nim zdążyłem wrócić do stolika. Odebrałem. — Tak?

— Piątek, oglądaj telewizję. Wszystko jedno, który kanał, byle duża stacja. Spróbuj NBC. Mają

najszybszą ekipę. „Na żywo o piątej”. To najlepsza audycja. Nie czekaj na wieczorne wiadomości — zobacz, jak to się będzie odbywać.

— W porządku.

— Ten samochód. Zeszłej nocy. Na moim terenie.

— Tak, gazety zrobiły z tego aferę, jakby zderzyły się dwa pociągi.

— Jadę na wycieczkę. Na wyspę. Po pieniądze. Potem piątek. Oglądaj telewizję. Pomacham ci na pożegnanie.

— Nie wymieniamy mojego nazwiska. Zostawię ci coś w testamencie. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem. O dzieciakach. Nie pokazuj myśliwym słabego miejsca.

— Nie mam zamiaru.

— Do zobaczenia...

Robot zająknął się — nie usłyszałem ostatniego słowa. Połączenie zostało przerwane.

— Ale...

Miło tu, Burkę. Jak w więzieniu, z wyjątkiem żarcia — oświadczył Pror z ironicznym uśmiechem.

Siedzieliśmy w piwnicy u Mamy, przy stole, który zrobiliśmy sobie ze starych drzwi. Grałem z Maxem w remika; blok do zapisywania wyników leżał przy jego lewej ręce. Był mi winien ponad dwadzieścia kawałków. Na ustawionych jedna na drugiej dwóch skrzynkach stał kolorowy telewizor, który Max przytaszczył przed południem. Niósł go jak aktówkę. Teraz sięgnął po kartę.

— Tylko gra w piki daje wyniki, cymbale — zachichotał Pror, pukając go pięścią w ramię. Max zignorował go. Wziąłem kartę, odkryłem się. Remik.

— Dlaczego marnujesz czas na grę w karty z tym cymbałem, Burkę? Wyciągnij spluwę i każ mu dawać wszystko, co ma.

— Czasami on wygrywa.

— Jasne. Za każdym razem, kiedy w barze dla pedałów gliniarz robi zemdlonemu oddychanie usta—usta.

Zapaliłem papierosa, wypilem łyk rosółu z kubka. W kącie chrapała Pansy — nie była przyzwyczajona do oglądania kolorowej telewizji. Uwielbia oglądać wrestling, a nie kiczowate seriale. Jest tylko psem — uważa, że między jednym a drugim istnieje jakaś różnica.

Max, ciągle jeszcze napuszony z powodu naszego wielkiego sukcesu, wyciągnął wyniki gonitw. Gypsy Flame zmiażdżyła konkurencję. Na przeciwległej prostej leciała jak burza, na zakręcie oderwała się od stawki, a na mecie miała jeszcze sporo sił. 17,20 za zwycięstwo — za pierwszy od miesiący zakład mieliśmy ponad tysiąc siedemset papierów na głowę. Machnąłem, żeby sobie poszedł — nie byłem się w stanie skoncentrować. Max odebrał szmal od Maurice'a. Jak za dawnych czasów. Transportowanie forsy — nie trupów.

— Kiedy to ma się zacząć? — spytał Pror.

— Nie wiem, bracie. Mówiłem ci już sto razy. Zadzwonił, powiedział, że mam się gapić w ekran, a więc się gapię. Nie musisz tu siedzieć.

— Choć nie był moim przyjacielem, popatrzę, co się dzieje.

— Nie ma sprawy. Chcesz zagrać za Maxa?

— Mowy nie ma. Pieprzony Wesley. Zawsze musisz sobie znaleźć jakiegoś modela, Burkę.

Zagrał przed Maxem teatrzyk — gestami opisał paru gości, z którymi siedziałem. Pror miał talent — dawniej był chyba kaznodzieją.

Mijał czas. Powoli, jak za kratami. Poza tym, że tu, gdzie byliśmy, było bezpiecznie. Pracowałem nad alibi. Na górze była Mac, potem zamierzała wpaść Lily. Cholera, miałem nawet nadzieję, że pojawią się gliniarze. Niezależnie od tego, co zamierzał Wesley, chciałbym być w tym czasie na innej planecie.

Max zobaczył pierwszy. Walnął w stół i zwrócił naszą uwagę na ekran. W trakcie serialu pojawił się na dole ekranu przesuwający się napis: ZAKŁADNICZY W SZKOLE W RIVERDALE... UZBROJENI TERRORYŚCI OPANOWUJĄ SZKOŁĘ ŚWIĘTEGO IGNACEGO... NA MIEJSCE PRZYBYŁA POLICJA I FBI... PROSZĘ ŚLEDZIĆ WYDARZENIA...

— Nic z tych rzeczy — stwierdził Pror.

Wiedziałem, co się dzieje.

Serial szedł dalej. Piętnaście po drugiej dali reportaż na żywo. Na ekranie pojawił się ubrany w płaszcz facet z mikrofonem, za nim stał wóz transmisyjny.

— Szczegóły nie są na razie znane. Wygląda na to, że do szkoły dostała się grupa terrorystów. Drzwi i inne drogi ucieczki są zablokowane. Terroryci przybyli wynajętą ciężarówką i pod jakimś pozorem udało im się dostać do wnętrza. Policję postawił na nogi telefon ze szkoły. Jesteśmy tak blisko areny wydarzeń, jak tylko pozwala nam na to poliq'a. Z tego, co udało nam się ustalić, istnieje połączenie telefoniczne z terrorystami, a na miejscu znajduje się specjalny oddział do negocjacji.

Włączył się redaktor prowadzący audycję „Na żywo o piątej” w studiu. Musieli mu kazać przyjść wcześniej do pracy. Wesley miał kupę zabawy. Redaktor od razu postawił odpowiednie pytanie.

— Tom, powiedziałaś, że padły strzały. Czy zostały oddane przez terrorystów?

— Jeszcze tego nie wiemy. Policja otoczyła szkołę gęstym kordonem.

— Proszę powiedzieć nam coś o szkole.

— Święty Ignacy jest ekskluzywną szkołą prywatną w Riverdale. Jedną z najstarszych szkół średnich w okolicy, obejmującą naukę od dziewiątej do dwunastej klasy. Przysyła tu swoje dzieci kilka z najbardziej znanych rodzin w mieście.

Włączyłem radio, też mieli na miejscu swoją ekipę. Reporter właśnie gadał coś o prawie środków przekazu, nie wiem do czego.

Wróciłem do telewizora. Na ekranie widać było znajdującego się na miejscu wydarzeń reportera.

— Wygląda na to, że terroryci zapędzili dzieci do sali gimnastycznej. Jeden z nich właśnie stłukł szybę i ktoś montuje megafon. Wydaje się, że chcą ogłosić żądania...

W tle rozległ się głos jakiegoś gliniarza

— Hej ty! Wy tam w środku! Czego chcecie?! Nie wyjdziecie stąd!

W odpowiedzi zaskrzeczał megafon. Spokojny, rzeczowy głos. Maszyna, która mówi poprzez drugą maszynę.

— Chcę helikoptera, który zawiezie nas na lotnisko. Chcę boeinga 747, który zawiezie nas na Kubę. Jasne, świnię?

— Ten wariat myśli, że mamy sześćdziesiąty dziewiąty rok — wtrącił Pror.

— Proszę puścić dzieci! — odkrzyknął gliniarz. — Puściecie dzieci, to załatwimy wam pieniądze.

— Ten tępy skurwiel zapomniał zażądać okupu! — Pror ze zmartwieniem pokręcił głową.

Kamera pokazywała budynek szkoły. Reporter czytał z kartki listę sławnych rodzin, których dzieci w niej się uczyły. Sędziowie, politycy, przyszli szefowie mafii. Nasienie, które Wesley zamierzał usunąć z powierzchni ziemi.

— Hej wy — tam w środku! — Przy megafonie był kolejny gliniarz. — Mamy dla was samolot! Stoi już na pasie startowym! Uwolnijcie zakładników! Przyślemy na ich miejsce kilku policjantów! Bez broni!

Potwór Wesley odpowiedział natychmiast.

— Sprowadźcie więcej glin! Potrzebujecie jeszcze więcej glin! Całą masę glin!

— Niech to cholera... — mruknął Pror. Wszystko było jasne.

Kamera zaczęła pokazywać jednostkę antyterrorystyczną. Snajperów z karabinami wyposażonymi w celowniki optyczne. Gliniarzy w pełnym ekwipunku — w hełmach z przyłbicami, kamizelkach kuloodpornych, z wielkokalibrowymi strzelbami samopowtarzalnymi. Kocioł zaczynał wrzeć.

Odezwał się komentator w studio — w jego opanowanym głosie słychać było jedynie ślad drżenia.

— Na dachu jest mężczyzna! Zróbcie zbliżenie!

Mężczyzna był ubrany w mundur polowy, czapkę miał naciągniętą głęboko na oczy, dłonie w rękawiczkach.

W tym momencie wybuchła stojąca pod szkołą ciężarówka. Ekran wypełnił się zielonym dymem. Zaszczekały salwy z karabinów maszynowych. Wszędzie słychać było krzyki i piski. Reporter nie opuszczał swego stanowiska.

— Nieznajomy mężczyzna najwyraźniej spowodował wybuch stojącej pod szkołą ciężarówki terrorystów. Obecni tu gapie zaczynają się chować. Oddział policji wszedł do szkoły od tyłu i próbuje przedostać się na dach. Jeśli obraz na państwa ekranach zniknął, prosimy nie regulować odbiorników, z ciężarówki wydobył się gaz... już się przerzedza... Jak na razie nie wiadomo, ilu terrorystów znajduje się wewnątrz budynku.

Kamera skierowała się na samotnego szaleńca na dachu.

— Mężczyzna na dachu coś zapala... wygląda to na pochodnię. Unosi ją wysoko nad głowę... mój Boże... to wygląda jak koszmarna statua wolności... on ma...

Dynamit w rękę Wesleya eksplodował i ekran zrobił się czarny.

Postaliśmy w piwnicy do późnej nocy. w Zrobiliśmy przegląd wszystkich stacji telewizyjnych i radiowych. Każdy reportaż zaprzeczał poprzedniemu. Zabito siedemdziesiąt pięć dzieciaków. Sto. Dwieście. Pilnujący szkoły ochroniarze zostali zmasakrowani z karabinów maszynowych. Do pomieszczeń dyrekcji wrzucono granaty. Jedno z dzieci, które przeżyły, twierdziło, że wszystko zaczęło się od wybuchów i serii strzałów. Potem jakiś głos przez radiowęzeł nakazał uczniom zebrać się w sali gimnastycznej. Na podeście stał mężczyzna w mundurze. Kiedy uczniowie weszli do środka, umocował coś na framugach drzwi i porozkładał po kątach worki żeglarskie. Ktoś zaczął krzyżeć, wtedy mężczyzna przejechał po zebranych serią z pistoletu maszynowego i wszyscy się uspokoili. To znaczy ci, którzy jeszcze żyli. Mężczyzna krzyknął coś przez megafon do policji, potem wybiegł. Wszystko wyleciało w powietrze. Dzieciak mówił jak automat leżąc na szpitalnym łóżku. W tle widać było kłócących się z gliniarzami lekarzy.

Gliny przeczesaly to, co zostało z dzieciaków. Jak na razie nie znaleziono ani jednego terrorysty.

— Myślisz, że Wesley poszedł prosto do piekła? — spytałem Prora. Wierzył w takie rzeczy.

— Jeśli tak, to szatan powinien mieć się na baczności — odparł Pror.

— Amen.

Gliny rozbiły organizację Traina. Znalezione wszystko, co trzeba. Morehouse napisał swój artykuł. Lily otrzymała kierownictwo grupy pracowników socjalnych, prowadzących rozmowy z „dziećmi” Traina. Do akcji włączył się oddział specjalny FBI do spraw pedofilii. Nawet Interpol.

Zadzwońm do Morehouse'a.

— Gratulacje za złapanie grubej ryby.

— Jasne. — W jego głosie słychać było zmartwienie, zniknęło z niego słońce.

— Coś nie tak?

— Ta dziewczynka, która miała iść na psychiatrię...

— Tak?

— Wskoczyła przez okno. Kiedy gliniarze wywalali drzwi.

— Zniknęła?

— Człowieku, to było ostatnie piętro.

— To nie jej wina — i tak już dawno nie było jej na tym świecie.

— Pewnie.

Pacuszka przyszła dwa dni później. Płaska koperta, dwadzieścia na trzydzieści centymetrów. Wypchana papierami. Dotarła do mnie przez skrytkę w Jersey, której używam do oszustw z najemnikami. Max dał mi ją u siebie w magazynie.

Rozciąłem papier. Wypadła kartka. Na niej na maszynie było napisane:

„Nim otworzysz drugą kopertę, załóż rękawiczki, spal kartkę”.

Zrobiłem, jak mi kazano.

W środku było kilkanaście arkuszy, zapisanych gęsto na maszynie. Na maszynie, której na pewno nikt nigdy nie znajdzie. Kartki były ponumerowane. Słowa były tak zimne, że aż mroziły serce. Trzęsły mi się ręce. Musiałem zapalić.

„Nazywam się Wesley. Nie znaliście mnie. Nikt mnie nie znał.

Znacie jednak moje dokonania. Pierwszego człowieka zabiłem w 1967 roku”.

Znałem nazwisko porucznika i wiedziałem, gdzie się to wydarzyło.

„Cztery strzały w pierś. Z M-16. W więzieniu, do którego mnie wsadziliście, zabiłem dwóch ludzi”.

Daytona i kogoś, o kim nie wiedziałem.

„Kiedy wyszedłem z więzienia, zacząłem zabijać ludzi za pieniądze”.

Następowały nazwiska, miejsca, daty, kaliber broni. Handlarz narkotyków, którego nie była w stanie uratować kapłanka santerii i jej marielitos. Wiatrówka z zatrutą strzałką. Kolec do lodu w nerkę, w środku tłumu na wyścigach konnych. Lista zajmowała cztery strony.

„Marco Interdonanto. Bomba w samochodzie. Carlos Santamaría Ramos. Na lotnisku La Guardia. Bomba z mechanizmem sprężynowym w skrytce bagażowej”. Ten, przy którym zginęli wszyscy wokół. „Tommy Brown. Rozbiłem mu czaszkę łożowianą rurą i podpaliłem dom”.

Pod koniec trafiłem na fragment, który zostawił w testamencie dla mnie.

„Zabiłem człowieka zwanego Mortay. Było to zlecenie od człowieka imieniem Julio, który pracował dla Dona Torenellegtf Zastrzeliłem go nabojem 38 special, potem rzuciłem w niego granatem. Zabiłem człowieka, który nazywał się Robert Morgan. Na placu zabaw w Chelsea. Strzelałem z karabinu z dachu. W ramach tego samego zlecenia. Potem Julio nie chciał mi zapłacić, powiedział, że taki jest rozkaz Dona. Zabiłem więc córkę Torenellego przy Sutton Place. Obciąłem jej głowę i postawiłem między nogami. Napisałem na ścianie cyfrę dwa. Miała to być informacja. Nie wysłuchali jej”. Potem wymienił pozostałe zlecenia. Queens, Brooklyn, Staten Island.

„Z zemsty Torenelli zlecił mi zabić. Zastrzeliłem go na moście przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Z remingtona 220 z noktowizorem. Potem zabiłem Julia. Zabiłem też człowieka zwanego Train. Wysadziłem na Ward Island samochód, w którym siedział. Zatrudnił mnie do tego człowiek o nazwisku Wilson. Mieszkał na Long Island. Próbował nie zapłacić, więc też go zabiłem. Z 357 magnum, pocisk dum-dum. Dwie kule w pierś, jedna w twarz. Był mi coś winien i musiał zapłacić. Całe życie pracowałem dla tych samych ludzi. Różnie się nazywali, ale każdy był taki sam. Sami wielcy bossowie. Generałowie. Ja byłem prostym żołnierzem. Nie mam dla nikogo z was miłości. Wy nie macie miłości dla mnie. Nie potrzebujecie mojej opowieści, nieważne dlaczego. To, co robiłem, naprawdę wyście robili. Wyrządziliście mi krzywdę, ja wyrzodziłem krzywdę wam. Jestem zmęczony. Jestem zmęczony wszystkim. Nie jestem człowiekiem. Nie wiem, kim jestem, ale nie urodziłem się taki. Umrę, by zostać sobą. Stać się tym, czym jestem naprawdę.

Nie mam przyjaciół i nie czuję strachu. Przestaję tylko dlatego, że jestem zmęczony. Nigdy byście mnie nie zmusili, bym przestał wbrew mej woli.

Pracuję za pieniądze. To wszystko. Nie zapłacili mi. A więc kazałem im zapłacić. Nie posłuchali moich ostrzeżeń, a więc zostawiam im ostatnie ostrzeżenie. Nie wiem, dokąd idę, i jest mi to obojętne, ale lepiej będzie, jeśli nie poślą za mną nikogo. Jeśli to czytacie, jesteście glinami. Czymś w rodzaju glin. Nie zostawiam wam tego z uprzejmości — to moja ostatnia szansa, by powiedzieć, jak bardzo was nienawidzę. Módlcie się do waszych zasnanych bogów, żebym był ostatni, choć doskonale wiecie, że tak nie jest. Przyjdą następni. Zrobicie nam krzywdę, urośniemy w siłę, i to my zrobimy wam krzywdę. Podpisuję to jedynym imieniem, jakie was kiedykolwiek interesowało”.

Na końcu ostatniej strony był odcisk kciuka.

Przeczytałem tekst dwa razy. Nie tylko wyciągał mnie z kłopotów, ale równocześnie ostrzegał. To

ostatni raz. Nie pokazuj im swojej słabej strony. Każdy w mieście wiedział, jakie są moje słabe strony. Wesley pożegnał się i zabrał ze sobą masę dzieciaków. Nasienie. Karty w znaczonyj talii. Oni zamierzali je niedługo rozdawać, ale potwór nigdy nie grał.

Trzymałem kartki przez rękawiczki. Wiedziałem, jak brzmiało ostatnie słowo, którego Wesley nigdy nie wypowiedział.

BRACIE.

Czekałem, aż przestaną mi drżeć ręce. Potem zadzwoniłem do Moralesa.

— Burkę. Zagrajmy partyjkę bilarda.

— Kończę pracę o czwartej.

Kiedy wszedł, byłem właśnie w środku II partii.

— Niech pan zdejmie płaszcz — wydusiłem przez zęby. — Niech pan nie utrudnia, nie jest pan tu jedynym gościem ze spluwą. Jak skończymy, proszę iść gdzieś w odludne miejsce i przeczytać to, co pan znajdzie w kieszeni.

Nie był w stanie skoncentrować się na grze. Nim się poddał, przegrał półtorej setki.

Kiedy następnego dnia zadzwoniłem li do Mamy, czekała na mnie wiadomość. Spotkałem się z Moralesem na Siedemnastej Zachodniej, tuż przy Dwunastej Alei. Kurewski róg. Przez pewien czas jedynie przyglądaliśmy się wskakującym do samochodów dziewczynom.

— Co chce pan... za to, co mi pan dał?

— Żebyśmy byli kwita.

— Większość z tego to prawda. Większość. Sprawdziliśmy. Wie o rzeczach, które mógł znać tylko morderca. Dlaczego wyciąga pana spod szubienicy?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Możemy dzięki temu wyjaśnić kilkadziesiąt nie wyjaśnionych morderstw. Na pewno dostanę awans.

— A McGowan?

— Jest moim partnerem — powiedział obrażonym głosem.

— Ja nie.

— Nie, pan nie, ale jesteśmy kwita. I tak nie mieliśmy na pana żadnego dowodu.

— Wiem. Teraz już jest po wszystkim.

Wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją.

Nie było po wszystkim. Skończyło się jedynie zabijanie przez Wesleya. Candy wpuściła mnie do środka.

Miała na sobie wyjętą na wierzch męską koszulę z przypinanym na guziczki kołnierzykiem i spodnie, jakie noszą toreadorzy. Moda sprzed stu lat.

— Chciałbyś się zabawić? — spytała.

— Nie dziś, harcowniku. Kocie ślepią zwężyły się.

— Zawsze byliście razem. Train i ty. Od początku. Elwira nie uciekła od ciebie — odrzuciłaś ją. Do sieci Traina. Wiedziałaś, że Train jest na liście Wesleya. Myślałaś, że to ja zabiłem Mortaya. Myślałaś, że także jestem zabójcą. Wiedziałaś, że Wesley nadchodzi, posłałaś mnie więc na ten sam tor. Żebyśmy się zderzyli.

— Musiałam to sprawdzić. Tylko obserwowałam — niczym nie ryzykowałam. Nie miałam pojęcia, jak znaleźć Wesleya, napuściłam cię więc na Elwirę. Wiedziałam, że jest zlecenie na zabicie Traina i że ma je Wesley. Wiedziałam, jak on działa. Że najpierw obserwuje, czeka, dopiero potem bierze się do pracy. Była to sprytna gra i sama ustaliłam zasady. Wesley cię zobaczy, pomyśli, że jesteś człowiekiem Traina — wtedy ruszy. Wejdiesz mu w paradę, jeden z was zginie. Nie ja.

— Ty będziesz się tylko pierdolić ze zwycięzcą — powiedziałem. Przypomniał mi się tunel



metra, kot w piwnicy.

— Oczywiście. Tak to się odbywa. Nigdy bym jednak nie pomyślała, że to ty wygrasz. No i nie wygrałeś.

— Co?

— Ile czasu byłaś z Trainem?

— Od dziewiętnastego roku życia. Byłam jedną z pierwszych. Dla niego byłam zawsze pierwsza, ale nie jestem harcownikiem. To tylko zabawa dla dzieci. Nikomu nie udaje się uciec. Jestem partnerem, nie żołnierzem. To był mój pomysł... te wygłupy z „religią”. Opowiadał ci bzdurę o „prawdzie”?

— Nie.

Głos umiała zmieniać prawie tak dobrze jak wygląd. Zaczęła doskonale naśladować głos Traina.

— Jeśli prawda nie istnieje, prawdą jest, jeśli coś nazwiemy prawdziwym. W ten sposób nigdy nie przestaje się mówić prawdy. — Spojrzała na mnie uważnie, uśmiechnęła się. — Nieźle, co? To mój tekst. On prowadzi interes w Brooklynie, ja tu.

— Twojego partnera już nie ma. Elwiry też.

— Ale ja jestem jeszcze. Wiem, co robić. Dzieciaków są masę, a ja będę istniała zawsze. Nie potrzebuję nikogo do pomocy.

— Jesteś odpadkiem.

— Naprawdę? Myślisz, że kiedykolwiek cię kochałam? Nawet wtedy, kiedy byliśmy dziećmi? Kochałam Wesleya. Wesley miał władzę. Ty... ty jesteś miękki i słaby. Nigdy nie byłeś twardy. Ja zrobiłam z ciebie twardego. Zrobię to jeszcze raz. Naprawdę twarda jestem tylko ja. Jak Wesley. Powinieneś widzieć teraz swoje oczy. Wiem, że najchętniej byś mnie od razu zabił, ale nie jesteś w stanie. Nie jesteś w stanie mnie skrzywdzić. Znam cię. Możemy natychmiast pójść do ostatniego pokoju. Możesz mnie związać, aż nie będę się mogła ruszać, a mimo to będę rządzić.

Nie odzywałem się, obserwowałem ją w milczeniu. Kochanka, o której Wesley nigdy się nie dowiedział. Tam gdzie był teraz, był bezpieczniejszy niż u jej boku.

— Do glin też byś nie poszedł. To nie w twoim stylu. Na tym polega cała sztuka: znać się na ludziach. Tak, jak ja znam ciebie. Nigdy nie mógłbyś mi zrobić krzywdy. Wesley wygrał — jest na wolności i znajdzie go. Znam cię. Gdybyś był płatnym mordercą, zabiłbyś mnie.

Odwróciła się do mnie plecami, wyszła z pokoju i zostawiła mnie samego. Dawała mi wybór. Zamknęłam za sobą drzwi.

Poszedłem bezgłośnie po puszystym dywanie na korytarzu. Z cienia wyłonił się ciemny kontur. Skinąłem głową. Max ruszył tam, skąd wracałem. W ręce trzymał klucz.